

# KOLEKTOR

MARCIN JAMIOŁKOWSKI



**Keller**

# Keller

MARCIN JAMIOŁKOWSKI

Keller stał na dachu świata. Taka myśl przyszła do niego, kiedy patrzył na rozciągający się pod nogami widok. Ale po chwili przyszła też refleksja: czym jest ten mały, pusty glob, w porównaniu z całym zasiedlonym wszechświatem? Keller był na Marsie, a dokładniej na Olympus Mons, najwyższym szczycie Układu Słonecznego. Technicznie rzecz biorąc nie była to góra, ale wygasły wulkan tarczowy, ale to nie miało akurat większego znaczenia. Keller stał dwadzieścia kilometrów nad powierzchnią planety, praktycznie ponad jej cienką atmosferą, i czuł się nadzwyczaj lekki, miał wręcz wrażenie, że wystarczy się lekko odbić, by odlecieć w kosmos.

Spojrzał w górę. Gwiazdy na niebie powoli znikwały, ustępując miejsca zimnemu światłu wyłaniającego się zza horyzontu Słońca. Opuścił wzrok i spoglądał urzeczony na przepływające poniżej biało-rude pasma chmur, odsłaniające rdzawe plamy marsjańskiego gruntu. Zerknął na świecącą linię oddzielającą atmosferę planety od otaczającej ją próżni.

Widok był piękny. Ale Keller widywał lepsze.

Kiedyś, dawno temu, jego matka opowiadała mu o Marsie. Planeta, której kolonizację porzucono, kiedy tylko otworzyła się droga do gwiazd. Nigdy nie założono tu żadnych większych osiedli czy miast, jedynie kilka stacji badawczych, których ruin nikt już by nawet nie odnalazł. Podobno jakiś pra-pradziadek Kellera wspinał się na Olympus Mons wyposażony jedynie w liny, haki, czekan i inne dobrodziejstwa przemysłu wspinaczkowego. No i oczywiście w kombinezon kosmiczny. Opowieść o tym wyczynie przetrwała w historiach rodzinnych, które tak lubiła snuć matka Kellera.

Stojąc na szczycie, nie odnalazł jednak ani spokoju, który rzekomo odczuwał jego przodek, stojąc w tym miejscu, ani tego piękna, które ponoć opisał w swoim pamiętniku. Jedyne, co Keller czuł, to zawód. Owszem, było ładnie, naprawdę, ale nie powalało na kolana. Może dlatego, że Keller sam nie pokonał drogi na górę, wspinając się i ryzykując życie, ale po prostu wylądował z pomocą swojego jet-packa.

Spojrzał na stojące obok urządzenie, które go tu przyniosło. *To jednak była strata czasu* – pomyślał. Załatwili interes na Ziemi i mieli się zmywać, ale przypomniała mu się klechda domowa, stara bajka, która wydawała się być godna sprawdzenia.

Podszedł do jet-packa, stanął plecami do niego i poczekał na przyłączenie kombinezonu. Urządzenie zadokowało Kellera prawie niezauważalnie, a chwytaki wpięły się w skafander i unieruchomiły go.

– Spark? – powiedział Keller do mikrofonu. – Zgarnij mnie, zaraz startuję.

– Mam cię na tele – usłyszał melodyjny, kobiecy głos.

Keller rozluźnił się i pstryknął kilka przełączników, przygotowując się do startu. Spark była doskonałym pilotem i powinna podjąć go z przestrzeni bez żadnych problemów. Spiał się jednak na powrót, kiedy dodała:

– Wracaj szybko. Vlad świruje.

– Co się dzieje?

– Problem z ładunkiem.

– Spark, kochanie, a jaki problem może być z koncesjonowanymi ziemskimi prostytutkami?

– Mhm, uwielbiam jak tak do mnie mówisz, ale nigdy nie będę twoja – roześmiała się Spark. – No więc część z nich jest koncesjonowanymi ziemskimi mężczyznami, kapitanie. Vlad dał się nabrać jednej... jednemu... i teraz warczy.

Keller wystartował, poczuł przeciążenie trwające ułamek sekundy, które zaraz zostało zneutralizowane przez jet-pack. Spojrzał na wskaźniki. Osiągał właśnie prędkość ucieczki z planety.

– Dobra, zaraz będę.

– Mam cię na wizualnej, do połknięcia pięć sekund... cztery...

Przed nim opuściła się ciężka sylwetka Truposza, i przesłoniła Słońce. Keller spojrzał po raz ostatni na czerwoną kulę Marsa. Może nie przyleciał tu zupełnie na darmo. W jego rodzimym układzie jedna z planet była całkiem podobna. Nazywała się Krew. Poczuł skradającą się do serca tęsknotę.

– Pospiesz się! – rzucił do Spark. Nie miał powodu się na nią wściekać, ale złość dobrze tłumiała wspomnienia.

Nie usłyszał odpowiedzi, bo zagłuszyło ją głośne stuknięcie cumującego jet-packa. Wolał nie prosić o powtórzenie. Mógł sobie na dziewczynę pokrzyczeć, ale klócić się nie chciał.

– Zadokowany.

Czujniki skafandra potwierdziły te słowa, wyświetlając dla Kellera odpowiednie komunikaty. Kapitan wyszedł z pojazdu i zdjął kombinezon. Otworzył swoją szafkę i wepchnął go do środka razem z hełmem.

– Dokąd? – rzucił w powietrze.

– Do mesy. – Z komunikatora w uchu dobiegł głos Spark.

Pobiegł.

W mesie panował rozgardiasz. Bałagan. Ze względu na obecność koncesjonowanych pań do towarzystwa niemal można to było nazwać burdelem.

Vlad szarpał się z dwoma skąpo odzianymi panienkami. Craftsheek siedział pod ścianą z założonymi rękami i dobrze się bawił. Nie gorzej od Mykey'ego, który szczyrzył radośnie białe zębiska, co na tle jego czarnej jak kosmos skóry wyglądało, jakby ktoś wstawił do mesy fortepian. Obok stała Moyra i zagrzewała do boju – jak się wydawało – obie strony. Po drugiej stronie mesy, przy dyspenserach, tłoczyły się pozostałe trzy z pięciu pasażerek. Ot, rozrywka na statku.

– Zabiję cię, gnoju! – zawył Vlad w stronę jednej z prostytutek. Miała podbite oko i zerwane ramiączko sukienki.

– Wypraszam sobie, ty prostaku! – zawołała w odpowiedzi kobieta. – Barbarzyńca!

Vlad szarpnął się ponownie, ale trzymające go kobiety uwiesiły mu się na rękach, jedna dodatkowo zaplotła nogi wokół jego kostek. Vlad prawie się przewrócił.

– Spokój, do cholery! – krzyknął Keller. – Vlad, pod ścianę. Wy! – zwrócił się do kobiet. – Puśćcie go! Co się dzieje?

Vlad posłusznie stanął pod ścianą i teraz posyłał nienawistne spojrzenia w stronę prostytutek, które zbiły się w ciasną gromadkę. Jednak najwyraźniej nie miał zamiaru wyjaśnić sprawy. Otwierał i zamykał na zmianę usta, jakby łapał powietrze.

– Craftsheek? – zapytał Keller.

Wywołany do odpowiedzi szpakowaty mężczyzna, mniej więcej w wieku Kellera, wydał usta i wzruszył ramionami.

– Vlad trochę popił na Ziemi i zachciało mu się pofiglować. A że, jak wiesz, przewozimy bardzo piękne panie, które parają się akurat odpowiednią profesją, Vlad zwrócił się do jednej z nich z prośbą o pomoc w tych figlach. Jak wszyscy wiemy, Vlad jest hetero do szpiku kości i nigdy nie pozwoliłby sobie na kontakty z płcią męską. – W miarę jak Craftsheek opowiadał, Vlad czerwieniał, a Mykey i Moyra dusili się ze śmiechu. – Jedna z pań, z których usług Vlad skorzystał, okazała się najwyraźniej mężczyzną, wiadomo, że Ziemia jest kolebką wszelkiej rozwiązłości...

Mykey i Moyra już nawet nie udawali i rechotali na całe gardło. Craftsheek ciągnął dalej:

– ...prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, w jaki sposób nasz kogucik nie rozpoznał płci swojej pani, wiadomo jednak, że doszło między nimi do zbliżenia...

Kobieta z podbitym okiem uniosła trochę brodę, wypchnęła policzek językiem i poruszyła nim kilkakrotnie.

Moyra parsknęła, Vlad rzucił się w jej stronę, ale Keller czujnie zastąpił mu drogę i przycisnął do ściany.

– ...a kiedy się w końcu zorientował – kontynuował Craftsheek niewzruszenie – już nic nie było takie

samo.

Teraz już śmiali się wszyscy: załoga, prostytutki, nawet Keller. Na usta Włada wypełzło coś na kształt niepewnego uśmiechu, jakby w końcu zaakceptował sytuację, w jakiej się znalazł, więc Keller uznał, że może go puścić. Wład usiadł pod ścianą.

Keller podszedł do kobiet. Wszystkie miały żółtawy odcień skóry i skośne oczy. Azjatki. Mieszkancki kontynentu Ziemi, nazywanego Azją. Ofiara napaści Włada posłała mu wyzywające spojrzenie.

– To on, prawda? – bardziej stwierdził niż zapytał, wskazując na jej siniejące oko.

Skinęła głową.

– A jakie na pokładzie są dwie świętości, Wład?! – rzucił głośno w powietrze, odwracając głowę.

Z drugiej strony dobiegło niewyraźne mamrotanie.

– Nie słyszę?!

– Goście i cargo! – odpowiedział Wład głośniej.

– Goście i cargo – powtórzył Keller. – A ty tak po prostu się rzucasz do bitki, tak? Naruszasz zasady, bo zachciało ci się ciupciać, tak?

– Tak, kapitanie. Przepraszam.

– Przepraszasz? – Keller zacisnął zęby. – Niech się rozejdzie wieść, że na Truposzu bije się gości i nie zobaczymy żadnego zlecenia stąd do centrum galaktyki! Czy muszę ci to tłumaczyć jak dziecku?!

– Nie, kapitanie. Przepraszam.

– Nic takiego się w sumie nie stało – odezwała się nagle pobita. – Załączyły mi się blokery, mam je wbudowane, nic nie czułam. Taki fach.

Keller zbaraniał. Kobieta najwyraźniej łagodziła sprawę, a Wład zdecydowanie na to nie zasługiwał.

– Zawarliście kontrakt? – zapytał kobietę ostrożnie.

– Tak. W ustnej formie.

Moyra parsknęła znowu, a Keller posłał jej mordercze spojrzenie.

– Zawarliście kontrakt na naruszenie nietykalności cielesnej?

– Nie.

– Czy wobec tego Wład może, hm... uzupełnić opłatę kontraktową?

– Owszem.

Keller odetchnął w duchu. Może wszystko się rozejdzie, jeśli kobieta nie złoży skargi, a Wład dopłaci kobiecie żadaną kwotę. Unia podchodziła bardzo poważnie do takich zgłoszeń, a jeśli przypieprzą im jakąś karę... Keller nie był zainteresowany jakimikolwiek wpisami na temat statku w unijnych rejestrach.

– Czy wobec tego, hm... mogę się spodziewać, że nie złoży pani skargi na załogę Truposza?

– Nie złożę, ale pod jednym warunkiem. Niech przeprosi za to jak mnie nazwał.

– A jak panią nazwał?

– On wie.

„On” siedział dalej pod ścianą, Keller gestem nakazał mu wstać.

– Vlad?

Vlad z wyraźną trudnością uśmiechnął się.

– Proszę przyjąć moje ekhm... przeprosiny. Nie miałem zamiaru pani naubliżyć i ekhm... jest mi bardzo przykro, że ekhm... – zawahał się, jakby nie wiedział, co powiedzieć dalej.

– ...„że ten incydent” – podszepnął mu Craftsheek.

– ...że ten incydent miał miejsce – dokończył z ulgą.

Keller spojrzał na prostytutkę.

Uśmiechnęła się leciutko i skinęła głową.

– Dziękuję pani za wyrozumiałość. – Keller skłonił się nieznacznie, a w myślach głęboko odetchnął. –

Vlad ureguluje opłatę jak najszybciej. Czy mogę teraz poprosić panie o przejście do swoich kajut? Muszę porozmawiać z załogą.

Pięć kobiet, czy może mężczyzn, Keller wolał nie wiedzieć, obciągnęło swoje sukienki, poprawiło demonstracyjnie biusty oraz włosy, i opuściło mesę, obmacywane łakomymi spojrzeniami Mykey’ego.

Kapitan zacisnął pięści i odwrócił w stronę załogi.

Przyjrzał się im po kolei. Vlad – niewysoki brunet, nieogolony, z krzywym, niegdyś złamanym nosem.

Niezbyt bystry, ale umiał strzelać jak mało kto. Craftsheek – szpakowaty przystojniak. Zawsze rozważny i ostrożny. Mykey – wyższy o półtorej głowy od Kellera, czarnoskóry seksoholik. Moyra – jasnooka blondynka o atletycznej figurze, zawsze skora do żartów.

Powinien ich wszystkich opieprzyć. Powinien także wezwać Spark. Ale to Spark wezwała jego.

– Kapitanie, mamy patrol na ogonie.

W głosie pilota czuć było zdenerwowanie i Keller wiedział, dlaczego. Goście i cargo. O ile zabrane na pokład panie były jak najbardziej legalne, o tyle ładunek już mniej. Właściwie nie był w ogóle legalny. Jeśli patrol wejdzie na pokład...

Rzucił się w stronę wyjścia, zdążył tylko machnąć Craftsheekowi, żeby podążył za nim. Na mostek dotarł po kilkunastu sekundach.

– Dawaj! – rzucił do Spark.

– Moja wina – powiedziała rozżalonym głosem dziewczyna. – Podglądałam co się dzieje w mesie i przestałam monitorować przestrzeń, póki nie było za późno. Patrol jest w odległości trzydziestu tysięcy kilometrów. Mamy wyłączoną identyfikację, nie odpowiadam na wezwania, więc wzięli nas na laser.

Keller zaklął paskudnie i spojrzał na Spark. Drobna, filigranowa wręcz brunetka, skuliła się pod wzrokiem dowódcy. Ale to nie była tylko jej wina, oboje to wiedzieli. Gdyby nie jego nostalgiczny postój na Marsie, byłiby już daleko stąd. Poklepał Spark uspokajająco po ramieniu i spojrzał na wykresy



dashboardu.

Patrol wymierzył w nich wiązkę laserową. Osłony chroniły statek przed uszkodzeniami, ale wskaźniki poziomu energii nieubłaganie podążały do zera. Procedura patrolu była jasna, Truposz ma wyłączyć osłony i pozwolić służbom wejść na pokład. W innym przypadku osłony padną, a promień lasera wypali w statku równą dziurkę.

– Nie starczy nam energii na Q-skok. – Craftsheek, który pojawił się za plecami Kellera, potwierdził głośno jego obawy. – Może na jakiś krótki, niezbyt daleki, zgubią nas na chwilę i znowu wsadzą nam laser w dupę. A przy takim natężeniu, ciemna energia szybko się skończy, alternatory nie nadrobią z pobieraniem jej z przestrzeni. Kiepsko. Możemy się pozbyć ładunku?

– Niespecjalnie mam na to ochotę. – Keller zmarszczył czoło. – Za dużo kasy i zachodu nas to kosztowało.

– To co robimy? – Palce Spark biegały po ekranach.

Keller zamyślił się. Wskaźnik poboru energii skoczył o kolejną kreskę. Kapitan skrzywił się, jakby go to fizycznie zabolowało.

– Zwiększyli moc wiązki – potwierdził Craftsheek ponuro.

– Daj mapę okolicy. – Keller szturchnął Spark łokciem. – Daleko odlecieliśmy od Marsa?

– Niezbyt, grzejemy na konwencjonalnym, więc mamy jeszcze kawałek do pasa asteroid.

Przywołała trójwymiarową mapę przestrzeni.

– Czego szukamy? – spytała.

– Asteroidów właśnie. Jakichkolwiek – odpowiedział kapitan, obserwując uważnie mapę.

– Bez sensu. Ich laser spali taką skałę błyskawicznie.

– Właśnie, że nie. Układ Słoneczny ma bardzo restrykcyjne zasady, jeśli chodzi o pielęgnację swoich kamyczków w ogrodzie. Nie mogą ich niszczyć ani zmieniać trajektorii bez pozwolenia. Takie pozwolenie wymaga zwołania tutejszej Rady Astronomicznej, a przecież nikt nie kiwnie nawet palcem, kiedy patrol zgłosi, że im się jakiś stateczek zawieruszył. Tutaj – pokazał coś palcem na mapie – co to jest?

Spark natychmiast wyświetliła informację o obiekcie.

– Średnica około kilometra, tor... niedaleko, przechodzi pod niewielkim kątem do ekliptyki, leci prawie w naszą stronę. Ty chyba wymodliłeś ten kamyczek. – Spark już programowała Truposzowi nowy kurs.

– Ja wierzę w trzech starych bogów: Mammona, Fortunę i Dionizosa. Każdy jest z innej bajki i żaden nie zajmuje się asteroidami. Przyspiesz, zanim nas spalą. Zrób to pulsacyjnie, tak żeby chociaż na chwilę wyjść im spod lasera. Może się uda.

Usiadł na fotelu pod ścianą, Craftsheek zrobił to samo, ale w odróżnieniu od kapitana, przypiął się pasami.

– Załoga, przymocujcie dupy – powiedziała Spark do interkomu. – Za pięć sekund będzie rzucać.

– A co z gośćmi?

– Pieprzyć gości – warknął Keller.

– Vlad już próbował... – rzuciła z przekąsem Spark i dodała gazu.

Nastąpiła seria szarpnięć, podczas których Truposz nabralł prędkości i usiłował wyrwać się spod ostrzału. Nie wyszło.

– Ile zostało?

– Parę tysięcy kilosów. Ciągłe siedzą nam na tyłku.

– Daj jeszcze raz.

Tym razem przybliżyli się wystarczająco do asteroidy, aby mieć ją na ekranach. Światło słoneczne wydobywało czarne, poszarpane krawędzie kraterów zdobiących jej powierzchnię.

– Ląduj – powiedział Keller.

– Chyba cię pojebało! – rzuciła Spark w odpowiedzi i dodała szybko: – Kapitanie!

Keller położył jej na ramieniu rękę i ścisnął mocno.

– Kurwa mać, Spark, ląduj. Albo nas usmażą, albo tu wejdą. Jak obejrzą ładunek, to wylądujemy wszyscy w koloni karnej na Snowtooth. Ja lubię ciepło i lubię żyć, więc oba rozwiązania są mi nie na rękę. Więc proszę, zrób to i posadź nas, najlepiej w jednym kawałku.

– Jak to przeżyjemy, kapitanie, będziesz mi dłużny. Jeszcze nie wiem co.

– Jesteś cudowna.

– Wal się!

Truposz wyhamował i wszedł na ciasną orbitę wokół asteroidy, a po chwili zniknął za jej osłoną. Wiązka lasera również znikła. Tak jak przypuszczał Keller, patrolowiec musiał wyłączyć promień, żeby nie zniszczyć kosmicznego gruzu będącego pod ochroną. Wydawało się, że wskaźniki energii odetchnęły z ulgą.

– Załoga, nie wstawać, mamy trudne przyziemienie za kilkanaście sekund – zawołała Spark do interkomu.

– Co wy tam wyprawiacie? – rozległo się w głośnikach.

– Zamknij się, Vlad – odpowiedziała Spark spokojnie i skoncentrowała się na wyborze miejsca do lądowania. Spieszyła się. Patrolowiec, zgubiwszy ich, na pewno ruszył już, żeby ich dorwać. Truposz nie był długi, raptem czterdzieści metrów od nosa do ogona, ale dość szeroki i trzeba było znaleźć miejsce przestronne, z dala od krawędzi kraterów.

– Beznadziejna lokalizacja – oznajmił Craftsheek. – Co robimy?

– Nie lądujemy – powiedział kapitan, kładąc rękę na ramieniu Spark. – Zgubiliśmy laser, sprawdź, ile możemy wycisnąć teraz.

Odczytał uważnie dane dotyczące asteroidy. Prędkość, okres obiegu... Spark chyba załapała w końcu, jaki był pomysł kapitana, bo nagle rozpoczęła na boku rozmowę z AI Truposza, potwierdzając jakieś swoje przypuszczenia i korygując obliczenia.

– Okej – powiedziała nagle. – Prędkość asteroidy, a zatem i nasza, wynosi około pięćdziesiąt tysięcy kilometrów na godzinę. Nie marnując energii na osłony, możemy osiągnąć spokojnie drugie tyle. Jeśli otworzymy przejście do Q-skoku w niewielkiej odległości, wejdziemy w nie z prędkością ponad dwa razy większą, uwzględniając ilość pozostałej ciemnej energii, możemy odskoczyć... moment... – Zaczęła coś liczyć. – Wskoczymy poza układ. Nie dorwą nas.

– Zaczynaj.

Truposz ruszył do przodu. Zza horyzontu, na wprost nich, wyłonił się jasno oświetlony przez światła pozycyjne patrolowiec.

– Tu patrol układowy – rozległo się z głośnika. – Niezidentyfikowany statek, zgłoś się. Przygotujcie się do desantu. Śluzy zostawcie otwarte, a silniki wyłączone...

Keller pstryknął wyłącznik i głos się urwał.

– Cholera! – krzyknęła Spark. – Są za blisko! Nie nabierzemy dostatecznej prędkości...

– Zaryzykujemy – powiedział spokojnie Keller.

– Keller?!

– Teraz, Spark.

Statek wypluł z części dziobowej strugę energii, która w pewnej odległości od statku utworzyła ciemną kulę. Po chwili na jej powierzchni pojawił się jasny rozbłysk, potem następne, aż czasoprzestrzeń pękła, rozdarła się, tworząc okrągły otwór, przez który przezierały gwiazdy. Inne gwiazdy. I inne konstelacje niż te widziane z Ziemi. Odległe o lata świetlne. Truposz już leciał w stronę wyrwy.

– Q-Slot za osiem sekund – odezwała się AI. – Siedem... sześć...

Wszyscy wstrzymali oddech.

Zanim zniknęli z tego fragmentu kosmosu, Keller miał wrażenie, że dostrzegł wypuszczoną z patrolowca w ostatniej chwili wiązkę lasera, wymierzoną prosto w jego oczy. Ale to było złudzenie spowodowane Q-skokiem.

Przeszli.

Bliźniaczy Q-slot, z którego wyleciał Truposz, zamknął się bezgłośnie za jego rufą i zniknął, jakby go nigdy nie było.

Keller wstał z fotela. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo był zdenerwowany, otarł pot ze skroni. Poklepał Spark po ramieniu.

– Dobra robota, moja śliczna. Tylko na przyszłość, jak siedzisz za sterami, to nie odrywaj wzroku od monitoringu.

– Ale...

– No już, już – przerwał jej protesty. – Nie mamy energii na dalszy skok, jesteśmy cholera wie gdzie, musimy poczekać, aż baterie się naładują. Wracam do mesy. Chodźcie ze mną, muszę was wszystkich opieprzyć.

Mesa była pusta. Nie licząc jednej dziewczyny, najwyżej dwudziestoletniej, ubranej w zbyt długą, białą koszulę sięgającą jej do połowy uda. Wyglądało, że nic więcej na sobie nie miała. Wyciągnęła właśnie jedzenie z dyspensera i odwróciła się do przybyłych. Keller zamarł. Nie był to ani członek załogi, ani pokładowy „gość”, ani nawet ładunek. Pierwszy raz widział ją na oczy. Dziewczyna spłoszyła się. A wyraźnie przestraszyła, kiedy jej wzrok padł na broń Kellera i Craftsheeka, którą mieli w kaburach, przy pasie.

– Kim, do cholery, jesteś? – zapytał kapitan.

W odpowiedzi ubiegł ją Craftsheek.

– Zgaduję, że jesteś... nową dziewczyną Mykey’ego, tak?

Pokiwała głową.

– A co tu robisz?

– Mykey wygonił mnie z kabiny. Powiedział, żebym sobie gdzieś poszła na parę godzin, bo on ma teraz inne sprawy. I zaprosił do kabiny trzy panie, takie skośnookie. Myślałam, że... – Usta zaczęły jej drżeć.

Keller zacisnął zęby. Znowu. Znowu, pomimo zakazu, Mykey zaokrętował na pokład jakąś lalunię, przygarniętą w porcie, nakarmioną obietnicami. I jak zwykle znudził się nią szybko, kiedy tylko zobaczył inne spódniczki. Cokolwiek pod tymi spódniczkami było.

Mykey był dyplomowanym lekarzem pokładowym. Jednym z dziwnych wymogów Unii było posiadanie takowego na pokładzie. Chodziło o infekcje. Mykey posiadał certyfikat umożliwiający opiniowanie, czy dany członek załogi może zejść z pokładu na danej planecie, czy nie. Przed każdym lądowaniem brał próbki od każdego z nich, badał i przysyłał wyniki do kapitanatu. Jeśli czyjeś badania odbiegały od normy – nie mógł zejść na planetę. Albo był kierowany na kwarantannę, albo poddawany leczeniu lub serii szczepień. Chodziło o pozaplanetarną florę bakteryjną, wirusy, pasożyty, symbionty i inne cholerstwa, które można było znaleźć na obszarze poznanego kosmosu. Poprzedni lekarz był taki sobie i pił jak smok. Właściwie w ogóle nie trzeźwiał.

Keller wyrzucił go rok temu i zatrudnił Mykey’ego. Ten również miał swoje wady, choć ukrywał je znacznie lepiej niż poprzednik, przynajmniej na początku. Jego drugą specjalizacją była anestezjologia, przez co Mykey chodził wciąż naćpany. Był jednak na tyle dobry, że potrafił zniwelować działanie narkotyków, którymi się oszołomił, kiedy wymagała tego sytuacja. Większym problemem okazał się jednak jego nienasycony apetyt seksualny. Przez pół roku, co jakiś czas na pokładzie regularnie pokazywała się jakaś panienska, nie figurująca w oficjalnym spisie. Keller próbował ograniczyć te wizyty

do postoiu na planecie. Dziwnym trafem jednak zdarzało się, że taka panna podróżowała z nimi w kosmos. Keller starał się uszczelnić całą procedurę wchodzenia na pokład. Statek nie był wyposażony w pełen monitoring, więc doszło do tego, że robił Mykey'emu nalot na kajutę, albo wręcz zastawiał pułapki na jego nowe zdobycze. Wszystko na nic. Najpóźniej pół dnia po starcie pokazywała się jakaś zagubiona ślicznotka. Ostatnio Keller kategorycznie zabronił Mykey'emu sprowadzania dziewcząt. Bezwzględnie. Mykey, jak widać, nie przejął się zbytnio zakazem, czego dowodem było pociągające nosem stworzenie w za długiej koszuli, najpewniej należącej do samego lekarza.

– Czy możemy mu dodać czegoś do jedzenia? Bromu? – Kapitan spojrzał na Craftsheeka.

– Możemy. Ale ten drań ma taki asortyment lekarstw, że zneutralizuje tę drobną niedogodność w kilka sekund. Chyba trzeba go wykastrować, ale nadal nie byłbym pewny efektów.

– Czy ja dobrze słyszałem, że on zabrał teraz do kabiny trzech naszych gości?

– Tak, wydaje mi się, że też tak słyszałem.

– Cholera. Spark, zrób coś z tą dziewczyną. Przydziel jej jakąś kabinę, powiedz jej, że jej wielka miłość to iluzja, nakarm, podaj coś nasennego, niech mi się nie kręci po statku. Już! – podniósł głos, gdy pilot usiłowała zaprotestować. – Co za bajzel. Mamy zadanie do wykonania, a od samego początku wszystko idzie nie tak. Jak on tę dupę przemycił na pokład? No jak?!

– A jakie to zadanie, kapitanie? – zapytała Spark.

– Za godzinę wszyscy w mesie. – Odwrócił się do Craftsheeka. – Zadbaj o to. Jeśli Mykey nie zechce przyjść, wywal drzwi i przyciągnij go za torbę. Powiem inaczej: jeśli ktoś nie przyjdzie, to zostawię go na najbliższej planecie, a zdaje się, że znajdujemy się na jakimś totalnym zadupiu. Szanse, że ta planeta ma nadającą się do życia atmosferę, są znikome.

– Tak jest. – Szpakowaty skinął głową. – Ruszamy, Spark.

– Kapitanie, obawiam się, że póki co nie ma tu żadnych planet, jesteśmy w środku pustki...

Keller spojrzał jej w oczy i zamilkła. Służyła na statku już trzy lata i znała jako tako swojego kapitana. Był w porządku. Rzadko się złościł, podejmował rozważne decyzje, zawsze miał na uwadze dobro załogi. Czasem ignorował niektóre ich sprawy czy wybryki. Ale tym razem w jego spojrzeniu dostrzegła coś zimnego i ostrego, co sprawiło, że spuściła głowę i zapatrzyła się w swoje buty.

Keller odwrócił się na pięcie i wyszedł z mesy. Pozostała trójka ruszyła powoli za nim.

– On tak poważnie? – zapytała Spark Craftsheeka.

Craftsheek uśmiechnął się krzywo.

– Znam go dużo dłużej niż ty. Był poważny na tyle, że jeśli trzeba będzie, przyprowadzę Mykey'ego tak jak mi polecił – wlokąc go za torbę. Zajmij się nią. – Wskazał dziewczynę. – I jeśli powiedział, że masz ją uspić, to uspij. Ja idę sprawdzić, czy w maszynowni wszystko w porządku, trochę porzuciłaś dzisiaj Truposzem.

Spark wzruszyła ramionami i odgarnęła włosy z czoła. Posłała mu łobuzerski uśmiech.

– Za to mi płacą.

Spark pociągnęła za rękę byłą dziewczynę lekarza, która rozglądała się ciekawie po statku. *Chyba nie do końca rozumiała, w co się dokładnie wplątała. A może jest pod wpływem narkotyków?* – pomyślała Spark. *Czy Mykey może być aż takim draniem? Czy zwabia oteńpione, oszołomione ofiary do swojej kabiny, żeby je wykorzystać?*

Chyba nie musiał. Sprawiał wrażenie przesympatycznego, często żartował ze Spark, oczywiście w przerwach, kiedy nie usiłował jej zaciągnąć do łóżka. A przecież poprzednie jego zdobycze, które miała okazję napotkać, nie wykazywały żadnych podobnych oznak. Pewnie zwyczajnie ją uwiódł.

– Chodźmy – westchnęła ciężko. – Na końcu korytarza jest wolna kajuta, tam cię umieścimy. Jak masz na imię?

– Alice.

– Chodźmy, Alice – powtórzyła.

Dziewczyna posłusznie podążyła za Spark.



Keller usiadł za sterami. Wcisnął kilka przycisków, sprawdził parę wskaźników. Pokręcił się chwilę na fotelu, pochylił go do tyłu i w końcu położył nogi na pulpicie. Spark tego nie znosiła.

Przystanek na Marsie to była głupota. Zakupy na Ziemi były koniecznością, na żadnej z planet Rozproszenia handel nie kwitł tak dobrze, jak na peryferiach galaktyki. Niskie ceny i solidność. Odkąd stary Układ Słoneczny przestał mieć dla ludzkości większe znaczenie, nie licząc sentymentów, gospodarka mocno kulała. Nie było jednak większego problemu z kupnem sprzętu wojskowego, którego potrzebowali. Panienki, które przewozili, były tylko przykrywką dla ziemskich celników, dokumentowały jedynie zasadność pobytu na Ziemi. Patrole układowe trzepały często statki kosmiczne w poszukiwaniu kontrabandy, i przez Kellera mało nie wpadli. Cała ta awantura z Władem i zamieszanie z Mykeym wyprowadziły go z równowagi. To wszystko przez to, że trochę sobie odpuścił, a dyscyplina na statku padła na pysk. A podczas roboty na Pontifexie nie będzie taryfy ulgowej.

Robota na Pontifexie... Brakowało mu Cooka, którego zostawił trzy miesiące temu na Polonusie, żeby przygotował mu przykrywkę. I to spotkanie z legatem miesiąc wcześniej, kiedy przyjęli zlecenie...

Z legatem spotkali się na Zeelandii, w jednym z układów należących do formacji Krzyża Południa. Położenie układu nie miało nic wspólnego z widzianym z Ziemi gwiazdozbiorem o tej nazwie, ale nawiązywało do flagi ziemskiego Stowarzyszenia Australijskiego, jeszcze sprzed czasów Rozproszenia. Ale najpierw skontaktował się z nimi pułkownik Malicki.

Malicki był oficerem wywiadu pochodzącym z Polonusa, układu gwiazdowego stanowiącego dla Kellera dom już od wielu lat. Polonus był sporą planetą obiegającą żółtego karła typu słonecznego. Większą od Ziemi, a jednak o mniejszej gęstości i, co za tym szło, sporo mniejszej grawitacji niż ta, do której przywykł Keller. Na Polonusie zawsze czuł się trochę niezdarnie, jakby miał lada chwila się przewrócić

albo odfrunąć. Wolał planety o większym przyciąganiu. Keller nie mieszkał jednak na samej planecie, a dzierżawił od rządu niewielką planetoidę o niemalże prostopadłej do ekliptyki orbicie. Generatory grawitacji zasilane z gwiazdy centralnej utrzymywały ciężenie w okolicy 1,2g. Tam Keller miał dom, swoją cichą przystań, w której mógł się ukryć. Także przed przeszłością.

Malicki zakłócił spokój domostwa Kellera, kiedy ten siedział przed kominkiem i pił koniak. Paskudny koniak. Po każdym łyku mężczyzna krzywił się okropnie, ale regularnie uzupełniał trunek w kieliszku. Chciał się upić, a ta politura była jedynym alkoholem w domu. *Trzeba było wcześniej zrobić zapasy* – skarcił się w myślach.

– Zbliża się statek – odezwała się domowa AI. – Nadaje wojskowy sygnał rozpoznawczy, prosi o pozwolenie na lądowanie w naszym porcie.

– Zezwól – mruknął Keller i wstał z podłogi.

Przesiadł się na fotel i odstawił szkło na stojący obok stolik.

– Dokowanie zakończone – zakomunikowała AI po chwili. – Pułkownik Malicki prosi o pozwolenie wejścia na posesję.

– Wpuść go. – Keller opróżnił kieliszek.

Poznali się z Malickim kilka lat wcześniej na jakimś przyjęciu na Polonusie. Nie pamiętał dokładnie, co to była za okazja. Raut w ambasadzie? Malicki bardzo się wtedy interesował Kellerem, a Keller starał się to zainteresowanie kierować w inną stronę. Nie potrzebował znajomości z wojskowymi.

Drzwi rozsunęły się i do pokoju sprężystym krokiem wszedł wysoki, umundurowany mężczyzna. Zdjął czapkę, którą włożył pod pachę i zatrzymał się na progu. Niewiele się zmienił od ostatniego razu. Krótko ostrzyżony blondyn o przenikliwym spojrzeniu, gładko ogolony, z silnie zarysowaną szczęką boksera, dobrze zbudowany. Prawdziwy obrońca ojczyzny.

– Dzień dobry, Keller. Chociaż na tej twojej planetce wschody i zachody są tak często, że nie wiem, czy to dzień, czy noc.

– Utrzymuję czas standardowy, oświetlenie jest regulowane. – Keller wskazał gestem drugi fotel.

Ale Malicki nie skorzystał z zaproszenia, stał i rozglądał się z ciekawością po pokoju. Wzrok prześliznął się przez drewnianą podłogę, kominek, regał, antyczne meble i zatrzymał się na ścianie, na której wisiała wielka głowa łosia o rozłożystych łopatach.

– Świetnie się tu urządziłeś. To prawdziwe zwierzę?

– Owszem.

– W firmie chodzi plotka, że to wszystko zostało zbudowane gdzieś daleko stąd i przywiezione. Gdzie budują takie piętrowe domki? Z drewna i w ogóle. – Malicki zatoczył łuk ręką.

– Strasznie dużo plotkujecie w tym wywiadzie – wykręcił się Keller.

– Taka praca. Trzeba dużo słuchać.



Pułkownik przeszedł przez pokój i usadowił się w końcu w fotelu. Keller dla odmiany wstał, przeszedł do barku, zabrał kieliszek i postawił przed wojskowym.

– Napijesz się? – spytał i nalał szczerze koniaku.

Malicki ujął kieliszek w dłoń, zakręcił płynem i pociągnął niewielki łyk. Posmakował i przełknął.

– Bardzo dobry koniak pijasz.

Dobry? Każdy ma swój gust i swój smak. Kellera aż wstrząsnęło na myśl o kolejnej porcji tego świństwa. Ale Malicki nie przyleciał przecież na degustację ani podziwiać zabytkową architekturę jego domostwa.

– O co chodzi? – rzucił krótko

– Do rzeczy, krótko, po żołniersku. Byłeś żołnierzem, Keller?

Zapytany nie trudził się odpowiedzią, patrzył spokojnie na Malickiego, czekając, aż ten w końcu przejdzie do sedna. Malicki uśmiechnął się krzywo.

– Otóż widzisz, rozpatrzono ponownie twój wniosek o dzierżawę tej skały. Znalezione pewne nieścisłości w dokumentacji. Brak niektórych zezwoleń. Dodatkowo... – Pułkownik zawiesił głos i z kieszeni na piersi wyciągnął notatnik.

Przejrzał go i znalazł w końcu interesujący go fragment:

– Urząd Zasiedlania Układu odkrył, że perturbacje w orbicie tej planetoidy i fakt, że znajduje się w rezonansie grawitacyjnym z dwoma innymi ciałami, o długich katalogowych nazwach, które pominę – Malicki uśmiechnął się uprzejmie – sprawiają, że stanowi ona zagrożenie czwartego stopnia dla Polonusa. Tak więc...

– Tak więc muszę się stąd wynieść, prawda?

Malicki skinął głową i przyjrzał się uważnie twarzy gospodarza, jakby wyczekując na niej radykalnych zmian sygnalizujących przerażenie, strach, wściekłość, może przynajmniej zainteresowanie. Nie doczekał się żadnego z nich.

– Ale ponieważ informuje mnie o tym oficer wywiadu, a nie urzędowe powiadomienie, to oznacza, że ktoś ma do mnie interes. Więc jeszcze raz, tym razem krótko i po żołniersku, panie pułkowniku. Co mam zrobić, żebyście zostawili mnie w spokoju, stosowne pozwolenia okazały się na powrót legalne, a ponowne badanie orbity wykazało, że moja planetoida nikomu nie wadzi?

– Lubię cię, Keller. – Pułkownik wyszczerzył się w uśmiechu.

– Obawiam się, że ciężko mi w tej sytuacji odwzajemnić się podobnym komplementem.

– Podoba mi się, że szybko łapiesz. Tak, mam dla ciebie zadanie. Zadanie, którego my nie możemy się podjąć, za duże ryzyko wpadki, a nie chcemy zostać powiązani z tym w żaden sposób.

– „My”, czyli wywiad?

– „My”, czyli Polonus.

Pułkownik wystukał coś w notesie.

– Odebrałam koordynaty – oznajmiła domowa AI spokojnym tonem.

Malicki schował notes.

– Przesłałem ci parametry. Spotkasz się z naszym człowiekiem na Zeelandii, za dwa dni. Załatwisz sprawę, odczepimy ci się od dupy.

– A wiesz – powiedział Keller zaskoczonym tonem – wtedy, gdy spotkałem cię pierwszy raz, sprawiałeś wrażenie sympatycznego człowieka.

– Doprawdy? – zdziwił się uprzejmie Malicki.

– Nie, tylko żartuję. Jaką mam gwarancję, że się odczepicie?

– Masz jedynie moje słowo. Ale pamiętaj, to sprawa wagi państwowej, więc za tym słowem stoją wysocy rangą urzędnicy, łącznie z prezydentem. Nikt nie chce cię wydymać, Keller. Chcemy mieć dobrze zrobioną robotę. A mało jest wolnych strzelców tak dobrych jak ty. Słyszałem o twoich wyczynach, o „Żabim skoku” i o regularnych wyprawach w głąb sektora Caratu. Nikt do końca nie wie co robisz, choć ja stawiałbym na przemyt i handel pod nosem Carackich urzędasów. Fakt, że jeszcze cię nie dorwali, i otaczający cię dobrobyt świadczą o tobie jak najlepiej. Poza tym... powiedzmy, mamy niejako wspólną przeszłość, prawda?

Malicki wstał i skierował się do wyjścia. Keller nie ruszył się z miejsca. Pułkownik odwrócił się w drzwiach.

– Chciałbym powiedzieć „nie spierdol tego”, ale wolę mimo wszystko powiedzieć „liczymy na ciebie”. To powinno dać ci więcej do myślenia.

Drzwi zamknęły się za nim z cichym sykiem.

– Statek Malickiego prosi o zgodę na opuszczenie portu – odezwała się AI.

Keller odczekał długie dziesięć sekund, wiedząc, że zirytuje tym pułkownika.

– Zgoda – powiedział w końcu.

Po schodach, z piętra, zszedł Craftsheek i spojrzał na przyjaciela z zaciekawieniem.

– Chyba mamy niespodziewaną robotę – rzucił do niego Keller. – Słyszałeś?

– Słyszałem. Mam lecieć z tobą?

– Nie, zabiorę Cooka, siedzi teraz na Romie, więc jeśli spotkanie jest na Zeelandii, to mam po drodze.

Craftsheek skinął głową i usiadł w fotelu, w którym chwilę wcześniej siedział Malicki. Wyciągnął ręce w stronę kominka i zatarł je.

– To ci szkodzi – powiedział, wskazując podbródkiem na stojącą butelkę. – I nie chodzi mi o wątrobę, Ian. Rzuć to gównno.

Keller pokiwał głową, jakby zgadzał się z radą przyjaciela. Nic jednak nie wskazywało, by wziął ją sobie głęboko do serca. Nalał sobie koniaku i wziął długi łyk. Posmakował na języku i w końcu wypluł

z powrotem do kieliszka. *Pocałuj mnie w dobry rocznik* – pomyślał pod adresem Malickiego.

Wyruszyli dwa dni później. Keller zabrał tylko Cooka i Mykey'ego, reszta załogi miała urlop i przepuszczała ciężko zarobione pieniądze w barach i kasynach. Z tego co wiedział, każdy na innej planecie.

Wylądowali w porcie kosmicznym w Keewee, stolicy Zeelandii. Na spotkanie poszli tylko z Cookiem, Mykey naćpał się tuż przed lądowaniem i zamknął w swojej kajucie. Dobrze się stało, Keller i tak nie miał zamiaru zabierać lekarza na spotkanie.

Na miejsce dotarli taksówką, Keewee, jak większość miast portowych, było rozległe, a miejsce, w którym mieli się spotkać, daleko na peryferiach. Żółty jumper zabrał ich w krótką podróż ponad miastem, podczas której mogli podziwiać jego architekturę. Poskręcane wysokościowce sięgające chmur, olbrzymie mrówkowce w kształtach piramid i opuszczoną stację windy orbitalnej. Keewee leżało nad malowniczym jeziorem, rozciągającym się na północy, z tej odległości jego tafla wydawała się być zupełnie gładka. Kellerowi przypomniało to widok jego rodzinnego miasta.

Wylądowali w brzydkiej, zaniedbanej dzielnicy, o wąskich ulicach, z mnóstwem szyldów, neonów i reklam. Taksówkarz wyrzucił ich pod wskazanym numerem i błyskawicznie się zmył, jakby okolica nie należała do jego ulubionych. Keller to rozumiał. Ulica była wąska, paskudna i pusta. Miał wrażenie, że są obserwowani, ale na ulicy nie było żywego ducha. Broń musieli zdać w porcie i nie dodawało mu to otuchy. Spojrzał na numery domów.

– To chyba tutaj – powiedział Cook, wskazując odrapaną klatkę schodową.

Zgadzało się.

Cook wszedł do środka, zanim Keller zdążył zaprotestować. Przeklął w myślach przyjaciela, Cook zawsze był nadmiernie ciekawski. Pobiegnął za nim.

Weszli po schodach na pierwsze piętro i stanęli przed szarymi, plastikowymi drzwiami z numerem 3. Cook zapukał i wzdrygnął się.

– Skanują nas – powiedział.

Keller nic nie czuł, ale Cook był bardziej wrażliwy na te rzeczy. Ktokolwiek był w środku, teraz dokładnie ich prześwietlał.

Drzwi otworzyły się nagle, chowając w ścianie. Mężczyźni spojrzeli po sobie i weszli do środka.

Mieszkanie miało tylko jeden olbrzymi pokój, na środku którego stał ciemny stół. Za stołem siedział mężczyzna, ubrany w płaszcz z kapturem. Zaprosił ich gestem, aby podeszli bliżej. Podłoga zmarszczyła się i wypluła dwa taborety o okrągłych siedziskach.

Usiedli.

– Miał pan być sam. – Gospodarz zsunął kaptur, ukazując pobrużdżoną zmarszczkami twarz i siwe włosy starca. Ciemne oczy obserwowały ich uważnie, ale nie było w tym wzroku szczególnego napięcia.

Jego głos brzmiał ciężko, chrapliwie.

– To jest Cook, mój przyjaciel, któremu ufam stuprocentowo – powiedział Keller. – I tak powtórzyłbym mu cały przebieg naszej rozmowy, więc nie ma co tracić czasu.

Gospodarz skinął głową, akceptując wyjaśnienie.

– Zatem nie traćmy go. Panie Keller, panie Cook, nazywam się Albert Caruso i jestem legatem papieskim.

– Z którego papiestwa? – rzucił Keller podstępnie.

Mężczyzna uśmiechnął się i potarł brodę dłonią. Na palcu serdecznym pysznił się złoty pierścień, zdobiony wielkim, krwawoczerwonym rubinem.

– Powinienem odpowiedzieć, że z tego właściwego, ale myślę, że będą panowie potrzebować krótkiego wykładu.

Keller poruszył się niespokojnie.

– Nie może pan powiedzieć po prostu, o co chodzi? – zapytał.

– Myślę, że to dość ważne z punktu widzenia waszej misji.

– Zatem słuchamy.

Albert Caruso odchrząknął i oparł się wygodnie. Jego krzesło było prawdziwym meblem, a nie konstruktem elektroplastycznej podłogi, na których siedzieli Keller z Cookiem.

– Kiedy tysiące lat temu rozpoczęło się Rozproszenie i ludzie sięgnęli gwiazd, wywołało to bardzo poważny oddźwięk w Kościele Katolickim. Ziemia pustoszała, opuszczały ją czasem nawet całe państwa, osadnicy zakładali pierwsze kolonie, które szybko ogłaszały niepodległość. To samo, niestety, dotknęło Watykanu. Był wówczas małym państwem, utożsamianym ze Stolicą Apostolską, i uświęconą wieloletnią tradycją siedzibą papieży. Kościół opierał się Rozproszeniu bez większego szwanku przez około czterysta lat. Potem wszystko zaczęło się psuć. Ziemia traciła powoli swój status; owszem: była kolebką ludzkości, ale leży przecież na obrzeżach galaktyki, z daleka od układów centralnych, gdzie istnieje olbrzymia ilość planet do zamieszkania w relatywnie niewielkich odległościach. Lokalne delegatury Kościoła, rozsiane w kosmosie, traciły kontakt z Watykanem, zwracając się w stronę nowego układu, który uzurpował sobie prawo do nazywania się Nową Stolicą Apostolską. To był Pontifex. W Kościele nastąpił rozłam, który historia nazwała potem Wielką Schizmą Podwójną. Podwójną, ponieważ z jednej strony papieżem ogłoszono kardynała z Pontifexu, który przybrał imię Ewarysta II, z drugiej strony Watykan potrzebował nowej siedziby i jego dostojnicy również opuścili Ziemię, aby założyć Nową Stolicę w innym miejscu. Watykan nie został oczywiście porzucony, nie opuszczono przecież pozostałych na Ziemi wiernych. Ale pojawili się wysłannicy Pontifexu, którzy rozpoczęli grabienie wszelkich relikwii kościelnych, jakie tylko dało się odnaleźć. Najpierw potajemnie, podając się za wysłanników Watykanu, potem coraz śmielej, na koniec doszło niemalże do wojny, kiedy okazało się, że okradziono

prawie całą Bazylikę Świętego Piotra. Ale nie tylko. Na całej planecie skradziono mnóstwo dzieł sztuki i relikwii. Przykładowo tunikę z Argenteuil, sandały Jezusa z Prim, Świętego Graala z Walencji, Całun Turyński... mógłbym tak wymieniać bardzo długo. Z bazyliki zginęło kilka ciał pochowanych w katakumbach papieży i część księgozbioru. To było straszne. W końcu ziemską granicę udało się uszczelnić i grabieże ustały. Schwytano i osądzono kilku złodziei, odbył się nawet głośny proces „łupieżców z Pontifexa”... Niektóre relikwie udało się odzyskać, ale oczywiście nie wszystkie. Naturalnie, Ewaryst II, twierdzący, że to on jest prawdziwym papieżem, przedkładał swoje sfabrykowane dowody oraz zeznania kardynałów. Oczywiście po drugiej stronie mieliśmy dowody historyczne, ale, koniec końców, schizma stała się faktem. A ty, synu? – Legat nagle zwrócił się do Kellera. – Jakiego jesteś wyznania?

Keller zamrugnął, zaskoczony. Oczywiście był świadomy istnienia dwóch Kościołów i został nawet ochrzczony. Ale Kościół był dla niego po prostu „Kościółem”, nie zastanawiał się nigdy, czy obrzędu watykańskiego, czy pontifexowego. Choć kiedyś słyszał rozmowę ojca z jakimś księdzem... mówili chyba o Watykanie. *I kiedy to stałem się synem legata?* – pomyślał.

– Jestem ateistą – wybrnął w końcu.

Ojciec Caruso pokiwał głową smutno, jakby nie spodziewając się innej odpowiedzi.

– Zadanie, które mamy dla was, będzie dość skomplikowane. Otóż zbliża się święto Ukrzyżowania Jezusa Chrystusa. Jest to okrągłe święto, mamy równo czwarte tysiąclecie, na Pontifexie odbędą się z tej okazji obchody nazwane „Czwartym Millenium”. Waszym zadaniem jest przeniknięcie w tym czasie na Pontifex i kradzież jednej z relikwii. Dlaczego wtedy? Będzie tam olbrzymia ilość turystów, władców i urzędników z różnych planet, łatwiej będzie się wtopić w tłum. Haczyk jest następujący – macie skraść relikwię w ten sposób, aby papież uzurpator nigdy się nie dowiedział, że została ukradziona. Następnie relikwia ma zostać przewieziona do nas, na Nowy Watykan.

– Jaki dokładnie jest związek pomiędzy Watykanem a Polonusem? – zapytał Keller.

– A gdzie leży Nowy Watykan? – odpowiedział pytaniem legat.

– Watykan leży na Polonusie – podsunął usłużnie Cook.

Kellerem tąpnęło. Cholera, jak mogło mu to uciec z głowy. Faktycznie. Przypomniał sobie w końcu, gdzie spotkał pułkownika Malickiego. To było podczas któregoś ze świąt kościelnych, właśnie na terenie Watykanu. Religia nie absorbowwała Kellera na tyle, żeby zawracać sobie głowę takimi rzeczami. Teraz zrozumiał, skąd w tym religijnym kotle wziął się Malicki. Nieważne, samo zadanie, które usiłowano im wcisnąć, było praktycznie niemożliwe do wykonania. Czy też, jak sobie to wyjaśnił Keller w kościelnym kontekście: „graniczyło z cudem”.

– Oczywiście zdajecie sobie sprawę, że w przypadku złapania jesteście zdani tylko na siebie. Nigdy się nie spotkaliśmy, nigdy nie rozmawialiśmy. Watykan się wyprze, Polonus o was zapomni.

– A co dokładnie mielibyśmy ukraść, ojciec Caruso? – zapytał Cook.

– Zwłoki jednego z papieży. Właściwie to zapewne jedynie szkielet, należący do jedyne go pochodzącego z Polski, jednego z ziemskich krajów jeszcze sprzed Rozproszenia, obejmującego pontyfikat w XX wieku, papieża Jana Pawła II.

Zapadła cisza. Keller i Cook spojrzeli na siebie zaskoczeni.

– Czy ja usłyszałem „zwłoki papieża”? – zapytał Keller.

– Ja też tak usłyszałem – potwierdził Cook.

– Chodzi o szkielet sprzed dwóch tysięcy lat?

– Dokładnie tak, szkielet z XX wieku.

– Przepraszam bardzo – Keller spojrział z troską na legata – czy ojciec zażył dziś swoje lekarstwa?

– Panowie – Caruso rozłożył ręce – mamy pewien plan, przy panów pomocy uda się go dopracować...

Keller go nie słuchał. Wstał i klepnął w ramię Cooka.

– Stary, właśnie straciłem zajebistą planetoidę. Pomożesz mi przy przeprowadzce?

– Pewnie! – Cook również się podniósł. – Chyba musimy już ruszać, prawda? Będzie sporo roboty.

– Trochę będzie...

– Panie Keller! – Legat podniósł się ze swojego krzesła. Nawet wyprostowany był niższy o głowę od obu mężczyzn. Ale w jego spojrzeniu czaiła się olbrzymia determinacja.

– Panie Keller – powtórzył. – Miałem tego nie mówić, pułkownik Malicki o tym nie wie, ale my wiemy. Zdaję sobie sprawę, że może to odmienić pana punkt widzenia na całą sprawę, że wprowadzić to może olbrzymią niewiadomą do całej operacji, ale... podczas obchodów Czwartego Millenium pojawić się mają również przedstawiciele Caratu. I proszę to potraktować jako część zapłaty. Wśród zaproszonych będzie generał Noskow.

Nazwisko zadziało na Kellera jak magnes. Usiadł na powrót na taborecie i pociągnął Cooka za rękę, aby uczynił to samo.

– Ojciec Caruso – powiedział. – Ma pan moją absolutną uwagę.

– Warunkiem jest udział naszego obserwatora przy zadaniu – dodał szybko legat.

Cook popatrzył na przyjaciela.

– Obawiam się, że teraz może sobie pan zażyczyć wszystkiego, ojciec. Ale jedną z moich funkcji w załodze kapitana Kellera jest dbanie o kondycję finansową. Ile zapłacicie?

Legat uśmiechnął się promiennie.

– Wystarczająco, abyście byli zadowoleni.

Keller drgnął nagle, jakby coś go wyrwało z drzemki.

– Ale nie będzie to „Bóg zapłać”, ojciec Caruso? – rzucił bezczelnie.

Legat skrzywił się w odpowiedzi, złożył ręce i wznosił oczy ku niebu.





W mesie siedzieli wszyscy – Spark, Moyra, Vlad, Craftsheek i Mykey, który zjawił się dobrowolnie. Załoga najwyraźniej czekała na burę, którą im zapowiedział. Zamiast tego Keller zdecydował się w końcu powiedzieć im o robocie, którą dostał. I teraz członkowie załogi będą mieli okazję zdecydować, czy chcą wziąć udział w przedsięwzięciu, za które można skończyć w pontifexowych lochach, ale za które w przypadku sukcesu otrzymają sowite wynagrodzenie, czy też wolą wziąć bezpłatny urlop na czas operacji.

Przygotowania już się rozpoczęły. Teraz nadchodził czas decyzji. Musiał wiedzieć, kto w to wchodzi, a kto rezygnuje.

– Mówisz poważnie, kapitanie? – zapytała Moyra, kiedy Keller skończył mówić. – W życiu bym nie odpuściła takiej akcji!

– Kasę dostaniemy legalnie? – dodał Vlad. – Bo ja strasznie nie lubię płacić podatków.

– Ja też wchodzę, Keller. – Spark skinęła głową. – Serio, taka kasa kusi.

– Kasa kasą. – Kapitan spojrzał na nich uważnie. – Ale jeśli coś się posypie, będzie z nami krucho. Dlatego nie mówię wam, kto jest zleceniodawcą. Jeśli nas dorwą, urządzą nam przesłuchanie, nikt się nie będzie patyczkował. Lepiej żebyście nie wiedzieli wszystkiego.

Spojrzał na Craftsheeka, który tylko przymknął oczy. Keller wiedział, że może na niego liczyć i nie musiał go pytać o zdanie. Pozostała tylko jedna osoba.

– Mykey? – zapytał.

Lekarz wydawał się być nieobecny. Wpatrywał się w kąt mesy, jakby myśląc nad czymś intensywnie. *Naprany, cholera* – pomyślał Keller. *Nie ma mowy, żeby się zdecydował.*

Zapadła nerwowa cisza.



Keller miał już ponownie go zawołać, ale w tym momencie Mykey odwrócił głowę i spojrzał prosto na kapitana. Spojrzenie miał zaskakująco trzeźwe.

– Pontifex – powiedział spokojnie i nagle roześmiał się głośno, wręcz zaraźliwie. Klasnął w dłoń.

– Wiecie, nigdy nie miałem zakonnicy.

– Zboczeniec! – wypaliła Spark. – Myślisz tylko o jednym.

– Ja ci nie wytykam, że myślisz tylko o pieniądzach, każdy ma jakieś marzenia – odciął się lekarz. –

A właśnie, nigdy nie proponowałem ci forsy...

– Nigdy! – parsknęła Spark rozbawiona.

– Uspokójcie się! – przerwał im Keller. – Jest jeszcze jedna rzecz, o której niemal zapomniałem. Muszę was opieprzyć.

Skrzywili się.

W ostatniej chwili Moyra postanowiła odwlec jeszcze przez chwilę nieuniknione i zadała pytanie, które nurtowało wszystkich od jakiegoś czasu.

– Kapitanie, a gdzie jest Cook?

Tego Keller wolał im nie ujawniać.



Cook był na Polonusie i rozmawiał z Malickim.

Pułkownik kończył właśnie czytać listę rzeczy, które miał załatwić dla Kellera. Spojrzał na Cooka i pokręcił głową.

– Nie wiem, czy to przejdzie – powiedział niechętnie.

– Musi przejść – uśmiechnął się Cook. – Bez tego będzie dziesięć razy trudniej. A być może nawet się nie uda.

Malicki zacisnął usta i spojrzał jeszcze raz na listę. Nie lubił Cooka. Ten wysoki mężczyzna o nijakiej twarzy i trochę za szeroko rozstawionych oczach budził jego niepokój. Z całej załogi Kellera jego jednego nie udało się przeświecić. Nie wiadomo było, skąd pochodził, nie figurował w żadnych bazach danych, w żadnych spisach. Brak kartoteki kryminalnej, brak nawet aktu urodzenia. Malickiego to denerwowało. Przecież każdy zostawiał jakiś ślad, a Cook łamał ten schemat. Na odkrycie, że Cook właściwie nie istnieje, pułkownik poświęcił kiedyś zadziwiająco dużo czasu.

– Szpieg Pontifexa – mruknął w końcu niechętnie. – No dobra, znajdzie się taki. Schwytyany kilka miesięcy temu na Ziemi i obecnie tam przetrzymywany. Powiedz mi, Cook... po cholere on wam potrzebny, co?

Cook nie odpowiedział. Malicki westchnął i wystukał coś na leżącej przed nim klawiaturze. Szklana ściana za jego plecami przygasła i pojawiła się na niej twarz więźnia. Pociągła, chuda twarz o garbatym nosie, ostre spojrzenie. Ciemne, potargane włosy. Tuż nad ustami widniała cienka blizna biegnąca w stronę prawego policzka.

– Ojciec Ettore Conti – przedstawił go Malicki. – Schwytyany na gorącym uczynku, zdjęty cichaczem, zakładamy, że jeszcze nie jest spalony. Rzekomo jezuita, w rzeczywistości dominikanin. Sługa wysokich

hierarchów Kościoła Pontifexańskiego, podlega jednemu z bliskich papieżowi biskupów.

– Doskonale! – Cook zatarł ręce. – Biorę go!

– Słucham? – Pułkownik wytrzeszczył oczy. – Jak to „bierzesz”?

– No, jak tylko podpisze pan stosowne dokumenty, lecę na Ziemię i go zabieram.

– Cook. Nie wiem, co planujecie, ale ten typ jest odporny na indoktrynację. To radykał. Nie da się przekabacić na waszą stronę. Na pewno jest szkolony przeciw warunkowaniu. A jeśli spróbujecie, to nie ma żadnych gwarancji, że was nie zdradzi, jak tylko znajdzie się na wolności.

– Panie pułkowniku. – Cook znowu się uśmiechnął. – Proszę mi zaufać. Wy chcecie mieć zrobioną robotę, a my potrzebujemy narzędzi.

Malicki zacisnął zęby. Najchętniej wyrzuciłby tego człowieka ze swojego biura, ale naciski ze strony szefostwa...

Bez słowa pochylił się nad komputerem i zaczął wypisywać stosowne pełnomocnictwa.

– Proszę dorzucić zgodę na opuszczenie Ziemi i wyposażyć w immunitety podróżne – dodał Cook.

To nie podobało się Malickiemu zupełnie, ale nie miał wyjścia. Nikt raczej nie powinien powiązać w jakikolwiek sposób ojca Ettore z Polonusem czy Watykanem. Ale miał wrażenie, że Cook nie wie, na co się porywa.

W końcu skończył pisać. Ze szczeliny stojącej na biurku drukarki wysunęła się plastikowa karta. Malicki podał ją Cookowi.

– Jest na okaziciela – powiedział. – Życzę powodzenia.

– Dzięki – powiedział Cook, chowając kartę do kieszeni. – Przyda się, z pewnością.



Kiedy tylko Truposz podładował zasoby ciemnej energii, skierowali się ku najbliższemu układowi o nazwie Demeter. Nazwy układów zwykle brały się od głównej planety – rzadko zdarzało się, aby w ekosferze krążyła więcej niż jedna nadająca się do zamieszkania. Od tej reguły bywały oczywiście wyjątki, a Demeter była tego dobrym przykładem, ze swoją planetą podwójną o nazwach Dedal i Ikar. Zatrzymali się tam jedynie, żeby zatankować do pełna wyczerpane przez ostrzał laserowy patrolowca akumulatory.

– Kolejny przystanek to Kyboe – powiedział Keller. – Tam zrzucamy naszych przemiłych gości i towar.

Siedział w fotelu pilota, za nim stała Spark, uważnie obserwując poczynania kapitana. Nie miała się do czego przyczepić, nie raz zastanawiała się, po co mu pilot, kiedy wyglądało na to, że za sterami Truposza radzi sobie lepiej niż ona.

– A co potem? – zapytała.

– Zostaniemy tam jeden dzień. Ten transport wybrałem nieprzypadkowo, na Kyboe jest ktoś, z kim muszę się spotkać.

– A potem?

– Potem do układu Bachusa.

– Po co? – indagowała Spark.

– Bo mają tam najlepsze wina w galaktyce – odpowiedział jej Craftsheek, pojawiając się jak duch za jej plecami. – Keller, jak będziemy na Kyboe, muszę zrobić przegląd napędów. Wygląda na to, że kompensator mocy przymula.

– Dobra. – Keller skinął głową. – Spark, przejmij stery.

Wstał zza pulpitu sterowania i ruszył w stronę wyjścia. Dziewczyna posłusznie zajęła jego miejsce

i pogłaskała *dashboard*.

– Już, maleńki. Mamusia wróciła – szepnęła do Truposza. Uwielbiała ten statek. Był jednostką, która doskonale radziła sobie zarówno w dalekim kosmosie, jak i w planetarnych atmosferach. Latała wcześniej na wielu statkach, ale ten prowadził się jak marzenie. I jeszcze ta sprytna pokładowa sztuczna inteligencja. Czasem Spark miała wrażenie, że AI czyta jej w myślach.

Sprawdziła wykresy i zgodnie z poleceniem zaprogramowała kurs na Kyboe. Jeśli dobrze wszystko obliczy, uda im się dostać tam w jednym Q-skoku.

Keller i Craftsheek zeszli tymczasem piętro niżej.

Truposz miał dwa pomieszczenia do przewozu cargo, rozmieszczone symetrycznie na obu burtach, poniżej pokładu głównego. Ściany obu ładowni zostały pomalowane na różne kolory już dawno temu – ta na sterburcie miała kolor czerwony, a na bakburcie zielony. Keller twierdził, że ułatwia to wydawanie poleceń załodze.

Obecnie obie ładownie były załadowane po brzegi plastikowymi skrzynkami, upstrzonymi reklamami producenta. Kawa prosto z Ziemi, prawdziwy rarytas. Legalny, oczywiście. Keller zaoferował transport Truposzem, dając jakąś abstrakcyjnie niską cenę. Potrzebował dostać się Kyboe i mieć w razie czego dobre alibi, gdyby przypadkiem ktoś zechciał prześledzić trasę statku.

Mężczyźni minęli ładunek i zatrzymali się przed dużą stalową skrzynią wielkości trumny, upchniętą na samym końcu, pod ścianą. Keller pochylił się nad nią i sprawdził zabezpieczenia.

– Jesteś pewny, że będziemy tego potrzebować? – zapytał Craftsheek.

– Pewny? Nie, absolutnie nie. Właściwie to bardzo nie chciałbym tego kiedykolwiek włączać. Ale może się przydać, jeśli sprawy przybiorą zły obrót.

– Oby nie. Z kim chcesz się spotkać na Kyboe?

Keller otworzył niewielki panel z boku skrzyni i wprowadził długi kod. Coś szcęknęło metalicznie i skrzynia otworzyła się. Kapitan gapił się przez chwilę na znajdujący się w środku mechanizm i w końcu zamknął kłapę. Zabezpieczenia włączyły się na powrót.

– Ze Stiopą.

– Ooo!?! – zdziwił się mechanik. – Stiopa! Parę ładnych lat minęło, od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. A mogę wiedzieć, po co chcesz spotkać się z dawnym carackim nanobotykiem?

– Pewnie, że możesz. – Keller odwrócił się i skierował do wyjścia. – Potrzebuję jego specjalistycznych usług, rzecz jasna.

– Zakładam, że te usługi dotyczą mniej oficjalnej części planu.

– Zdecydowanie tak.

– Lubisz być przygotowany. – Craftsheek uśmiechnął się szeroko. – Mogę iść z tobą? Stęskniłem się za tym ruskim draniem.

– Kiedy oduczysz się nazywać mieszkańców Caratu „ruskami”, co?

– Chyba nigdy. Dla mnie Carat i Demokratyczne Republiki Nowej Rosji mają te same korzenie. Czy na Bachusie dołączy do nas ten obiecany obserwator Watykanu?

– Tak.

– Jak tam będziemy, muszę kupić skrzynkę czerwonego Moulin. Serio, to najlepsze wino w galaktyce. – Craftsheek przymknął oczy.

– Po co ci to? Przecież alkohol na ciebie nie działa.

– Wącham je. Ma znakomity aromat.

– Wąchasz je? – powtórzył za nim Keller.

– Wącham. Dlatego potrzebuję skrzynkę, szybko wietrzeje.

Keller zamyślił się.

– Kompensator mocy nie zamula, prawda?

– Nie – przyznał Craftsheek. – Moje dyspensery nawalają. Za dwa dni skończy mi się żarcie.

– Dasz radę to naprawić na Kyboe?

Craftsheek popatrzył na przyjaciela i wyszczerzył zęby.

– Nie mam wyboru, prawda?



Przetransportowanie ojca Conti z Ziemi na Romę było dość prostym zadaniem. Dokumenty wystawione przez Malickiego dały Cookowi dostęp do więzienia, nikt nie zadawał zbędnych pytań. Ettore Conti, zahibernowany i zapakowany w stalową krioskrzynię, trafił na pokład wynajętego przez Cooka statku bez żadnych problemów.

Cook lubił Romę. Była to właściwie jedyna planeta w całej Unii, na której czuł się jak w domu. Ludzie byli dla siebie uprzejmi i mili, nie wtrącali się w nieswoje sprawy, a poproszeni o pomoc wykazywali się olbrzymim zaangażowaniem. Cook miał tam wielu znajomych, którym czasem wyświadczał przysługi, a czasem oni jemu.

Wcześniej wynajął anonimowo piękny domek w górach, na północy, z eleganckim mikroportem umożliwiającym cumowanie niewielkich statków kosmicznych. Miejsce było dyskretne i odosobnione.

Cook zatoczył nad domkiem koło. Port był pusty.

Wylądował tam z gracją, zadokował i przeszedł do ładowni. Oprócz przetrwalnika z jego więźniem znajdowała się tam druga skrzynia, o połowę mniejsza. Cook otworzył ją i obejrzał zawartość. Załadowana była po brzegi sprzętem elektronicznym – mierniki, przewody, elektrody i monitory.

– Witamy na intensywnej terapii – powiedział cicho do siebie.

Wszedł do domu i rozejrzał się po pomieszczeniach, oceniając ich przydatność. W końcu zdecydował się na jadalnię, była największa. Najpierw opróżnił ją ze zbędnych w jego mniemaniu mebli, pozostawiając jedynie szeroką kanapę. Kiedy wszystko było gotowe, zaczął przenosić sprzęt ze statku, konstruując coś, co faktycznie przypominało szpitalną salę.

Kiedy uznał, że wszystko działa jak należy, powrócił na statek. Przyciągnął z niego krioskrzynię z ojcem Conti i zaparkował obok kanapy. Sprawdził parametry życiowe na panelu informacyjnym i pokiwał

głową z zadowoleniem. Uruchomił procedurę wybudzania. Skrzynia zabuczała cicho, a zegar na wyświetlaczu rozpoczął wsteczne odliczanie.

Nie zajęło to dużo czasu. Cook zdążył jedynie rozstawić kilka urządzeń i podłączyć do nich zasilanie, zanim wieko skrzyni uchyliło się z cichym sykiem. Zajrzał do wnętrza. Ojciec Conti leżał na plecach, nieprzytomny. Panel informacyjny zaświecił się na czerwono, coś musiało odbiegać od normy, bo nagle strzelił defibrylator, a ciało dominikanina wyprężyło się gwałtownie. Po kilku minutach ze skrzyni znowu dobiegły popiskiwanie, a panel przygasł i zmienił kolor na zielony, informując, że wybudzenie dobiegło końca. Pacjent był gotowy do odbioru.

Cook odłączył czujniki hibernatora od bladego ciała Conti. Cewnik po namyśle zostawił. Założył swojemu pacjentowi wenflon, podłączył do niego kroplówkę, następnie na piersi i czole ojca Conti przykleił elektrody wariografu. Na koniec włączył kamerę termowizyjną.

Począł kilka minut, ale ponieważ mężczyzna dalej się nie budził, poklepał go po policzku, najpierw łagodnie, a potem, kiedy nie przyniosło to żadnego rezultatu, mocniej.

Conti otworzył oczy, które natychmiast zaszyły mu łzami. Cook przetarł je delikatnie gazą.

– Gdzie jestem? – zapytał słabo dominikanin.

– W bezpiecznym miejscu – uśmiechnął się Cook.

Conti zamrugał.

– Dlaczego nie mogę się ruszać?

– Podaję ci specyfik powodujący pewne ograniczenie funkcji motorycznych.

– Kim jesteś?

– Kimś, z kim musisz porozmawiać. Bardzo poważnie porozmawiać.

Wstał i wyjął z torby ampułkostrzykawkę. Sprawdził oznaczenie na niej i wbił w woreczek kroplówki. Przycisnął tłok i poczekał, aż płyny się zmieszają.

Conti zadawał kolejne pytania, ale Cook ignorował go, zajęty aparaturą. Poczekał chwilę, aż narkotyk dotarł do krwiobiegu mężczyzny, a jego oczy zmętniały. Upewnił się, że osiągnął zamierzony efekt, sprawdzając skurcz źrenic małą latarką. Na koniec zamknął krioskrzynię i usiadł na niej.

– Teraz ja mam parę pytań – powiedział, zerkając na wariograf. – Na początek powiedz, jak się nazywasz i kto jest twoim przełożonym?

Za pierwszym razem Conti skłamał.

Ale w ciągu kolejnych trzech dni przesłuchania komputer wariografu nauczył się wszystkich reakcji fizjologicznych ojca Conti tak dobrze, że odnajdywał najmniejszy nawet fałsz w udzielanych odpowiedziach.

Cook dał odpocząć swojej ofierze dopiero po trzech dniach. Nie, nie torturował go fizycznie, ale ciągłe przesłuchanie, deprywacja snu, bezustannie serwowane środki farmakologiczne sprawiły, że Conti był na



granicy zapaści.

Cook był zadowolony. Wszystko poszło całkiem zgrabnie, zebrał mnóstwo potrzebnych informacji i została jeszcze jedna rzecz do wykonania. Najważniejsza.

Jednak nie docenił dominikanina.

Cook miał przy sobie broń – laserowy impulser. Nosił ją zazwyczaj w kaburze na boku, skąd łatwo było ją dobyć. Jakież było jego zdziwienie, kiedy trzeciego dnia wieczorem, zmieniając kroplówkę, zobaczył jego tępo zakończoną lufę wymierzoną prosto w swoje prawe oko.

Conti nadal leżał na kanapie, podłączony do urządzeń monitorujących, i ręka z bronią drżała mu nieco, ale z tej odległości bezodrzutowym impulserem trafiłoby nawet dziecko.

Cook nie wiedział, jak Conti odzyskał władzę w rękach. Najpewniej źle obliczył dawkę paralizującego ojczulka leku, ale nie był to dobry czas na takie rozważania.

Teraz był czas, by napastnika zdezorientować.

– Posłuchaj... – zaczął mówić Cook, unosząc ręce do góry.

Ale ojciec Conti nie pozwolił się zagadać.

Nacisnął spust i promień lasera przepalił czaszkę Cooka na wylot.



Port kosmiczny na północnej półkuli Kyboe był potwornie stary. Stał ponoć w miejscu, gdzie wylądował pierwszy statek kolonizacyjny, czego dowodem miał być rzekomo umiejscowiony centralnie wrak. Był pomnikiem, który nigdy nie doczekał się statusu muzeum, i Keller wiedział dlaczego. Statek był stary, to prawda, ale był to transportowiec wyprodukowany przed najwyżej tysiącem lat. Nie było szans, żeby pamiętał czasy Rozproszenia, ani tym bardziej, żeby przewoził kolonistów – był przystosowany tylko do przewozu ładunków. Ale przecież każda planeta miała swoje legendy, tradycję i historię, a Kyboe nie było pod tym względem inne.

Spark zadokowała Truposza elegancko i bez większych problemów.

W czasie, gdy Keller poszedł załatwiać dokumenty, Moyra, Vlad i Craftsheek pilnowali rozładunku. Pięć pań, które gościli na pokładzie, po uiszczeniu opłaty zabrało swoje rzeczy i zwolniło kajuty. Vlad nie przyszedł się pożegnać.

Kiedy pracownicy portowi odebrali ładunek i transakcja przewozu została potwierdzona przez pokładowe AI, Craftsheek zebrał całą załogę.

– Mamy dwadzieścia godzin postoju – oznajmił wszystkim. – Możecie skorzystać z dobrodziejstw Kyboe.

– Zakupy! – ucieszyła się Spark. – Moyra? Przyłączasz się?

– Z chęcią – zgodziła się zapytana. – Tylko wezmę najpierw prysznic.

– Mykey – dodał Craftsheek surowym tonem. – Pamiętasz o zakazie kapitana, prawda? Żadnych pańienek na pokładzie. I zajmij się Alice.

– Kim jest Alice? – zdziwił się Mykey.

– Dziewczyną, którą znaleźliśmy ostatnio w mesie.

– A, ona... – Mężczyzna wyszczerzył się. – Tak jest, zaopiekuję się nią. Zresztą ona chciała lecieć na Kyboe, nie ma problemu.

Craftsheek wywrócił oczami. Nie był przekonany, czy Mykey mówi prawdę, czy konfabuluje po prochach.

– Ja pomogę – powiedziała Spark z rezygnacją.

– Dzięki. – Mechanik skinął głową. – A teraz ruszajcie, za pół godziny ma was tu nie być.

Vlad zmył się jako pierwszy, dziewczyny były gotowe parę minut później. Najdłużej zeszło się Mykey’emu, który musiał doprowadzić do przytomności dziewczynę. A kiedy ta ocknęła się i zaczęła mu robić awanturę, Craftsheek wszystkich wykopał ze statku i wciągnął trap.

Mając w końcu chwilę spokoju, wrócił do ładowni, upewnił się, że podczas rozładunku pominięto najważniejszą skrzynię i wrócił do swojej kajuty. Wyciągnął narzędzia i rozmontował przednią osłonę dyspensera żywności. Gdzieś najwyraźniej był wyciek, bo całe wnętrze uwalane było żółto-zieloną mazią. Wziął szmatę i zaczął mozolnie wycierać wszystkie rurki i przewody, aż dotarł do głowicy miksującej.

Keller zastał go umorusanego i zagrzebanego do połowy w środku urządzenia.

– Przyprowadziłem fachowca – rzucił. – Nie wiedziałem, że sam się za to zabierzesz.

– Zabrałem się i nic! – zadudniło z wnętrza maszyny. Craftsheek wysunął się ostrożnie i odwrócił.

Kapitan był w towarzystwie niskiego, skośnookiego mężczyzny ubranego w szary kombinezon roboczy.

– To jest pan Jamati – przedstawił go Keller. – Ma doświadczenie w nietypowych naprawach.

Craftsheek wyszczerzył się radośnie.

– Proszę zatem się brać do pracy – powiedział.

– Pan mieć schematy? – zapytał Jamati w łamanym stanlangu. Miał piskliwy głos i dodatkowo okropnie zmiękczał słowa.

– Tak, zaraz wyjmę. – Craftsheek wytarł ręce i zaczął w szufladach. – Według mnie poszło mieszać i wytapiacz. A głowica jest chyba pęknięta...

– Pan dopłacać za rada i patrzenie? – zapytał Jamati spokojnie.

– Co?

– Wydaje mi się – powiedział Keller – że on się pyta, czy zapłacisz mu dodatkową kasę za to, że będziesz mu przeszkadzał podczas pracy.

Craftsheek skrzywił się. Wyciągnął z szuflady biurka schemat dyspensera i podał panu Jamati bez słowa.

– Papier? – zdziwił się uprzejmie mechanik.

– Tak, papier. Proszę się brać do roboty, będziemy się trzymać z daleka.

Pan Jamati kiwnął krótko głową i otworzył swoją skrzynkę z narzędziami.





Keller i Craftsheek szli główną aleją miasta, która zlokalizowana była na środkowym poziomie piętrostrady. Zbudowana z półprzezroczystego materiału, ukazywała niższe poziomy, po których pędziły z olbrzymią prędkością pojazdy, to wyprzedzając się, to wymijając z szaloną wręcz prędkością. Na górze było równie tłoczno, przez kolejne poziomy prawie nie było widać nieba. Ulica, którą szli, była jedyną pozbawioną ruchu zmotoryzowanego – na całej szerokości przechadzali się ludzie – zarówno turyści, jak i mieszkańcy Kyboe, zaglądający do okolicznych sklepów, restauracji, barów i stoisk z pamiątkami, oświetlonych setkami neonów i upstrzonych reklamami. Keller przypomniał sobie nazwę – Aleja Marzeń. Ponoć każdy mógł kupić w tym miejscu co tylko zapragnął – od świecącej figurki prezydenta Kyboe, przez wszelkiej maści elektronikę użytkową, a na kontraktowych niewolnikach skończywszy. Zresztą, o tych ostatnich Kyboe ciągle miało zatargi z Unią.

– Zobacz. – Craftsheek wyciągnął rękę w stronę witryny reklamującej seksoboty najnowszej generacji.

– Tamten facet z botem wygląda jak Mykey.

Keller chwycił Craftsheeka pod ramię i przeciągnął na drugą stronę ulicy.

– Bo to był Mykey! Teraz będę musiał sobie wyłupić oczy.

– Jeśli Stiopa poczęstuje nas tym, co pędził kilka lat temu, oczy same ci wypłyną – rzucił Craftsheek i poklepał przyjaciela po plecach

– Idź w cholere. Gdzie sklep Stiopy? Powinien być gdzieś niedaleko.

Znaleźli go po przejściu kilkudziesięciu kroków. Wąskie drzwi udekorowane cyrylicą i banerem „MIKROKREACJE”.

– Mikro? – zdziwił się Keller. – Nasz Stiopa zmienił skalę.

Pchnął drzwi i wpakował się do środka. Przystanął i rozejrzał się powoli. Pomieszczenie było

niewielkie i prawie puste. Jasnobrazowe ściany były gołe, nigdzie nie było widać żadnych gablot, półek, ani niczego, co służyło do prezentacji towaru. Z lewej strony, na krześle siedział klient. Oczy zasłaniała mu opaska *virtualife'u*, od czasu do czasu mężczyzna unosił rękę i wykonywał dziwne ruchy, jakby coś chwytając albo obracając. Przeglądał katalog produktów. Stiopa najwyraźniej się rozwijał. Kiedy zaczynał rozkręcać ten biznes, sklep był zavalony monitorami i mikroskopami służącymi do prezentacji jego dzieł, teraz najwyraźniej zainwestował w VR. I słusznie.

Keller wszedł głębiej, robiąc miejsce Craftsheekowi.

Po drugiej stronie pomieszczenia zafalowała kotara zasłaniająca dalszą część sklepu. Wyłonił się zza niej jasnowłosy nastolatek. Lewe oko miał zasłonięte czymś, co Keller zidentyfikował jako końcówkę komputera, przypuszczalnie oderwali go od pracy. Prawe oko uważnie obserwowało przybyłych.

– W czym mogę pomóc? – spytał. I nagle zrobił dwa kroki do przodu, stanął tuż przed Kellerem, sięgnął w stronę twarzy i zdjął zasłaniające oko urządzenie.

– Tata! – krzyknął. – Tata, chodź!

I upadł na kolana, obejmując nogi stojącego przed nim mężczyzny.

Keller się wzdrygnął i pochylił, łapiąc chłopaka pod pachy i ciągnąc w górę.

– Jurij, nie wygłupiaj się, podnieś się!

Chłopak stawiał jednak niespodziewany opór i został w tej dziwnej pozycji, zadzierając głowę i patrząc z uwielbieniem w oczy gościa.

Kotara zafalowała ponownie i wyszedł zza niej postawny mężczyzna o szerokich barach i twarzy boksera. Na widok klęczącego syna zmarszczył gęste brwi i zacisnął pięści. A potem jego oblicze rozluźniło się, we wzroku zapaliło się niedowierzanie, potem radość, i usta rozciągnęły się w uśmiechu. Rozłożył szeroko ręce i ruszył w stronę gości. Jurij ledwo zdążył odskoczyć, kiedy jego ojciec dorwał Kellera, objął i przytulił do szerokiej piersi. Ucałował w oba policzki, co Keller zniósł ze spokojem, a potem rzucił się w podobny sposób na Craftsheeka.

– Stiopa, może powinniśmy przejść na zaplecze?

– Tak, oczywiście. Chodźcie, chodźcie. Jurij, przygotuj stół. *Bystro, bystro!* – pogonił syna. – Nim się nie przejmujcie – dodał, wskazując w stronę zanurzonego w VR klienta – to neurotransmitter, facet nie widzi, nie słyszy, zresztą... – Potrząsnął mężczyznę za ramię.

Ten z ociąganiem ściągnął z głowy opaskę i rozejrzał się dookoła nieobecny wzrokiem.

– Proszę o wybaczenie, muszę zamknąć sklep – oznajmił mu Stiopa. Klient skrzywił się, ale zanim zdążył wyrazić swoje niezadowolenie, Stiopa dodał szybko: – Proszę wrócić jutro, otrzyma pan specjalny rabat na wybrany produkt.

Jurij w tym czasie zaciągnął gości do drugiego pomieszczenia i usadowił ich przy stole zavalonym elektroniką i narzędziami.

– Więc tu się schowały te wszystkie mikroskopy – uśmiechnął się Keller. – Wyrosłeś, Jurij.

– A wy się prawie nie zmieniliście – odpowiedział chłopak, zbierając sprzęt ze stołu i chowając go do szafek pod ścianą. – Czarny diabeł i siwy diabeł.

Craftsheek odruchowo przejechał dłonią po srebrzystej czuprynie.

– Ciągłe nas tak nazywają? – zapytał Keller ze śmiechem. – Co u mamy?

– Nadieżda Andriejewna ma się znakomicie – odpowiedział za syna Stiopa, wchodząc do pomieszczenia. – I to dzięki wam, przyjaciele! Zadzwońłem do niej, dołączy do nas niebawem.

Keller otwierał już usta, żeby odpowiedzieć, ale Stiopa nachylił się i rąbnął go przyjaźnie w plecy, tak, że odebrało mu na chwilę dech.

– Jurij – rzucił Stiopa – skocz do magazynku, weź słoiczek, szklaneczki i coś do picia. Takie spotkanie musimy uczcić!

Craftsheek chciał coś dodać, ale jemu również nie było dane zacząć.

– Wiem, wiem! – Stiopa uśmiechnął się do niego uspokajająco. – Nie pijesz alkoholu, ale zaraz wstawię znakomity czaj. Co was sprowadza w moje progi? Mogę jakoś pomóc? A resztą, moment. Najpierw się napijemy. Jurij, *bystrzeje!*

Keller westchnął. Tak jak przypuszczał, nie obejdzie się bez pokonania butelki, czy – jak powiedział Stiopa – słoika? Wyglądało, że będą pić wyrób własny.

– Zanim zaczniemy – powiedział – i zanim przyjdzie Nadieżda... czy możemy porozmawiać?

*I zanim schlejemy się jak świnie* – dodał w myślach.

Stiopa z powagą kiwnął głową i przysunął się bliżej.

– Nie bawię się już w to – oznajmił twardo. Ale nagle jego twarz rozjaśniła się i pojawił się na niej szeroki uśmiech. Klepnął Kellera mocno w ramię. – Ale oczywiście dla was zrobię wyjątek. Mów, przyjacielu.



Ojciec Ettore Conti odetchnął pełną piersią, z zadowoleniem wciągając chłodne powietrze napływające z górskich szczytów. Przeciągnął się, rozłożył ręce i zacisnął parę razy pięści, jakby miał za chwilę dać koncert fortepianowy. Ubranie, które znalazł w szafie, było odrobinę niewygodne.

– Ciekawe – mruknął do siebie.

Zacumowany w mikroporcie statek zalśnił zachęcająco i Conti ruszył w jego stronę.

Będąc w kabinie pilota, wyświetlił mapę okolicy i wystukał coś na wyświetlaczu. Statek usłużnie podał mu koordynaty i wyznaczył trasę do najbliższego dużego miasta. Conti położył ręce na sterach, ale po chwili cofnął je i włączył automatycznego pilota.

Conti ostatni raz obrzucił wzrokiem domek, który był świadkiem przykrego przesłuchania. Krzywy uśmiezek wypłynął na usta duchownego.

Wylądował w porcie przystosowanym zarówno do obsługi małych jednostek, jak i żeglugi międzygwiazdnej. Po zadokowaniu udał się do kabin komunikacyjnych, służącym turystom do łączności dalekiego zasięgu. Wybrał kabinę na uboczu, ekran przywitał go logiem firmy telekomunikacyjnej i wyświetlił menu. Conti zignorował reklamy oraz namolne kreatory połączeń i wstukał kilkunastocyfrowy numer, łącząc się na koszt odbiorcy.

Po kilku sekundach na ekranie pojawiła się uśmiechnięta kobieta.

– Antykwariat „Dzieła wybrane Pontifexa”, czym mogę służyć? – zapytała.

– Ettore Conti, dzień dobry – odpowiedział dominikanin. – Czy macie na stanie „Powrót do korzeni”

Sandry Melior?

Jednocześnie wystukał na ekranie kolejny ciąg cyfr i liter.

– Już sprawdzam – odpowiedziała kobieta, nie zmieniając wyrazu twarzy. Odwróciła na chwilę wzrok



i po chwili znowu spojrziała na rozmówcę. – Tak, mamy tę pozycję. Czy chce pan zamówić ją teraz?

– Owszem.

– Pana książka powinna być gotowa za trzydzieści sekund, w lokalnych trans-boxach. Pana kod to 456-C-243Y, ważny przez dwie minuty.

Conti rozłączył się bez słowa, wyszedł z kabiny i ruszył do stoisk ze skrzyniami transferowymi. Znalazł skrzynkę 456-C, po czym, uznawszy, że wymagane trzydzieści sekund już minęło, wpisał kod. Drukarki molekularne skończyły do tego czasu pracę i skrzynka otworzyła się bezgłośnie. Conti wyjął z niej kilka plastikowych kart, które uważnie obejrzał. Bilet na Pontifex klasy ekonomicznej, sugerujący lot z kilkoma przesiadkami. Dokument ze zdjęciem wystawiony na jego nazwisko. Karta płatnicza jakiegoś banku unijnego z biometrią Ettore Conti.

Syn marnotrawny powracał.

I miał kilka rzeczy, którymi musiał się podzielić z przełożonymi.



Keller umierał. A umierając, słyszał głośne szuranie łopat do odśnieżania. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział śnieg. Albo odśnieżaną ulicę. Albo łopatę. Ledwo udało mu się otworzyć oczy. Spróbował się podnieść, ale coś powstrzymało go stanowczo i opadł z powrotem na poduszkę. Znowu coś zaszurało. Spojrzał w bok. Do ręki przymocowaną miał kroplówkę, a przed nim szczyrzył się radośnie Mykey. Lekarz poprawił plastikowy worek z glukozą i przestawił stojak. Znowu. To on tak szurał.

– Tyle tysięcy lat rozwoju cywilizacyjnego – wyszeptał Keller ciężko. – A kroplówka ciągle jest najlepszym lekarstwem na kaca?

Mykey poklepał go dobrotliwie po ręku.

– Zdecydowanie. To już druga. Niebawem będziesz jak nowy.

– Odłącz to. Muszę coś zrobić.

Lekarz posłusznie usunął wenflon i zwinął rurkę. Stojak znowu zaszurał. Keller zacisnął powieki i podniósł się z łóżka.

– Dzięki – powiedział cicho.

Mykey zebrał swoje graty i ruszył do wyjścia. Kapitan poczekał, aż opuści jego kajutę, i skierował się do sejfu wbudowanego w ścianę po przeciwległej stronie drzwi.

Na górnej półce sejfu leżały dwie fiołki, każda wielkości kciuka, które dostał od Stiopy. Wyglądały na puste, ale Keller wiedział, że to tylko pozory. Fiołki oznaczone były czarnym flamastrem – na jednej namalowany był znak plus, na drugiej minus. Kapitan popatrzył na nie przez chwilę i zacisnął usta. W końcu zamknął sejf z powrotem. Niebawem miał się zjawić polecony przez Stiopę mechanik.

Doprowadziwszy się do porządku, udał się na mostek, gdzie w fotelu pilota znalazł wygodnie

rozpartego Craftsheeka.

– Cześć – rzucił w powietrze.

– Dzień dobry, kapitanie – odezwała się pokładowa AI zanim Craftsheek otworzył usta. – Widzę, że czujesz się znacznie lepiej.

– Cześć, Marysieńko – Keller uśmiechnął się. – Tak, czuję się lepiej. Mechanik już się pojawił? – Pytanie skierowane było do Craftsheeka.

– Parę godzin temu. Właściwie to skończyliśmy montaż i jesteśmy gotowi do drogi. Uznałem, że nie ma sensu cię budzić, nie nadawałeś się do życia – wyjaśnił, zanim Keller zdążył zaprotestować.

Kapitan wypuścił powietrze i zapadł w drugi fotel.

– Szybko się uwinęliście.

– Stiopa pomógł. Wydobyliśmy sprzęt z ładowni i zainstalowaliśmy przy rufie, obok dolnego luku.

– Marysieńko – powiedział Keller. – Masz dostęp do nowego urządzenia na pokładzie?

– Tak, kapitanie. Czas potrzebny na pełne uruchomienie to trzydzieści pięć sekund. Pełna gotowość do pracy to kolejne dwadzieścia sekund.

– Świetnie! – Keller pokiwał głową. – W takim razie gdzie jest pilot? Lecimy na Bachusa!

Pstryknął w interkom.

– Spark! Spark! Przestań się obijać, dziewczyno, nie za to ci płacę! Ruszaj swój tłusty tyłek na mostek!

Spark wpadła do kabiny dwie minuty później, zapinając guziki w koszuli, potargana i zła jak osa.

– Tłusty tyłek?! – zawołała od progu. – Ja ci dam tłusty...

Urwała. Mostek był pusty. Keller z Craftsheekiem musieli się zmyć chwilę wcześniej.

Spark usiadła w fotelu i włączyła interkom. Z głośników statku wylała się seria złorzeczeń pod adresem kapitana. A kiedy skończyła kląć, powiedziała już spokojnym tonem:

– Załoga, proszę się przygotować, za chwilę startujemy. Kierunek: układ Bachusa. Kapitan to świnią!

W tym czasie Keller z Craftsheekiem weszli do mesy.

Kapitan wzruszył ramionami.

– Taki żarcik z rana, nie denerwuj się – powiedział głośno. Domyślał się, że Spark nasłuchuje rozmów z mesy.

Craftsheek nalał dwa kubki wody i podał jeden Kellerowi. Usiedli przy stole.

– Co dalej? – zapytał mechanik.

Statek zadrżał, najwyraźniej wystartowali. Keller uniósł kubek do ust.

W tym momencie grawitacja na statku zanikła, dosłownie na ułamek sekundy. Woda chlusnęła Kellerowi w twarz, gdy ciężenie wróciło do normy.

– To taki żarcik – z głośnika doleciał głos Spark. – Nie denerwuj się.

Kapitan otarł się rękawem.

– Dalej... muszę wymyślić jakąś karę za wyłączanie kompensatorów grawitacji przy starcie – warknął.

– Przepraszam kapitanie, to się już nie powtórzy – zmitygowała się Spark. – To było nieodpowiedzialne i głupie.

– Chodźmy do twojej kajuty – powiedział Keller, klepiąc w ramię Craftsheeka – pogadamy w spokoju, co dalej.



Dalej był Bachus. Położony na samej granicy wpływów Unii, układ podwójny. Każda z gwiazd miała swój układ planetarny, ale tylko jeden ze składników miał klasę widmową zbliżoną do Słońca i planetę położoną w odległości wystarczającej do życia. Tę gwiazdę nazywano Bachusem. Druga z gwiazd, czerwony olbrzym, nazywany był przez tubylców Herą. W oficjalnych katalogach gwiazdy figurowały jako Bachus A i B, bo nazwa Hera była już zajęta, a znajdowała się praktycznie po drugiej stronie centrum galaktyki.

Głównym towarem eksportowym planety Bachus były alkohole, zwłaszcza wina. Keller czasem się zastanawiał, czy sama nazwa układu – nawiązująca do starożytnego bóstwa – wzięła się od tutejszych trunków, czy autochtoni rozpoczęli ich produkcję pod wpływem nazwy. A może to był tylko zbieg okoliczności i odpowiedni ciepły klimat.

Niestety, nie mieli zostać wystarczająco długo, żeby się tym klimatem nacieszyć.

Kiedy tylko wylądowali na obrzeżach portu i wyszli na powierzchnię, zjawił się ich obserwator. Ubrana w obcisły kombinezon, drobna, długowłosa blondynka zmierzała pewnie w stronę trapu. Keller z zaskoczeniem zauważył, że była młoda – zastanawiająco zbyt młoda jak na misję, która była tak ważna dla Polonusa i Watykanu. Oцениł ostrożnie jej wiek na trochę ponad dwadzieścia lat.

– Valerie Joon – przedstawiła się.

Keller uściskał jej dłoń. Widząc, jak obserwatorka radzi sobie z pozostałymi członkami załogi, stwierdził, że nie warto ich przedstawiać. Najwyraźniej była dobrze przygotowana.

– Spóźniliście się.

– Owszem, trochę – potwierdził. – Udało się wszystko skompletować?

– Tak. Zaraz nadjedzie dostawczak.

– Świetnie.

Keller odwrócił się do załogi, która już zaczęła się rozłazić po płycie lądowiska.

– Vlad, Moyra i Craftsheek. Dopilnujcie załadunku. Potem dwie godziny wolnego. Powstrzymajcie się od degustacji tutejszych specjałów, bo odlatujemy zaraz po powrocie.

Wezwani potwierdzili niechętnym pomrukiem.

Kapitan odwrócił się do obserwatora.

– Valerie, a reszta? Udało się zorganizować gwóźdź programu?

– Mów mi Val. – Kobieta sięgnęła do kieszeni na udzie i wyjęła nieduże, przezroczyste pudełko. – Jest hermetycznie zamknięte. Z tego co wiem, duchowni byli bardzo niechętni, żeby ci to przekazać. Podkreślam: bardzo niechętni.

– Wcale się nie dziwię. – Keller uniósł pudełko, by lepiej przyjrzeć się zawartości. – W końcu to jedna z niewielu ocalonych przez Watykan relikwii.

Gwóźdź był długi, kilkunastocentymetrowy. Szarobrązowy, o kwadratowym przekroju i stępionym czubku. Keller nie był specjalnie przeczulony na punkcie religii i wiary, ale świadomość tego, że trzyma w ręku jedno z narzędzi, za pomocą którego cztery tysiące lat wcześniej ukrzyżowano Chrystusa, przejęła go dreszczem. To był trzeci ze świętych gwoździ. Jedyny, który posiadał Watykan. Pudełko chroniło przed zgubnym wpływem czynników atmosferycznych. Nagle odetchnął głęboko.

– Robi wrażenie, prawda? – zapytała z uśmiechem Val.

– Owszem. Czuję, że trzymam w ręku fragment podwalin cywilizacji – odpowiedział uśmiechem. – Chodźmy do Truposza, schowam to w bezpiecznym miejscu i pokażę ci twoją kajutę.

Na jego szyi coś srebrzyście zaśniło. Wisiorek w kształcie pętli – najstarszego i najpopularniejszego sposobu na odebranie życia, od kiedy człowiek zszedł z drzewa i użył lian, żeby ukręcić stryczek.

– Dlaczego nazwałś statek „Truposzem”?

Keller szedł już w stronę trapu i najwyraźniej nie usłyszał pytania. Albo usłyszał, ale nie miał ochoty odpowiadać. Zatrzymał się przed wejściem i zaprosił ją do środka.

Val wzruszyła ramionami i ruszyła za kapitanem. Zastanawiał ją ten mężczyzna. Wysoki, przystojny, opanowany. Malicki niewiele przekazał jej informacji na jego temat, a wyglądało to dziwnie, nie jakby nie chciał się nimi podzielić, ale jakby sam niewiele wiedział. Więcej zdawał się wiedzieć ojciec Caruso, jej bezpośredni przełożony, ale ten, dla odmiany, najwyraźniej wolał wiedzę na temat kapitana zachować w tajemnicy. Zresztą, wspólną operację Watykanu i Polonusa od początku spowijały tajemnice i niedopowiedzenia. Dobrze, że w ogóle zechcieli powiedzieć jej, jaki jest cel misji. A kiedy się dowiedziała, na początku nie chciała uwierzyć. Zakrawało to na samobójstwo.

Jej kandydatura jako obserwatora budziła sporo emocji, zwłaszcza wśród wywiadu Polonusa – przecież z niego pochodziła, a w przypadku ujawnienia operacji ślady miały się urywać, a nie prowadzić

wprost na jej rodzinną planetę. Malicki się sprzeciwiał, a Caruso obstawał przy swoim. Valerie Joon została przygarnięta przez służby specjalne Watykanu już w wieku dziesięciu lat i prawie nie posiadała własnej tożsamości. Wychowana w ośrodkach treningowych, zmieniała tożsamość już tyle razy, że robiła to niejako automatycznie. Podróże między układami, szkolenia na różnych planetach i znajomość kilku języków sprawiały, że mogła udawać dowolne pochodzenie. A nawet gdyby... w jej układzie nerwowym, w okolicach pnia mózgu, zainstalowany był kleszcz – bioelektroniczny wszczep mający na celu wyłączenie Val, jeśli sytuacja stanie się zbyt groźna. Jeśli system kleszcza wykryłby atak na ciało gospodarza, próbę przesłuchania, czy wykryłby w organizmie związki chemiczne mogące ją odurzyć... pstryk! Nie ma Val. I nigdy nie było. Zresztą... Valerie Joon nie było oczywiście jej prawdziwym nazwiskiem.

Podeszła do śluzy i weszli z Kellerem do Truposza.

Żałoga uwinęła się z ładunkiem szybko. Ot, jedna dwumetrowa drewniana skrzynia. Zamknięta była na solidną żelazną kłódkę. Vlad pociągnął za nią, jakby sprawdzając wytrzymałość. Skobel trzymał mocno.

– Co tam jest? – zapytał w końcu.

Moyra obeszła skrzynię dokoła i postukała w wieko.

– Wygląda jak trumna – oceniła. – Ale ładniejsza. To wygląda jak wypalone. Popatrz.

Pokazała biegnące wokół całego obwodu szerokie, przypominające szkic zdobienia przedstawiające ludzi trzymających dzbany, tańczących, pijących.

– To kolekcja win – uśmiechnął się Craftsheek. – Jedna z droższych kolekcji, przyznaję. Sama skrzynia jest sporo warta. Widzicie te nierówności? To nie praca maszynowa, to było naprawdę wypalane ręcznie. A w środku znajduje się czterdzieści butelek najprzedniejszych produktów Bachusa, z jego czterdziestu najlepszych winnic. I uwierzcie mi, to nie są wina z tegorocznych zbiorów. Leżakowały tu na tyle długo, że każdy koneser dałby się zabić, żeby móc ich skosztować. A skrzynia jest wyposażona we własny generator grawitacji wymuszający odpowiednie położenie butelek oraz w system podtrzymujący specjalny mikroklimat.

– Pewnie kosztują majątek. – Vlad przejechał dłonią po skrzyni.

Craftsheek uznał, że jeśli to było pytanie, to co najwyżej retoryczne, więc nic nie odpowiedział.

– Bierzemy to cholerstwo – przerwała im Moyra, podjeżdżając wózkiem. – Pakujemy i do ładowni. Narobiłeś mi smaku, Craftsheek. Chcę złapać chwilę przed odlotem i pójść do sklepu.

– Tego nie kupisz w byle sklepie... – zaczął mechanik, ale Moyra i Vlad zakrzyczeli go, żeby się zamknął i nie psuł im przyjemności.

Ostrożnie przenieśli skrzynię na wózek. Potem przewieźli do ładowni, gdzie przymocowali ją do podłogi specjalną uprzężą.

– Dobra, ruszamy – sapnął Craftsheek. – Lećcie, Spark i Mykey chyba już poszli. Ja idę zameldować, że

wszystko gotowe. A potem... czerwone Moulin. Przybywam po ciebie.

– Czerwone Moulin? – zainteresowała się Moyra.

– Nieważne, chodź – pociągnął ją za łokieć Vlad. – Znajdziemy sobie coś.

Craftsheek poszedł na mostek, gdzie nikogo nie zastał. Mesa była pusta. Udał się w końcu do kajuty Kellera. Zastukał.

Otworzył mu kapitan i zaprosił do środka. Wskazał fotel przy stole, przy którym siedziała Valerie. Craftsheek skinął jej krótko głową.

– Spójrz. – Keller podał mu gwóźdź.

Craftsheek wziął pudełko i obejrzał uważnie. Zawartość nie robiła na nim takiego wrażenia, jak na kapitanie. Nie był religijny, chociaż sam fakt, że miał do czynienia z czymś tak starym, wzbudzał szacunek.

– Mamy zatem wszystko – powiedział. – Wino też załadowane. A jak nasza historia?

Pytanie było skierowane do Val. Kobieta skinęła głową.

– Załatwiona. Jesteśmy grupą handlarzy z Remusa. Przybywamy na obchody, dołączamy na odpust, prezent macie. Reszta zależy od was. Mogę wiedzieć, jaki jest wasz plan?

– Nie – odpowiedział Keller, uśmiechając się lekko. – Póki co to tajemnica.

Wolał nie przyznawać, że jego plany nierzadko zakładały improwizację. Wolał mieć ogólny schemat działania, który można modyfikować i dostosowywać do zaistniałej sytuacji. Działało to nadzwyczaj często. Tym razem miał dodatkowego asa w rękawie.

Miał Cooka.





W odróżnieniu od Valerie, Conti nie był wyposażony w kleszcza. Był szpiegiem Pontifexu od trzech lat, ale nikim szczególnie ważnym. Hodowla i implantacja kleszcza była zbyt droga w przypadku osoby dorosłej. A i misje Conti nie należały do krytycznych – najczęściej polegały na przekazaniu określonej przesyłki. Zwykle był to drobny przemyt, jeśli jego szefowie nie obdarzyli go immunitetem na czas podróży. Częściej jednak chował co musiał w bagaż dyplomatyczny i nie niepokojony dostarczał przesyłkę pod wskazany adres. Nigdy nie wiedział, co przewozi. Tak naprawdę był bardziej kurierem niż szpiegiem.

Czasem dostawał zlecenie, aby kogoś śledzić, rzadziej – coś ukraść. To właśnie podczas próby kradzieży został przyłapany na Ziemi, a dokładniej podczas wywozu kradzionej relikwii. Sam Conti nie był na tyle wyszkolony, aby dokonać tak zuchwałej kradzieży – a drzazga ze Świętego Krzyża była bardzo dobrze strzeżona. Kradzież się powiodła, Conti dostał paczkę, a jeszcze tego samego dnia dopadli go heretycy. Tak nazywał duchownych wiernych Watykanowi.

– Ekscelencja za chwilę pana przyjmie. – Z zamyślenia wyrwał go głos sekretarki.

Conti spojrział na nią i podziękował z uśmiechem. Ostatni raz był w tym pokoju rok temu. Zwykle nie kontaktował się z przełożonym bezpośrednio, a za pomocą szyfrowanych komunikatów, ale tym razem sprawa była poważna.

Drzwi otworzyły się i z gabinetu wyszedł biskup Noti. Był to szczupły, niski mężczyzna o zmęczonym spojrzeniu, trochę przygarbiony. Sprawiał wrażenie, jakby niósł na plecach najważniejsze sprawy całego Pontifexa i być może tak było. Na widok Contiego skrzywił się nieznacznie, dając mu na wstępie znak, że nie jest zachwycony wynikami ostatniego zadania. Machnął zapraszająco i schował się na powrót w gabinecie. Conti podniósł się z niewygodnego krzesła, na którym siedział już dobre pół godziny

i ruszył za nim. Sekretarka starannie omijała go wzrokiem.

Pokój, w którym przyjął go biskup Noti, nie był bogato wyposażony, raczej przypominał celę klasztorного mnicha. Odróżniało go jedynie szerokie drewniane biurko i czerwony dywan na podłodze. Conti pomyślał, że kolor został dobrany specjalnie, żeby nie było widać śladów krwi.

Biskup siedział już w fotelu, o niebo wygodniejszym niż stojące po drugiej stronie krzesło oczekujące na tyłek Contiego. Ale musiało zaczekać jeszcze chwilę, bo Noti wyciągnął rękę z pierścieniem, który to pierścień Conti miał ucałować. Co też uczynił, zanim biskup nakazał mu gestem usiąść.

– Ojciec Ettore, cóż tak ważnego cię sprowadza, że musiałeś skorzystać z sygnału alarmowego? – zaczął biskup patetycznym tonem.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Ekscelencjo, ale...

– Zamknij się! – warknął Noti. – Zjebałeś! Już chyba łatwiej przekazywać przesyłki gołębiem pocztowym.

– No... – przyznał Conti – zjebałem.

– To po chuj stawiasz na nogi służby?! Czekamy na przesyłkę już cztery miesiące! Byliśmy gotowi wpisać cię na indeks. I rozesłać listy gończe. Zabawiałeś się w ziemskich burdelach czy jak?!

– Złapali mnie, ekscelencjo.

– Co?!

Noti zmrużył oczy.

– Kradzież się powiodła, ale zostałem schwytany. Nie udało mi się odzyskać relikwii. Nie wiem, kto mnie capnął, watykańce czy świeckie służby, niechętnie stawiam jednak na tych drugich. A potem zostałem poddany torturom. Zanim uciekłem, dowiedziałem się jednak kilku ciekawych rzeczy. Wiecie jak to jest, ekscelencjo, oni zadają pytania, a ja słucham.

– Nie wiem – warknął Noti. – Opowiadaj.

Conti mlasnął.

– Mogę dostać trochę wody?

Biskup Noti nie kwapił się, aby skorzystać z interkomu i poinformować sekretarkę o wzmożonym pragnieniu swojego gościa.

Conti musiał zatem opowiadać o suchym pysku. Postanowił jednak odrobinę uatrakcyjnić opowieść, więc zmienił parę rzeczy, a kilka innych zachował dla siebie.

Biskup Noti, kiedy już skończył wysłuchiwać barwnej historii podopiecznego, odesłał go, a sam udał się na spotkanie ze swoim przełożonym – kardynałem Ramierem.

Ramiera nazywano, oczywiście za jego plecami, Pajęczarzem, z tego względu, że w jego rękach skupiały się wszystkie nitki wywiadu Pontifexa. Na końcu jednej z tych nitek siedział właśnie biskup Noti. Który miał oczywiście swoją sieć, mniejszą, ale pełną zdolnych agentów lub nieudolnych

pajęczków pokroju ojca Contiego.

Ramier przyjął Notiego, wysłuchał go i obejrzał nagranie z przesłuchania kuriera z umiarkowanym zainteresowaniem. Potem westchnął ciężko.

– No i co? – zapytał.

Noti się zmieszał.

– Zgodnie z tym co powiedział Conti, ten, kto go przesłuchiwał, zadawał wiele pytań o nadchodzące obchody Czwartego Millenium. O relikwie. Kontakty. Myślę, że ktoś planuje coś ukraść. Zrobić skok stulecia. Wasza Eminencja widział przecież...

– Wiesz, Noti, co widziałem? Widziałem pośledniego kuriera, który spieprzył i którego prawdopodobnie aresztowano, robiącego teraz w gacie, żeby pozostać w służbie. Widzę małą kurkę, która próbuje wspiąć się poziom wyżej w hierarchii dziobania. Karierowicza, który próbuje stworzyć niesamowitą historię, abyśmy napchali mu kieszenie. Jednak przyznaję – podniósł rękę, uciszając biskupa, który otwierał już usta, żeby mu przerwać, i powtórzył – przyznaję, że obchody są olbrzymim wydarzeniem. I być może ten twój... Conti, trafił na coś istotnego. Nie odsyłaj go jeszcze. Zatrzymaj. Co więcej, dajmy karierowiczowi jego karierę. Obdarzmy go odrobiną zaufania. Daj mu zadanie. Podczas obchodów niech będzie blisko, niech chodzi, niech się kręci i niech pyta. Bo być może coś tu się będzie działo i jego oczy się przydadzą. Bo być może on nie rozpozna nikogo, kto zlecił jego porwanie. Ale oni mogą rozpoznać jego. I wtedy niech ma oczy szeroko otwarte.

Noti pochylił głowę i pomyślał chwilę. Potem spojrział w oczy Pajęczarza i powiedział:

– Tak jest, Wasza Eminencjo.

*Każdy pies ma swój dzień* – pomyślał. A bardzo możliwe, że Contiemu trafiła się bardzo smaczna kość. Oby tylko dał radę ją zjeść. Bo możliwe, że to kość kurczaka. A pieski, zwłaszcza takie małe jak Conti, często się takimi dławią.



Keller z Val czekali na powrót załogi w mesie. Rozmowa się nie kleiła. Val albo nie była typem skłonny do prowadzenia lekkich konwersacji o niczym, albo po prostu jej się nie chciało. Kellerowi się na pewno nie chciało. Jadł coś w milczeniu. Mimo wszystko co jakiś czas Val zagadywała Kellera o jakieś drobne sprawy, ten jednak, zamyślony, odpowiadał lakonicznie i szybko urywał temat. W końcu dała sobie spokój.

Godzinę wcześniej Craftsheek udał się do portowego centrum, gdzie na tamtejszych straganach miał kupić swoje wymarzone wino. Przy okazji obiecał, że wszystkich zbierze i przyprowadzi. Czas wolny, który dał im Keller, skończył się kwadrans temu. Gdzieś z głębi Truposza rozległ się odgłos stąpania po stalowych pomostach. Wrócili.

Zanim jednak Keller zdążył wyjść z mesy i ochrzanić wszystkich za brak dyscypliny, do środka wpadli Spark i Vlad.

– Kapitanie, szybko! – krzyknęła pilot. – Aresztowali Mykey’ego!

– Za co? – warknął Keller, wstając z krzesła.

– Za namawianie nieletniej do innych czynności seksualnych – wypalił Vlad. – Tak jest w pozwie. Będą go sądzić w trybie ekspresowym. Za kwadrans.

Keller opadł z powrotem na krzesło i skrzywił się. Może jednak powinien zostawić tu tego cholernego kretyna? Doigrał się. Ale nie mieli czasu na szukanie kolejnego lekarza pokładowego.

– Nie mogliście mnie powiadomić?!

– Próbowaliśmy. Ale nie odbierasz.

Keller spojrział na lewy nadgarstek, gdzie powinien mieć komunikator średniego zasięgu, w który wyposażona była cała załoga. Nie było go tam. Oczywiście zostawił go w swojej kajucie.

– Idziemy – powiedział.

– Odbijemy go? – wyszczerzył się Vlad.

– Nie ma mowy. Nie robimy syfu, jeśli jest niewinny, to go sąd uwolni, prawda? Val. Zorganizujesz jakiś tutejszy transport? Gdzie ma się odbyć rozprawa?

Val skinęła głową i wyszła.

– Tu niedaleko, w portowym sądzie – westchnęła z ulgą Spark. – Craftsheek z nim został.

Pojazd, który załatwiła Val, był czymś pomiędzy motocyklem a odkrytym samochodem. Miał tylko trzy miejsca, z czego to należące do kierowcy było już zajęte przez Valerie.

– Vlad, zostajesz – rzucił Keller.

Mężczyzna zrobił zawiedzioną minę.

– Za karę – dodał kapitan.

Vlad zmarszczył się jeszcze bardziej.

Spark z radością wskoczyła na siedzenie z tyłu, a Keller zapakował się tuż obok. Pojazd zakołysał się niebezpiecznie.

– Co to za gównno? – zapytał kapitan.

– Gównno, ale działa – odpowiedziała Val, odwracając się. – Kompensatory nawalają, będzie trochę rzuć. To jedyne, co udało mi się pożyczyć.

Keller obawiał się, że „pożyczenie” było tylko eufemizmem.

– Jedźmy już.

Na salę sądową wpadli dziesięć minut później. Po lewej stronie sali stał smutny jegomość o smutnym wyglądzie biurokraty, pracującego w swoim smutnym zawodzie już o wiele za długo. Z prawej strony zamachał do nich Craftsheek. Mykey, uśmiechnięty i wyglądający na dość nietrzeźwego, zgodnie z regułami sądu siedział na podwyższeniu obok sędziego, przypięty do poręczy kajdankami. Sędzia był ciemnoczerwonym graniastosłupem, z napisem na przedniej ścianie, brzmiącym: „Audiatur et altera pars”.

– Co to jest, do cholery? – szepnęła Spark, kiedy przesuwali się w stronę Craftsheeka.

– Sędzia to sztuczna inteligencja – odpowiedział Keller cicho. – Często spotykana w rozprawach prowadzonych w trybach przyspieszonych.

– To dobrze czy nie?

– Cicho! – syknął Craftsheek. – Spóźniliście się. Zaraz sędzia ogłosi wyrok.

– Co? – Keller o mało nie krzyknął. – A obrońca?

– Ja byłem obrońcą – wyszczerzył się mechanik. – A powoda nie ma, bo nie musi. Został tylko oskarżyciel – dodał, pokazując brodą smutasa po drugiej stronie sali.

– To dobrze, że ty – uspokoił się kapitan. – Przecież kiedyś studiowałeś prawo. I co? Pójdzie do pudła?

– Zobaczymy.

– Co to za napis? – dopytywała się Spark, wskazując na sędziego.

– To po łacinie – odpowiedział Keller. – Oznacza, że należy wysłuchać każdej strony.

Val spojrzała z zaskoczeniem na kapitana. Mało kto znał łacinę w tych czasach.

– Ten słupek zmienia te napisy i barwy zależnie od kontekstu. – Craftsheek mrugnął do pilota. – O, popatrz. Teraz robi się jakiś taki zielono-srączkowaty. Chyba ogłosi wyrok.

Wszyscy zamilkli i spojrzeli na sędziego, który faktycznie zmienił kolor. Napis też się zmienił, ale Mykey czknął i Keller przeniósł wzrok na niego. Gdyby mógł go teraz udusić...

– Niniejszym w obliczu niepodważalnych faktów i przyznania się oskarżonego do winy... – rozległ się na sali donośny, niespieszny głos sędziego.

– Przyznał się?! – spytał Keller, ale Craftsheek machnął tylko ręką.

– ...uznaję oskarżonego winnym zarzucanego mu czynu...

Keller był gotowy już wyjść i dać ogłoszenie, że poszukuje nowego lekarza pokładowego.

– ...i skazuję go na grzywnę w wysokości pięciuset standardów oraz wypłatę rekompensaty poszkodowanej w wysokości dwóch tysięcy standardów. W przypadku nie uiszczenia pełnej kwoty w przeciągu trzech godzin kara zostanie zamieniona na miesiąc więzienia. Wyrok jest prawomocny.

Keller spojrzął na oskarżyciela. Oskarżyciel na Craftsheeka. Craftsheek na Mykey'ego, pod którym otworzyła się podłoga. Lekarz wyjechał z sali do aresztu tymczasowego.

Wszyscy nagle wzruszyli ramionami, jak na komendę. Jedyne oskarżyciel ukłonił się, odwrócił i opuścił salę.

– To już? – szepnęła Spark.

– Tak – odpowiedział Craftsheek. – Teraz chodźmy do kasy, zapłacimy karę za naszego lekarza i możemy spadać.

– A może lepiej, żeby tu został? – rzucił Keller kwaśno, choć wiedział, że powiedział to na przekór sobie. – On naprawdę napastował tu jakąś małodatę?

– Naprawdę – potwierdził mechanik. – Tylko widzicie, na Bachusie niepełnoletniość jest... jakby to powiedzieć... stopniowana. Gradacyjna. Mykey owszem, złożył propozycję pewnej kobiecie, dziewiętnastoletniej. U nas mogłaby mu wytoczyć sprawę z powództwa cywilnego, za obrazę na przykład. Tutaj osoba od osiemnastego do dwudziestego drugiego roku życia jest traktowana jako średniopełnoletnia, czy jakoś tak, i oferta Mykey'ego jest ścigana z urzędu. U nas nawet nie popełniłby przestępstwa gdyby się z nią przespał. A tutaj... lokalne prawo.

– Czyli nic mu nie groziło poza jakąś karą finansową? – Keller wydał usta.

– No, chyba że nie zapłacimy kary – mechanik mrugnął. – Chodźcie, nasz doktorek będzie mi winny trochę grosza.

– A to, że jest pijany, nie stanowiło dodatkowo jakiejś okoliczności szczególnie obciążającej? – zapytała Spark.

Val uśmiechnęła się do pilota.

– Jesteśmy na Bachusie. Tu wszyscy są mniej lub bardziej pijani. Dlatego sędzia to AI. One przynajmniej nie piją.

W kasie Craftsheek zapłacił karę nałożoną na Mykey’ego. Po dwóch minutach lekarz został uwolniony. Śmiał się i poklepywał przyjaciół po ramionach, jakby właśnie wziął udział w jakimś wesołym przedstawieniu.

– Dobrze, że tak się skończyło – wybełkotał, chwiejąc się na nogach. – Nie wytrzymałbym w celi. Ile bym... hep! – czknął – dostał, gdyby ona naprawdę była nieletnia? Według naszych standardów, oczywiście – zastrzegł się.

– Za samo zaczepianie sędzia pewnie wlepiłby ci chemiczną kastrację – powiedziała Val uprzejmie.

Uśmiech na twarzy Mykey’ego zniknął, a czarne policzki poszarzały.

– Pomyśl czasem tym drugim mózgiem. – Keller postukał go w głowę.

Mykey zachwiał się.

– Kapitanie... muszę ci powiedzieć, że... – pokiwał głową i zacisnął usta. Keller odsunął się trochę na bok, obawiając się, że lekarz zaraz zwymiotuje.

Ale nie. Mykey opadł na kolana, wsparł się na rękach, na koniec położył się na podłodze.

I usnął.

– Ile wypił? – zapytał ponuro Keller.

– Myślę, że to wie tylko on sam – westchnął Craftsheek. – Pomóżcie mi. Musimy go przenieść do Truposza. Niech ktoś wezwie jakąś taksówkę.

Val wzruszyła ramionami.

– Ja zamówię. I muszę iść „odpożyczyć” nasz pojazd, nie zapakujemy tam Mykey’ego, mowy nie ma.

– Dobra, spotkamy się na statku – skinął głową Keller. – Dzięki, Val.

Kobieta uśmiechnęła się w odpowiedzi i wróciła do budynku, żeby zadzwonić. Keller patrzył za nią jak idzie, pewnie stawiając kroki.

Kilka minut później nadleciał żółty jumper. Zapakowali nieprzytomnego lekarza i wskoczyli do środka. Val pomachała im z wnętrza samochodu. Kapitan podał koordynaty miejsca lądowania Truposza i jumper skoczył w powietrze. Trzydzieści sekund później lądowali tuż przy statku.

Wyszedł do nich Vlad.

– Gdzie Moyra? – zaniepokoił się Keller. Miał już dość zaginionych członków załogi.

– Jest w środku, kapitanie. – Vlad uniósł uspokajająco obie ręce. – Wróciła chwilę po tym jak wylecieliście. Co z nim? – Wskazał lekarza.

– Potem ci opowiem – odpowiedział Craftsheek. Teraz złapcie go za rękę, musimy go zawlec do kabiny.

Sam chwycił Mykey’ego za nogi i spojrzął na przyjaciół z oczekiwaniem. Keller i Vlad złapali po jednej ręce doktora i dźwignęli. Kluczenie z nieprzytomnym Mykeyem po wąskich korytarzach Truposza nie należało do przyjemności. Klnąc i złorzecząc, donieśli go w końcu do kajuty i rzucili na łóżko jak wór cementu.

– Dobra panowie – stęknął Keller, prostując nadwyrężone plecy. – Zwijamy się i startujemy. Vlad, wszystko zabezpieczone?

– Tak jest!

– Sprawdź, czy wszyscy są w komplecie i czy Valerie dotarła.

– Tak jest.

Wyszli. Craftsheek słyszał, jak Keller przepytuje jeszcze przez chwilę Vlada, zanim ich głosy ucichły w oddali. Spojrzął jeszcze raz na doktora, upewnił się, że ten oddycha, i odwrócił się do wyjścia. Jakiś dźwięk przykuł jego uwagę. Jakby szurnięcie dolatujące gdzieś z kabiny. Craftsheek nastawił czujnie ucha. Odgłos powtórzył się. Mechanik dał dwa kroki i szybkim ruchem otworzył drzwi od szafy z ubraniami.

Rozległ się głośny pisk.

– Jasna cholera – mruknął pod nosem na widok ślicznej młodej brunetki próbującej ukryć się za ciuchami lekarza.

Podał jej rękę i powoli wyprowadził na zewnątrz.

– Mykey... kazał mi czekać tutaj, żeby mnie nikt nie znalazł – wyszeptała. Jej usta drżały, sygnalizując, że dziewczyna gotowa jest wybuchnąć płaczem.

Craftsheek pokiwał głową na boki ze znużeniem.

– Nie wiem, ile masz lat, nie wiem, co Mykey ci naopowiadał ani co naobiecywał, ale nie możesz tu zostać.

W oczach dziewczyny pojawiły się pierwsze łzy. Mechanik ujął ją pod ramię.

– Teraz chodź, wyprowadzę cię ze statku. I lepiej będzie dla wszystkich, jeśli nikt nas nie zauważy.

Dziewczyna pokiwała potulnie głową.





Lot na Pontifex zajął dwie doby i wymagał pięciu Q-skoków do różnych układów, a w każdym z nich zgłaszali swój pobyt jako jednostka handlowa Remusa. Układ Pontifexa nigdy nie ratyfikował traktatu członkowskiego Unii, a co za tym idzie, nie mieli dostępu do unijnych systemów ewidencji ruchu międzygwiazdowego, więc Truposz mógł wykonać skok bezpośrednio, ale postanowili na wszelki wypadek zaciemnić historię swojej trasy, uwiarygodnić swoją historię.

Obchody Czwartego Millenium Męki Pańskiej miały być tak olbrzymie, że nie sposób było zliczyć wszystkich statków, które miały się tam zjawić, wszystkich załóg, oficjalnych i półoficjalnych wizyt przywódców planet, układów czy federacji. Część, uznająca Pontifex jako nową Stolicę Apostolską, przylatywała po to, by złożyć hołd papieżowi i wziąć udział w święcie. Część włodarzy, która nie uznawała tego zwierzchnictwa, przylatywała mimo wszystko, aby utrzymać stosunki dyplomatyczne, w myśl starego powiedzenia, że Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. A do tego dochodziło mnóstwo wycieczek, większych i mniejszych jednostek handlowych kombinujących jak zarobić, choć opłaty za prowadzenie takiej działalności były horrendalne. Ale nikt nie widział i nie miał zobaczyć takiej ilości ludzi na Pontifexie przez najpewniej najbliższy tysiąc lat. Było to odpowiednie miejsce, w którym powinien znaleźć się każdy szanujący się handlarz. Szanse, że ktoś zainteresuje się Truposzem albo jego załogą były minimalne. O ile nie nadepną na odcisk komuś, kto zechce przyjrzeć im się bliżej, więc trzeba było zachować jakieś pozory.

Obchody zaczynały się na siedem dni przed Niedzielą Wielkanocną i potrwać miały przez kolejne czternaście. Głównym problemem Pontifexa było wybranie odpowiedniej daty święta – czy wyliczyć je według czasu lokalnego czy ziemskiego? Ustalenie tych dat było najważniejszym celem soboru mającego miejsce tuż po ogłoszeniu schizmy i oderwania się od kościoła obrzędu watykańskiego. Wielkanoc, za

starych czasów, na Ziemi, była świętem ruchomym, a jej datę wyznaczono jeszcze na soborze nicejskim w 325 roku. Wielka Niedziela wypadać miała w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni Księżyca, co miało powiązanie z lunarno-solarnym hebrajskim kalendarzem religijnym. Tu zaczynały się schody. Pontifex nie miał swojego naturalnego satelity, nie było więc mowy o jakiegokolwiek próbie przeszczepienia tej tradycji. Pomysłów było wiele, począwszy od stworzenia sztucznego Księżyca, po „unieruchomienie” święta. W końcu jednak pierwszy sobór pontifexański zdecydował, że należy trzymać się kalendarza ziemskiego, aby w ten sposób podkreślić miejsce męki Jezusowej. To samo dotyczyło świąt Bożego Narodzenia i pozostałych świąt kościelnych.

A ponieważ okres obiegu Pontifexa był w przybliżeniu równy półtora roku ziemskiego, efekt uzależnienia od ziemskiego kalendarza był taki, że święta wypadały w losowych porach roku. Zdarzało się, że niektóre święta odbywały się nawet dwa razy podczas jednego roku pontifexańskiego.

Keller przypuszczał, że patriarchowie kościelni Pontifexa, gdyby tylko mogli, ukradliby ziemski Księżyc, Betlejem i Jerozolimę z Golgotą, i przywlekli na swoją planetę.

Gdy wyszli z Q-skoku w układzie nowej Stolicy Apostolskiej, Val siedziała razem ze Spark na mostku. Zjawili się zgodnie z ogłoszonymi wytycznymi, w odległości około miliona kilometrów od Pontifexa, i lecieli w stronę planetarnej redy.

– Zbliżamy się – zmrużyła oczy pilot.

– Coś nie tak? – zapytała Valerie. Spark wyglądała na odrobinę poddenerwowaną.

– Nie, nie, wszystko w porządku. Tu jest po prostu duży ruch. Dokowanie do redy nie będzie łatwe.

– Dla pokładowej AI to chyba nie problem?

Spark westchnęła, a potem uśmiechnęła się.

– Wiesz co? Keller doskonale radzi sobie z pilotażem. A mając taką AI... Widzisz tamtą ścianę stacji kosmicznej? Gdyby obok niej unosił się orzech, Truposz mógłby zbliżyć się z dokładnością do milimetrów i rozłupać o ścianę jego skorupkę. Samą skorupkę. Silniki manewrowe, ta precyzja... Ten statek pilotuje się jak marzenie. Ale jednak Keller zatrudnił mnie. Bo ta pokładowa sztuczna inteligencja ma swoje narowy.

– Nie może jej naprawić?

– Chyba nie chce. Otóż kiedy dokujemy gdzieś, Marysieńka – tak ma na imię AI – powinna być w stanie przejąć w całości procedurę lądowania. Podejście, korekty, cumowanie. Pilot mógłby sobie leżeć z zamkniętymi oczami, pijany, w mesie. Ale nie. Marysieńka zgłasza, że istnieje niekompatybilność protokołów nawigacyjnych, nie może się po prostu dogadać z dokiem. Ale najdziwniejsze jest to, że sprawdziłam trochę rzeczy, robiłam różne triki. Ona znakomicie zna te cholerne protokoły. Problem jest taki, że inicjuje połączenie w jakimś swoim dialekcie, w czymś, co według niej powinno być znane AI portowym, ale one tego protokołu nie uznają. Wówczas negocjacje zostają przerwane, a to uniemożliwia

automatyczne lądowanie. Ale że większość zamieszkałych układów wcieliło w życie międzygwiazdne traktaty, to lądowania można dokonać ręcznie, tylko pilot musi być certyfikowany. Sterowanie w portach kosmicznych, przy dużym natężeniu ruchu, nie należy do najłatwiejszych. Naprawdę, to nierzadko jest prawdziwym wyzwaniem i potrzeba do tego odpowiednich kwalifikacji. Dlatego Unia wprowadziła regulacje dotyczące pilotów – specjalne szkolenia, egzaminy, zakończone wydaniem certyfikatu.

– Czy to znaczy, że mogą cię zidentyfikować przy próbie dokowania? – zaniepokoiła się Val. – Mogą do nas trafić, bo nasza AI nie chce lądować automatycznie, a ty musisz się jakoś wylegitymować?

– Nie, nie – zaśmiała się Spark. – To tak nie działa. Algorytmy sprawdzają tylko ważność i jakość certyfikatu, właściciel jest anonimowy.

Valerie zastanowiła się, czy Malicki wybrał aby na pewno dobrą ekipę do tego zadania. Sztuczna Inteligencja, której nie chcą naprawić?

– I w związku z tym, że mają zwariowaną AI, potrzebny jest dodatkowy pilot? Żeby w razie czego mógł zastąpić Kellera?

– Coś w tym guście – skinęła głową Spark i przebiegła palcami po *dashboardzie*. – Ale AI nie jest zwariowana. Jest zbyt dumna. Craftsheek twierdzi, że honor jej nie pozwala.

*W takim razie to mechanik zwariował* – pomyślała Val.

– Przepraszam cię – mruknęła Spark. – Nie gniewaj się, ale idź już. Naprawdę muszę się skupić.

Przez iluminatory Truposza Val doliczyła się dziesięciu statków, które ich otaczały. A to pewnie tylko ułamek tych, które krążą w pobliżu. Lepiej żeby wylądowali w jednym kawałku. Posłusznie podniosła się z fotela i opuściła mostek.

Zastanowiła się, co dalej.

Truposz był sporym statkiem, ale na ile Valerie mogła ocenić, ponad trzy czwarte było zajęte przez maszynownię. W rzucie z góry przypominał długi, wąski trapez.

Na dziobie, czyli krótszej podstawie tego trapezu, znajdował się mostek, zaś bezpośrednio pod nim znajdowały się pomieszczenia, w których zamontowane były działa służące do otwierania Q-slotów. Większość rufy zajmowała maszynownia. Tam mieściły się generatory lokalnej grawitacji, zbiorniki ciemnej energii, alternatory służące do jej pozyskiwania z przestrzeni kosmicznej, tokamak dostarczający energii opartej o fuzję termojądrową i silniki konwencjonalnych silników jonowych. Do tej części wstęp mieli jedynie Keller i Craftsheek. Valerie mogła sobie jedynie to wyobrazić.

Pozostała część statku miała trzy pokłady. Na najwyższym znajdowała się mesa i coś, co Val nazwała bawialnią, a w rzeczywistości było siłownią i salą kinową. Tutaj zwykle można było spotkać machającą sztangą Moyrę, Włada w słuchawkach, kiwającego się w rytm czegoś, co tylko on mógł słyszeć, czy Mykey’ego wiecznie poszukującego podniety w starych filmach. Valerie stała na samym początku korytarza, przy schodach prowadzących na dolne pokłady. Zajrzała do bawialni, ale tym razem nikogo nie

spotkała. Właściwie i tak nie miała ochoty na towarzystwo.

Kajuty znajdowały się na środkowym pokładzie, z czego najbliżej schodów łączących wszystkie pokłady znajdowała się ta należąca do Kellera, a tuż obok – Craftsheeka. Kajuta Valerie była na samym końcu korytarza.

Niżej były już tylko ładownie.

Ruszyła do swojej kajuty. Skoro mieli niebawem dokować, wypadałoby się odświeżyć. Pokój nie był przytulny i Val nie czuła się w nim komfortowo. Faktem było jednak, że nie do końca życie ją rozpieszczało na tyle, żeby narzekać teraz na proste meble i śliską piankową podłogę. Miała stół, miała łóżko, krzesło i łazienkę z prysznicem. To ostatnie było teraz najważniejsze.

Rozpięła suwak na piersi i ściągnęła jednoczęściowy kombinezon. Był praktyczny i wygodny do celów podróży, jednak czuła się w nim jak w konserwie. Zdjęła bieliznę i rzuciła ją na łóżko. Otworzyła drzwi do łazienki i zobaczyła piękny uśmiech Mykey'ego.

– Cześć – powiedział głębokim głosem.

Valerie nie krzyknęła, nie zasłoniła się, nie zareagowała. Właściwie to skrzywiła się, ale trudno to nazwać reakcją. Popatrzyła na doktora bez słowa, potem cofnęła się dwa kroki.

– Masz dziesięć sekund, żeby wyjść – powiedziała zrezygnowanym głosem. – Potem zacznę ci łamać kolejno wszystko, co da się złamać. Potem ci zaknebluję, zaciągnę do ambulatorium i zacznę odkrawać kawałek po kawałku na co mi tylko przyjdzie ochota.

Uśmiech Mykey'ego przygasł. Zaskoczony gapił się na nią bez słowa.

– Pięć – powiedziała Valerie.

Mykey wypadł z łazienki, poślizgnął się, odzyskał równowagę i wybiegł na zewnątrz. Val zamknęła za nim drzwi.

– Dupek – mruknęła.

Odechciało jej się prysznic. Straciła całą przyjemność przez tego bydlaka. *Chyba powinnam to zgłosić Kellerowi* – pomyślała. Nie chodziło nawet o to, że Mykey wlaźł do jej kabiny, do jej łazienki. To pewnie by zniosła i być może w sprzyjających okolicznościach potraktowała jako żart. Ale zrobił to dokładnie w tej chwili, kiedy potrzebowała się zrelaksować. Teraz miała wziąć prysznic w miejscu, w którym chwilę temu stał nagi facet.

Schyliła się, zebrała rzeczy Mykey'ego, których w pośpiechu najwyraźniej zapomniał, i wyrzuciła ją na korytarz. Westchnęła i jednak odkręciła wodę. Trudno. To i tak nie jest najgorsza rzecz jaka spotkała ją w życiu. Przejechała palcami po żebrach, gdzie widniały długie, wyraźne blizny.

A potem zamknęła oczy i zanurzyła się w gorącym strumieniu.

Wyszła dopiero kiedy usłyszała pukanie w drzwi. Głośne.

Włożyła na powrót kombinezon, który pachniał – niestety – Valerie Joon sprzed kąpieli. Mogła wziąć

jakieś ciuchy jeszcze na Bachusie, ale stwierdziła, że kupi ubranie już na Pontifexie. Teraz ten pomysł wydał jej się nad wyraz głupi.

Otworzyła drzwi.

– Zaczumowaliśmy – powiedział Craftsheek. – Wychodzimy za chwilę, idziemy zorientować się co i jak. Nie pozwolą nam wylądować bezpośrednio na planecie, a z redy na Pontifex powinny kursować co jakiś czas wahadłowce. Musimy ustalić, jak przetransportować ładunek. Idziesz?

Oczy mechanika śmiały się przyjaźnie. Cholera, przystojny był. Val pomyślała, że gdyby to on zaczął się na nią w łazience, efekt mógłby być ciekawy. A gdyby tak...

Ale Craftsheek już skinął jej głową i zniknął w głębi korytarza.

Kiedy schodził po schodach, wpadła na niego Spark, mamrocząc coś niezrozumiale. Pobiegła do swojej kabiny. Wzruszył ramionami. Keller stał przy słuzie i patrzył wyczekująco.

– Idą?

– Idą – potwierdził Craftsheek.

– A Valerie?

Mechanik skinął tylko głową. Na górze coś załomotało. Ktoś zbiegał po schodach. Obserwatorka zatrzymała się obok nich i spojrzała pytająco.

– Ruszamy – zakomenderował Keller. – Dogonią nas.

Wyszli na długi korytarz rękawa, do którego zadokowany był Truposz. Sama reda była olbrzymią, kilkusetkilometrowej długości tuleją, do której zewnętrznej ściany bocznej dokowały kolejne statki, których załogi zmierzały na Pontifexa.

– Powinni jednak sobie wybrać pierwszą niedzielę po pełni tej redy – rzucił Keller.

Val i Craftsheek spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.

Korytarz kończył się bramką o poziomych prętach, za którą dwa metry dalej była już tylko lita ściana.

Obok, na ścianie, zaświecił się radosny napis „WITAMY NA PONTIFEXIE”. A pod spodem nazwa statku i lista członków załogi. Oczywiście fałszywa nazwa i fałszywe nazwiska.

– Cel wizyty? – padło z głośników.

– Obchody Czwartego Millenium. Wizyta turystyczna.

– Deklaracja?

– Tylko prezent dla Jego Świątobliwości. Mam prośbę o przydzielenie nam transportu na powierzchnię.

– Prośba przyjęta. Proszę wprowadzić rozmiar ładunku.

– Mogę to zrobić później?

– Oczywiście – odpowiedział elektroniczny celnik.

W tym momencie dotarli Moyra, Vlad i Mykey, trochę z tyłu, za nimi, biegła Spark.

– Ze względu na duże zainteresowanie świętem – ciągnął głos – limit transportu na Pontifex na jedną

załogę został ograniczony do trzech osób. Proszę złożyć deklarację przed wejściem do wahadłowca. Pozostali pasażerowie muszą pozostać na redzie.

Kapitan i Val spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Keller już wcześniej snuł przypuszczenia, że ruch na planetę został poważnie ograniczony. Dlatego ustalili, że schodzą razem z Val i, jeśli sytuacja pozwoli, Craftsheekiem. Trzy to dobra liczba. Reszta załogi nie była rozczarowana. Znali swoje zadania. Vlad z Moyrą mieli przygotować transport kolekcji win na planetę. Spark miała siedzieć na tyłku i w razie czego być gotowa do odlotu. Mykey... miał po prostu w nic się nie wplątać.

– Proszę o biodane pasażerów.

To była działka Mykey’ego. Pomimo że Pontifex nie stosował przepisów unijnych, miał jednak swoje prawa na temat zdrowia odwiedzających. Lekarz wystukał coś na komunikatorze, przytknął go do ekranu celnika i przesłał dane.

– Dziękuję.

Bramka w końcu ich przepuściła. Ściana za nią rozstała się, ukazując kabinę windy, do której wpakowali się bez ociągania. Podróż nie trwała długo. Kilka sekund później winda wypuściła ich po wewnętrznej stronie Redy. Rozejrzeli się z zaskoczeniem. Znajdowali się na szerokiej galerii, upstrzonej wzdłuż całego obwodu sztyldami zachęcającymi do skorzystania ze sklepów, restauracji, butików, hoteli, kawiarenek, antykwariatów i czegokolwiek człowiek mógł sobie zażyczyć. Dziesiątki przechodniów przemykały przed nimi we wszystkie strony, a barwnie ubrani sprzedawcy zapraszali do zapoznania się z ich ofertą. Było tłumnie. Było tłoczno. Keller spojrział w prawo i popatrzył, jak horyzont ciągnie się i zawija w oddali. Patrząc przed siebie można było ujrzeć przeciwną stronę pierścienia galerii. Z tej odległości ludzie przypominali żywe, ruchome confetti. Podobne galerie rozmieszczone były na całej wewnętrznej ścianie bocznej redy.

Kapitan obejrzał się na ścianę za plecami. Przejście, które prowadziło do ich statku, było oznaczone jako 45–122. Założył śmiało, że oznacza to kąt na obwodzie walca i numer pierścienia, na którym się znajdowali. Pokazał palcem napis przyjaciółom. Skinęli głowami.

– Dobra – powiedział. – Valerie, Craftsheek, idziemy zapytać o transport. Reszta... a cholera, róbcie co chcecie. Oprócz ciebie, Mykey. Ty rób mniej.

Doktor zrobił zawiedzioną minę, ale zaraz dojrzał coś pośród kolorowych stoisk, co sprawiło, że się uśmiechnął. Keller wolał nie zgadywać, co.

– Spotkamy się tu... za godzinę. Mykey, zrozumiałeś?

Doktor patrzył gdzieś w dal, coraz bardziej rozanielony. Najwyraźniej nie rozumiał, jak i nie słyszał.

– Mykey, kapitan cię o coś spytał – powiedziała Val spokojnie.

– Tak jest! – odpowiedział lekarz, odwracając się gwałtownie i robiąc przeproszącą minę. – Spotykamy się tu za godzinę.

Keller spojrział przenikliwie na Valerie. Tak samo Craftsheek. I reszta załogi. Val wydeła usta i poruszyła jedną brwią. Nie zamierzała im składać żadnych wyjaśnień.

– Idziemy – burknął w końcu Keller, uznając, że nie otrzyma odpowiedzi, skąd to nagłe posłuszeństwo Mykey’ego wobec Val.

Wahadłowce kursowały średnio co dziesięć minut. Ich dok znajdował się na samym dole redy, a szybkobieżne windy łączyły poszczególne galerie i pozwalały łatwo przedostać się w dowolne miejsce.

Craftsheek wyraził uznanie dla budowniczych, co Valerie skomentowała, że to jedna z największych budowli zbudowanych przez człowieka. Dodatkowo pomarudziła, że na to właśnie przez ostatnie dekady szły pieniądze z „tacy”. Co Keller podsumował stwierdzeniem, że pieniądze z tej inwestycji zwrócą się Pontifexowi w przeciągu samych obchodów. O ile już się nie zwróciły. Opłata portowa, jaką musieli wnieść, była słona. A lot wahadłowcem również nie kosztował „co łaska”. Ale fundusze zapewniał im Watykan razem z Polonusem. Właściwie to już zapewnił. Kwota, którą otrzymali na wydatki, może nie była duża, ale wystarczająca.

W umówionym czasie spotkali się przed wejściem do doku Truposza. Wszyscy byli na miejscu, więc Keller zarządził powrót na statek.

– Dobra jest – powiedział, kiedy zgromadzili się mesie. – Wszystko jasne. Tak jak mówiłem, nasza trójka leci na Ponitfex. Instalujemy się w jakimś hotelu dla gości, im droższy tym lepszy, musimy sprawiać dobre wrażenie.

– Najpierw kupimy jakieś ciuchy – westchnęła Val.

– Najpierw oczywiście kupimy ciuchy – zgodził się Keller. – Podczas naszej nieobecności rządzi tu Moyra.

– Damy ci namiary, gdzie się zatrzymaliśmy – ciągnął. – Zorganizujesz nam transport kolekcji win we wskazane miejsce. Celnik ci pomoże.

– Jasne – przytaknęła. – Słyszysz, Vlad? – Wyciągnęła prawą rękę i napięła biceps. – Ja tu rządę.

Vlad przesłał jej pełne pogardy spojrzenie i krzywego całusa.

– Przestańcie się pieścić – skarcił ich kapitan. – Bierzemy naszą relikwię i zmywamy się szukać kontaktu.

Lot wahadłowcem nie był długi. Keller miał wrażenie, że sama odprawa trwała dłużej niż podróż. Ot, zajęli miejsca, krótki lot w przestrzeni, wejście w atmosferę i przyziemienie. Nawet nie poczuli żadnego przeciążenia, kompensatory działały doskonale. Kapitan pomyślał, że Truposzowi przydałby się przegląd.

Stolica Pontifexu zbudowana była na planie koła, o promieniu w przybliżeniu wynoszącym ponad sto kilometrów, i ciągle się rozwijała. Siedziba papieska leżała w samym środku metropolii, na terenie posiadłości kościelnych. Znajdowała się tam bazylika, która na początku – według słów Valerie – miała być kopią ziemskiej Bazyliki św. Piotra, ale w końcu zdecydowano się na coś obszerniejszego, na planie

monumentalnego krzyża, z czego jego górna część faktycznie przypominała architekturą starowatykańską bazylikę. Tam można było odnaleźć kopie dzieł Rafaela, Michała Anioła, ale też oryginały dzieł współczesnych twórców. Valerie z przekąsem przyznała, że władze Pontifexa zadbały, aby pod bazyliką umieścić wykradzione ciało świętego Piotra. Ekshumacja z ziemskiego miejsca pochówku przebiegła w iście pontifexowym stylu – czyli za pomocą łapówek, szantażu i ostatecznie kradzieży.

Obok bazyliki rozciągała się posesja samego papieża – Pawła Konstantego II. Otaczał ją wysoki mur, o strzelistych wieżach, na którego blankach zawsze czuwały posterunki uzbrojonych gwardzistów. Byli oni chyba tylko na pokaz, bo całość i tak była monitorowana przez cały czas przez systemy elektroniczne sprzężone ze sztuczną inteligencją.

Miejscem zamieszkania papieża był prawdziwy pałac, dwupiętrowy, zbudowany na planie litery H, o długich skrzydłach, rozciągających się w głąb malowniczych zielonych ogrodów.

Trochę dalej znajdowały się dwie kaplice i Park Papieski.

Ten ostatni, niedostępny dla turystów, był bardziej cmentarzem, na którym, w grobowcach oddzielonych szerokimi alejkami, spoczywali kolejni papieże.

Tam musiał dostać się Keller.

Na razie jednak tkwili daleko od niego, bo w portowej dziurze, na samych obrzeżach stolicy.

– Co teraz? – zapytała Valerie.

Keller uśmiechnął się.

– Znasz historię – jesteśmy handlarzami z Remusa. Pani Valerie Mookstein. Ian Mookstein, do usług. A to nasz służący, Mireus. – Wskazał na Craftsheeka.

– Mam w tym doświadczenie. – Skinął głową wywołany. – Zechcą państwo poczekać, zamówię jumper, abyśmy mogli przedostać się bliżej centrum. Pozwolę sobie zasugerować, że tam możemy zaopatrzyć się w stosowne ubrania, a następnie znaleźć hotel odpowiadający państwa wymaganiom. Wszystkiego, jak zawsze, dopilnuję osobiście.

Val miała wrażenie, że Craftsheek się zmienił. Coś w jego wyglądzie zmieniło się, lecz nie mogła zrozumieć co. Może to te ręce? Brak zwyczajnej dla niego kpiny w oku? Uśmiech? Czy zmienił mu się uśmiech? Wydawało się, że tylko czeka na rozkazy swoich państwa.

Posłała zdziwione spojrzenia Kellerowi.

– W takim razie, drogi Mireusie, znajdź nam pojazd. Valerie, chodźmy tam, w cień. Upał jest niesamowity na tej planecie.

To już ją trochę przytknęło. W głosie Kellera było tyle stanowczości. Czuć było jakieś... arystokratyczne znudzenie, a jednocześnie moc, dziwną władczość w głosie i pewność siebie.

– Nie przesadzacie? – zapytała w końcu. – Jesteśmy tylko handlarzami z Remusa.

– O nie, nie moja droga. – Kapitan posłał jej oziębłe spojrzenie, siadając na ławce pod drzewem. –



Jesteśmy aż handlarzami z Remusa. Pochodzimy przecież z rodu Mookstein, wywodzącego się wprost od Huberta Mooksteina, jednego z pierwszych ojców założycieli Remusa.

– Serio?

– To przecież ty załatwiałaś nam historię, co, nie doczytałaś do końca własnych akt?

– Nie ja, ale... – Machnęła ręką i dołączyła do Kellera. – Masz rację. Wybiła mnie z rytmu ta wasza błyskawiczna metamorfoza.

Wzięła oddech i powiedziała:

– Gdzie ten nicpoń, Mireus? Długo nam będzie kazał jeszcze czekać w tym skwarze? – Spojrzała koso na Kellera i dodała ciszej. – Dobrze?

– Doskonale.

Craftsheek–Mireus nie kazał na siebie czekać długo. Jumper wylądował obok po kilku minutach i służalczym gestem zaprosił państwa do środka. Keller podał rękę Valerie, pozwalając jej wejść jako pierwszej.

– Teraz na zakupy – mruknął. – Na razie wyglądamy jak grupa kosmonautów bawiących się w arystokrację. Może i szata nie zdobi człowieka, ale ubierzmy się tak, żeby nikt nie miał wątpliwości.

Jumper zaniósł ich na jedną z głównych alei handlowych stolicy. Szeroką, najeżoną sklepami, w których można było nabyć kolekcje najślawniejszych projektantów mody w znanym człowiekowi wszechświecie. Val zaparło dech i nie mogła się oderwać od witryny na widok jednej z sukni Venamindiego.

– Wybierz ze trzy, cztery suknie – zasugerował jej Keller – wystarczająco eleganckie na zwykłe przyjęcie czy do zwykłego poruszania się po mieście. I wybierz coś bardziej ekstra, wieczorowego, przyda się, jeśli będziemy mieli wziąć okazję w jakimś przyjęciu.

– Przyjęciu?

– Musimy się dostać na jakieś przyjęcie. Musimy znaleźć kogoś, komu możemy pokazać towar, a przyjęcie pośród jakichś dostojników czy oficjeli będzie idealną okazją.

– A jak dostaniemy się na przyjęcie?

– Tego jeszcze nie wiem. Ale jeśli nie dostaniemy się na żadne, to leżymy – powiedział szorstko Keller i odszedł w stronę kolejnych sklepów.

Valerie nagle zrozumiała, że coś jest nie tak. Że Cook, o którym wcześniej wspominał jej kapitan, najwyraźniej nawalił. Wiedziała, że miał przybyć na Pontifex wcześniej, sporo wcześniej, rozejrzeć się i załatwić jakieś kontakty. Ale może tylko wyolbrzymiała sprawę. Może dopiero przyleci, może Keller miał inny plan i jeszcze się spotkają. Może, cholera! Dostrzegła, jak Keller znika w jakiejś pracowni krawieckiej i pobiegła za nim. Trzeba zaczekać.



Ojciec Ettore Conti też czekał. Czekał na przyznanie mu uprawnień do przejrzenia oficjalnej listy zaproszeń na bal, który miał odbyć się za trzy dni. Biskup Noti dał mu szereg przywilejów i wciągnął na listę płac służb wewnętrznych. Okazało się, że nie wszędzie ma dostęp, a próba dotarcia do tak newralgicznej informacji jak spis gości na przyjęciu u samego papieża, skończyła się blokadą. Conti wiedział, że biskup dokładnie monitoruje jego działania. Rozumiał to. Awans był nieoczekiwany, wyglądało na to, że sam Noti był takim obrotem sprawy zaskoczony. A to oznaczało, że przyglądają mu się służby stojące o poziom wyżej niż biskup. I dobrze. Trzeba było udowodnić swoją przydatność i miał nadzieję, że nadzorujący go agenci i monitorujące AI zrozumieją, po co to robi. Najpierw próbował wybadać przyjęcie papieskie. Ale tu odmówiono mu dostępu. Spróbował więc balu, który miał się odbyć potem. Miał być olbrzymi. Ponad dwa tysiące osób. Musiał sprawdzić, kto tam będzie. Później, jeśli to nie przyniesie rezultatu, będzie chciał spróbować zajrzeć w spisy pomniejszych spotkań. W bazie danych służb Pontifexa zapisanych było dużo ciekawostek. Znajomości. Relacje między gośćmi. Conti obawiał się jednak, że prześledzenie wszystkiego, określenie ich stosunków towarzyskich i pozatowarzyskich, było złożonym problemem, znacznie przekraczającym jego możliwości. Zwłaszcza w przypadku tak olbrzymiej liczby gości. Coś tu jednak musiało wypłynąć, a on, Conti, od czegoś musiał zacząć.

Terminal zapiszczał. Dostęp został przyznany. Conti miał dziwne wrażenie, że z tego napisu bije osobista niechęć biskupa do jego osoby.



Craftsheek zameldował ich w Hotelu Królewskim, położonym najwyżej kilometr od wschodniej bramy posiadłości papieskiej. Była to dobra lokalizacja, ale i droga, zwłaszcza że mechanik, czy raczej służący, wybrał przestronny apartament o trzech sypialniach. Państwo Mookstein natychmiast zajęli dwie przeciwległe, zostawiając najmniejszą – i najbrzydszą – Craftsheekowi.

Salon apartamentu był szeroki, przestronny, wyposażony w dwie kanapy, fotele i barek. Ten ostatni od razu zainteresował Kellera. Urzeczony pięknem butelki jakiegoś bourbona, odszukał lód i rozpoczął degustację. Jego poczynania Craftsheek uprzejmie skrytykował, dając swemu panu do zrozumienia, że picie tej akurat szlachetnej odmiany z lodem na niektórych planetach jest karane śmiercią.

Valerie puściła spór na temat alkoholi mimo uszu i rozsunała zasłony, odsłaniając wielkie, kryształowo przejrzyste okna, z których rozciągał się widok na położony dalej Park Papieski. Powąchała kwiaty pozostawione przez obsługę w wazonie na stoliku, sprawdziła łazienkę i podeszła do mężczyzny.

– Mireusie, możesz mi zrobić jakiegoś drinka? – bardziej poleciła niż poprosiła. Szare oczy mechanika zabłyśły. – Coś na słodko – dodała.

– Naturalnie, już szykuję.

Keller pociągnął łyk ze swojej szklanki, przecedził bourbona przez zęby i skrzywił się.

– Później idziemy do kasyna – powiedział. – Hotelowego. Zaczniemy tam.

– To dobry pomysł? – zapytała Val sceptycznie. – W tutejszym kasynie znajdziemy tylko takich turystów jak my sami. Co nam to da?

– Tak, ale spróbujmy małymi krokami. Poznajmy kogoś, być może mają znajomych, znajomych znajomych. Może uda się nawiązać jakiś kontakt.

– Nie możemy po prostu zacząć od wysłania kolekcji win?

– Dokąd? Na adres własny papieża? I co? Wyślemy, a nasz prezent, nieważne jak drogi, utonie pośród podobnych, równie, o ile nie bardziej, cennych. Nikt nawet na nas nie zwróci uwagi. Nie. Wolę go zostawić na deser. To może być wyraz wdzięczności dla kogoś, kto uchylił nam odpowiednie drzwi. Teraz najważniejsze jest znaleźć kogoś, kto pozwoli nam skontaktować się z kimś na tyle wysokim, żeby był zainteresowany zakupem gwoźdźcia.

– A Cook? – zapytała w końcu Valerie.

– Nie ma z nim żadnego kontaktu – potwierdził jej obawy Keller. – Gdyby wszystko poszło dobrze, powinien nas łapać już na redzie. Znał dane naszej przykrywki, zna nową nazwę Truposza, mógł nas bez problemu namierzyć, dane wszystkich zadokowanych statków są publicznie dostępne. Boję się, że coś poszło nie tak, że ten... Ettore Conti, którego miał przesłuchać i wydobyć parę przydatnych informacji...

Urwał i potarł brodę

Valerie zacisnęła zęby. Czyli nie mieli nic. Są blisko, a teraz będą jak głupi szukać punktu zaczepienia.

– Zaczniemy więc od tego kasyna – warknęła, aż Keller z Craftsheekiem spojrzeli na nią uważnie.

– Wobec tego... – zaczął Craftsheek. Popatrzył na kolorowego drinka, którego właśnie skończył przygotowywać i podał go Val.

Valerie opróżniła szklankę w dwóch potężnych łykach.

– Wobec tego ruszmy dupy – dokończyła za niego. – Proponuję dać sobie trzy dni.

Trzy dni później znajdowali się dokładnie w tym samym miejscu. Owszem, poznali sporo ludzi i zwiedzili kilka kasyn. Jeden z możliwych tubylców, tytułujący się baronem, a kierujący się urodą Val, zaprosił ich na bankiet. Zostawili w kasynach trochę pieniędzy, a trochę wygrali. Zaczęli ruletką i blackjackiem, skończyli na wyścigach wszystkiego co biega w galaktyce. Znajomości w kasynach były nie tylko nietrwale, ale – co gorsza – nieistotne. Valerie sugerowała, że może źle zaczęli, że powinni byli zacząć od drugiego końca drabiny społecznej. Zdjąć te cenne fatałaszkę i poszukać znajomości wśród tutejszego elementu, a taki na pewno istniał w stolicy. Zacząć od jakiegoś pasera. Keller stwierdził, że to zupełna strata czasu. Że prędzej dostaną nożem w nerki.

Z pomocą przyszedł im przypadek.

Czwartego dnia siedzieli w kawiarnianym ogródku przy jednej z bogatszych ulic stolicy i kłócili się. Robili to dyskretnie, ale atmosfera między nimi stawała się namacalnie gęstsza, nawet opanowany zazwyczaj Craftsheek wyglądał, jakby miał wybuchnąć.

– Mamy wizę tylko do końca obchodów – wytknęła Val.

– To jeszcze sporo czasu – odciął się Keller. – Coś wymyślimy.

– Już to widzę. Żeby do Parku Papieskiego sprzedawali bilety, może po prostu poszlibyśmy z łopata, wykopali kogo trzeba...

– Ciszej, do cholery! – rzucił Keller.

– Już ty mnie nie zamykaj – powiedziała zimno, ale ściszyła głos. – Wszędzie czuję te twoje przekłete tajemnice, jakieś niedopowiedzenia. Wiem, że coś ukrywasz. A nic z tego nie wychodzi. Mówiłam, trzeba było zacząć od paserów.

– Tak, doskonały pomysł – tym razem to kapitan zaczął mówić głośniejszym głosem. – O, zobacz tam.

Wskazał na stojącą po drugiej stronie ulicy młodą kobietę w długiej sukni, usiłującą utrzymać pod pachą długi pakunek, który co i rusz się wysuwał i jednym końcem opadał na ziemię.

– Widzisz, jaki ma piękny naszyjnik? Mam świetny pomysł – zadrwił. – Ukradnę go. Zerwę jej z szyi, spotkamy się w jakimś zaułku. Potem ty zorganizujesz nam kogoś, kto łyknie ten towar. Potem powiemy...

– Zamknij się – powiedziała nagle Val zmienionym głosem, mrużąc oczy i przypatrując się kobiecie.

– Co?

– Gówno. Keller, idź i ją poderwij. Teraz. Tutaj.

– Val, odbiło ci?

– Kurwa mać, Keller, jeśli jest jeszcze jakaś szansa, to właśnie jest ona.

– Ale co ja...

Valerie zakłęta szpetnie. Złapała Kellera za rękaw jego pięknego, jasnego garnituru, przysunęła się, poprawiła mu kłapy w marynarce i kołnierzyk koszuli.

– Nie wiem, jak to zrobisz – syknęła. – Może weźmiesz ją na litość, to działa w trzydziestu procentach przypadków, może po prostu podejdziesz i zagadasz, nieważne o czym, samo zainicjowanie rozmowy to już prawie dziewięćdziesiąt procent sukcesu. Będziesz grzeczny, ujmujący, szarmancki, tak jak widziałam, że potrafisz być w stosunku do tych wszystkich pańienek wydających pieniądze w kasynach. A może po prostu pomóż jej z tą pieprzoną paczką, zainteresuj swoją skromną osobą i zaproś do stolika.

– Ale kto to jest?

– Potem! – Val prawie zawyła i dodała słowo, które na Polonusie należało zarówno do najstarszych, jak i tych najbardziej wulgarnych.

Keller zerwał się i prawie pobiegł na drugą stronę ulicy.

Craftsheek patrzył na Val z mieszaniną uznania i fascynacji.

– Mireusie – powiedziała poważnie. – Trzymamy klasę. Jeśli do nas podejda, to ty jesteś pośrednikiem w rozmowach z kelnerami, my z nimi nie rozmawiamy, oni z nami nie rozmawiają. Najlepiej będzie, jeśli wstaniesz i pozostaniesz w tej pozycji, czekając, aż zostaniesz wezwany. Rozumiesz?

Craftsheek posłusznie się podniósł i stanął kawałek za krzesłem Valerie. Szczerzył się tak, że sama miała ochotę się roześmiać.

– A jeśli nie podejda? – zapytał cicho.

– Wtedy zabiję twojego kapitana. Gołymi rękami. A na to się zanosi, zobacz tylko tę ofiarę losu.

Keller zbliżał się do kobiety niepewnie, co jakiś czas odwracając lekko głowę i zerkając na

obserwujących go towarzyszy.

– Poradzi sobie. – Craftsheek nachylił się do Val. – Jeszcze się zdziwisz. Daj mu dwie sekundy.

– Prędeej...

Ale mechanikowi nie dane było usłyszeć, co będzie prędeej, bo Keller zatrzymał się tuż za kobietą, przeczesał palcami włosy i wyprostował się. Uśmiechnął. Valerie przysięgłaby, że urósł o kilka centymetrów. Wyglądał jakby ostatnie kilka dni niepowodzeń i frustracji nagle wyparowało i obok kobiety stał prawdziwy arystokrata z Remusa, pan Ian Mookstein.

Pakunek ponownie wysunął się kobiecie z rąk i Keller chwycił go jednym płynnym ruchem. Kobieta spojrzała zaskoczona. Ich oczy spotkały się i Keller uśmiechnął się promiennie, takim radosnym, zaraźliwym uśmiechem, który promienieje nie tylko z ust, ale przede wszystkim z oczu.

– Proszę o wybaczenie – zagaił. – Ale wydawało mi się, że potrzebuje pani pomocy. Ian Mookstein, do usług.

Podłużne pudełko wykonane było z czegoś potwornie śliskiego. Keller poczuł, że i jemu zaczyna wyślizgiwać się z rąk, zatem poprawił je zgrabnie.

Kobieta obserwowała to z uśmiechem, zdając sobie doskonale sprawę, przez co przechodzi teraz nieznamy.

– To tehańskie szkło, mój panie. Powierzchnia o obniżonym tarciu. Ciężko jest je utrzymać bez specjalnych rękawic.

– Daje się to odczuć. Czy wobec tego pozwoli pani zaprosić się na drinka, a mój służący w tym czasie zdobędzie takie rękawice?

Kobieta zmrużyła oczy. Keller stwierdził, że nie były to oczy do zakochania od pierwszego wejrzenia. Niebieskie tęczówki były odrobinę zbyt rozwodnione, brwi trochę zbyt ostro nachylone, a prosty nos nadawał całemu spojrzeniu wrażenie jakiejś drapieżności, czy może niechęci. Ale kiedy w końcu uśmiechnęła się, jej twarz przeobraziła się i dziwne ciepło rozlało się po ciele Kellera. *Zaraz, zaraz – pomyślał. Kto tu kogo podrywa, do licha?*

Ale wiedział, że udało mu się przykuć uwagę kobiety, wyraziła swoje zainteresowanie jego osobą. Teraz po prostu trzeba ostrożnie, bez pośpiechu przeć do przodu.

– Nazywam się Beatrix Koll – usłyszał Keller.

Obejrzał dyskretnie kobietę, szukając znaków symbolizujących stan cywilny. Różne planety miały różne zwyczaje. Pierścionki na palcach, wisiorki, kolczyki w uszach, ustach czy brodach, łańcuszki w intymnych miejscach – nie pamiętał, co się nosi na Pontifexie. Nie mógł więc być pewien, czy jego nowa znajoma jest mężatką, ale postanowił zaryzykować, że jednak nie. Reakcja Valerie sugerowała, że wie, kim jest kobieta, więc jeśli z takim uporem wysłała go na podryw, to wiedziała, że Beatrix Koll była albo niezamężna, albo może... rozwiązała.

– Z chęcią ucałowałbym pani dłoń, panno Koll – uśmiechnął się, mając paczkę – ale obawiam się, że wówczas ta... rzecz wyląduje na ziemi. Zatem jeśli nie ma pani nic przeciwko, proszę podążyć za mną, do mojego stolika, po drugiej stronie...

Mówiąc to, kierował się do restauracji, gdzie siedziała Valerie, a z tyłu stał Craftsheek. Zerknął na Beatrix, która z lekkim wahaniem ruszyła za nim. Posłał zachęcający uśmiech i z trudem złapał pakunek, który znowu usiłował wyslizgnąć się z jego objęć. Usłyszał stłumione parsknięcie.

Zbliżyli się do stolika. Valerie na ten widok wstała i uśmiechnęła się promiennie. Keller stał z boku i przyglądał się spod oka Beatrix. Czy widział zawód w jej oczach? Miał nadzieję, że tak.

– Beatrix Koll – przestawił przybyłą. – Valerie Mookstein. – Odczekał sekundę, udając, że poprawia paczkę, pozwalając Beatrix w pełni pojąć implikacje wspólnego nazwiska. I tak. Przez mgnienie oka dostrzegł w jej spojrzeniu to, na co czekał, więc dodał: – Moja siostra.

I znowu nie udało jej się ukryć swoich uczuć. Odrobina radości. Siostra, nie żona. Z tej huśtawki nastrojów wyczytał wszystko. Dziewczyna chciała dać się zaprosić na drinka. Inna sprawa, że gdyby zupełnie nie chciała, po prostu nie zgodziłaby się, jeszcze tam, po drugiej stronie ulicy. Ważniejsze było to, czy działała na nią sama osoba pana Mooksteina. I sądząc po jej chwilowym rozczarowaniu przy spotkaniu „małżonki” – działała.

Keller skinął na Craftsheeka i kiedy ten podbiegł, wręczył mu pakunek.

– To tehańskie szkło, Mireusie – powiedział ze znanstwem. – Załatw coś do trzymania. A najlepiej jakiś transport. Gdzieś to przesłać, panno Beatrix?

– Nie trzeba, dziękuję...

Keller zdążył już podsunąć jej krzesło i przysunąć do stołu.

– Na co ma pani ochotę? Gorąco dzisiaj, pozwoli pani, że wybiorę coś specjalnie dla niej?

Planował nie dać jej wyboru, złożyć zamówienie bez jej zgody, ale coś w jej postawie mówiło, że jest zbyt gwałtowny, że przekracza jakąś cienką granicę, za którą straci kruchą więź, którą nawiązał z kobietą.

– Albo może pani coś zaproponuje?

Beatrix skinęła głową.

– W takim razie może... specjalność tej restauracji? Trzy demony.

– Po jednym dla każdego? – dopytał się Keller, na co kobieta zaśmiała się.

– Widać, że nie jest pan z Pontifexa. Nie chodzi mi o pana strój – obrzuciła Kellera uważnym spojrzeniem – który, notabene, jest niczego sobie. Trzy demony to bezalkoholowy drink, znany na całej planecie, ale tu przyrządzany najlepiej.

– W takim razie... – Odwrócił się, poszukując wzrokiem Craftsheeka, który nie zdążył się jeszcze oddalić i walczył ze śliskim pudełkiem. – Mireusie, dziewięć demonów, dla uroczej panny Beatrix, mojej siostrzyczki i mnie.

– Czy to się pije zimne? – spytał jeszcze konfidencjonalnie Beatrix.

– Bardzo zimne – przytaknęła.

– Tylko bardzo zimne! – dodał podniesionym głosem, zerkając na kobietę. Był ciekawy, jakie wrażenie robi na niej takie dyrygowanie służącym. Wyglądało, że w ogóle nie robi. Albo była nawykła do służby, albo... próżna. Ale sądząc po tym, że wie, jakie drinki serwują w tej cholernie drogiej restauracji, stawiałby na to pierwsze. Rzucił Valerie dyskretne, mordercze spojrzenie. Kim była ta kobieta? Młoda, najwyżej trzydziestoletnia, nie piękna, ale ładna, urocza. Długie ciemne włosy spięte miała na karku tutejszą, bardzo typową dla Pontifexa spinką zwaną żukiem, ze względu na podobieństwo do tutejszego okazu fauny. Żuk we włosach Beatrix nie był jednak byle jakim świecidełkiem ze straganu, ale błyszcząły w nim prawdziwe szlachetne kamienie. Była tutejsza, bogata. Szlachcianka? Córka kupca?

Valerie, czujnie obserwując rozterki „brata”, zareagowała od razu, ściągając na siebie uwagę Beatrix.

– Ma pani piękne kolczyki – powiedziała, wskazując na jej uszy. – To chyba nie jest tutejszy wyrób? Widziałam coś takiego na... chyba na Palimpseście, to było dość dawno temu. Ten układ słynie z tak misternych ozdób.

– Proszę, mówmy sobie po imieniu – uśmiechnęła się Beatrix, dotykając lewego ucha. – Tak, to prawda, są z Palimpsestu. Masz doskonałe oko.

– Oko handlarza – odpowiedziała uśmiechem Val. – Trochę włączymy się po galaktyce.

– Ja rzadko opuszczam Pontifex.

Beatrix wydawała się być odrobinę zakłopotana, ale Keller już wrócił do siebie i natychmiast wziął z powrotem na siebie ciężar konwersacji. Sam musiał przed sobą przyznać, że był to całkiem miły ciężar.

– Są wspaniałe – przyznał, zerkając okiem znawcy – ale do pani pasowałyby bardziej szmaragdowe łyzy z układu Campo.

– To przecież opowieść dla grzecznych dzieci – parsknęła Beatrix, ale ciągle się uśmiechała.

– Ależ zapewniam cię, że nie! – obruszył się Keller. – Za granicami wpływów ludzkości, po drugiej stronie galaktyki, leży dominium rasy T'z'gaa. Są bardzo nieufni w stosunku do nas, ludzi, ale to rozumią, zważywszy na fakt, że wszędzie, gdziekolwiek się ruszymy, przynosimy ze sobą mniejsze lub większe konflikty zbrojne. Więc na tej granicy leży układ Campo. Sam w sobie nie jest szczególny, ale przez lata mieszkańcom udało się wypracować coś na kształt porozumienia z T'z'gaa. Wynegocjowali możliwość eksploatacji Planety Szmaragdowej.

– To... to jakieś bajania – zaprzeczyła Beatrix, ale słuchała z wyraźnym zaciekawieniem.

Więc Ian Mookstein opowiedział historię Planety Szmaragdowej. Opowiedział o T'z'gaa, którzy stworzyli cywilizację dużo wcześniej niż ludzie, ale nigdy nie byli tak ekspansywni i nie ruszyli na szeroki podbój galaktyki. Opowiedział o próbach pierwszego kontaktu, o próbach handlu i nawiązywania współpracy, o walkach prowadzonych w tamtym rejonie. O ich dziwnych statkach, podróżujących



z prędkościami przyświelnymi, o rzekomej umiejętności kontrolowania czasu. Opowiedział o Planecie Szmaragdowej, która położona jest na ich terytorium. Planecie o turkusowym niebie i czerwonych chmurach oświetlanych przez czerwonego giganta, wokół którego krąży. Planecie, której prawie całą powierzchnię pokrywają kryształy berylu. O najpiękniejszych zachodach i wschodach słońca, jakie można sobie wyobrazić. O miejscu, które chciałby zobaczyć każdy człowiek.

Beatrix dała się wciągnąć tej historii. Słuchała, czasem zadawała pytania, na które Keller udzielał odpowiedzi, co jakiś czas podkreślając, że nie wie wszystkiego, że kiedyś poznał jednego człowieka, włóczęgę, który na swoim małym stateczku doleciał w tamte rejony.

A Valerie miała wrażenie, że Keller kłamie. Owszem, wszystko co mówił o planecie było prawdą, ale jego plastyczne opisy dawały złudzenie, że tam był. Kiedyś, dawno temu, ale musiał tam być. Cholera, nawet ją urzekła ta opowieść, a Beatrix wyglądała na mocno oczarowaną. Język, którego używał Keller, w miarę opowieści robił się coraz bardziej wyszukany, dobierał wyrażenia starannie, jakby przypominał sobie dawno zapomniane słowa. Valerie ze zdumieniem odkryła, że kilku zwrotów zwyczajnie nie rozumie – a przecież rozmowa toczyła się w uniwersalnym stanlangu. Zastanowiło ją to. Na statku Keller sprawiał wrażenie przeciętnego kapitana. Statków takich jak Truposz było pełno w całym uniwersum, jak i takich dowódców. Czasem zdawało się, że Keller nie panuje nad załogą, na przykład nad Mykeym, który wciąż sprawiał kłopoty. Gra aktorska, jaką teraz fundował jej i Beatrix, była jednak najwyższych lotów. Może to nie była gra? Może grą było to, co widziała na statku? Sama zaczęła się zastanawiać, kim, do cholery, był Ian Keller? Zerknęła na Beatrix. Jej twarz wyrażała podobne uczucia. Kim, u licha, jest Ian Mookstein?

Craftsheek–Mireus w międzyczasie dostarczył im zestaw drinków, a zdumiona Val zorientowała się, że zasłuchała się tak, iż teraz z trudem mogła przypomnieć sobie smak tak zachwalanych Trzech Demonów.

A Keller już zmienił temat, już opowiadał o jakimś egzotycznym smakołyku zwanym Taneczną ropuchą, który je się specjalnymi narzędziami pozwalającymi na otwarcie pancerza stworzenia bez uszkodzenia delikatnego mięsa. Cholera jasna. Valerie nigdy nie słyszała o Tanecznej ropusze ani o przeklętych narzędziach. Wyobraźnia ponosiła Kellera, a Valerie, jako jego rzekoma siostra, latająca tym samym statkiem, powinna coś wiedzieć o podróżach Iana. *Poza tym, do cholery, przestań się puszyć* – warknęła w myślach – *i daj tej dziewczynie coś powiedzieć*.

Keller jakby to usłyszał i zapytał o coś Beatrix, przepaszając jednocześnie za swoje gadulstwo.

W tej właśnie chwili nadszedł Craftsheek, niosąc długą paczkę szczelnie owiniętą w kolorowy ozdobny papier. Beatrix na ten widok zaśmiała się i wyciągnęła po nią rękę.

– Papier – westchnęła. – Czemuż wcześniej o tym nie pomyślałam?

Wstała od stołu i rozejrzała się, jakby zdziwiona faktem, że tak długo przebywała w towarzystwie obcych ludzi.

– Przepraszam, że zabrałam wam tyle czasu – powiedziała. – Obawiam się, że muszę już iść.

– Ależ proszę zostać... – próbował ratować sytuację Keller, również wstając.

Lecz cały urok prysnął. Keller przeklął w myślach Craftsheeka, że pospieszył się z tą przeklętą paczką.

Zmarkotniał. Beatrix dostrzegła to, bo uśmiechnęła się do niego, a jej oczy zalśniły figlarnie.

– I liczyłem na opowieść, co masz w tym pudełku z tehańskiego szkła – dodał nieszczęśliwym głosem.

– Być może spotkamy się jeszcze, wówczas z chęcią opowiem. – Kobieta skinęła uprzejmie głową. –

Val, Ian, dziękuję za mile spędzony czas.

– To my dziękujemy – uśmiechnęła się Valerie promiennie. – Myśleliśmy, że Obchody będą miały więcej... rozmachu? – dodała niepewnie. – Na razie toniemy w nudzie, nie widzieliśmy dotąd żadnej procesji.

– Jeszcze nie czas – roześmiała się perliście Beatrix. – A co do rozrywek... może szukacie ich w złych miejscach?

Skinęła jeszcze raz głową, odwróciła się i odeszła wzdłuż ulicy, idąc z dumnie uniesioną głową pomiędzy barwnym tłumem przechodniów. Obserwowali ją, aż znikła im zupełnie z oczu.

Opadli z powrotem na krzesła. Z nieba lał się żar, południe minęło, a rodzimej gwiazdzie Pontifexa jakby przybywało energii.

– Mireusie, mój drogi sługo, zamów nam coś jeszcze. Może być z alkoholem dla odmiany. Jakoś z chęcią bym się napił.

– Pocałuj mnie w nos, mój panie, sam mam ochotę na drinka. – Craftsheek usiadł obok, ale przy drugim stoliku, tak, aby nadal stwarzać pozory, że nie zakłóca spokoju swojego państwa, i jest ciągle gotowy na ich wezwanie.

– No dobra. – Keller spojrzał na Valerie. – Kto to był?

Val pokiwała głową na boki, wydobyła chusteczkę i przetarła czoło.

– Powinniśmy wejść do środka. Tęsknię za klimatyzacją.

– Kto to był? – powtórzył Keller.

– A czy ty w ogóle patrzyłeś w materiały, które ci wcześniej przesłałam? *Who is who* na Pontifexie?

Keller skrzywił się z niesmakiem.

– Coś czytałem. Kardynałowie, biskupi, rodziny szlacheckie... strasznie tego dużo. To była jakaś szlachcianka?

Valerie wypuściła powietrze.

– Beatrix Koll – powiedziała poważnie. – Córka miłościwie dzierżącego pontyfikat papieża Pawła Konstantego II.

– Pierdolisz! – wypalił Keller zupełnie niearystokratycznie, wybałuszając oczy.

– Gdzie twoje maniery, Ian?

– W dupie tam z manierami! Jak to córka? Papieża? Przecież to katolicy! A celibat?

Valerie podniosła się.

– Chodźmy stąd. Wróćmy do hotelu. Mam dość tego gorąca, chcę wziąć prysznic.

Keller spojrzał z rozpaczą na Craftsheeka, ale ten wykrzywił usta i wzruszył ramionami, informując bezgłośnie kapitana, że rytuały godowe przywódców kościoła obrzędu pontifexańskiego są mu zupełnie obce.

W drodze do hotelu prawie nie rozmawiali. Valerie szła szybkim krokiem, a Keller i Craftsheek podążali kilka metrów za nią. Keller rozmyślał o tym, co robi Val, kiedy już zostaną sam na sam, a nie były to myśli miłe. Ale właściwie to o co był wściekły? Przecież Valerie zrobiła coś genialnego. Rozpoznała na ulicy potencjalny kontakt! Córka papieża?! I Keller... na ile mógł się sam ocenić, szło mu całkiem dobrze. Jeśli to chwyci...

Kiedy weszli do pokoju, Keller nie był już zły na Valerie, a właściwie miał ochotę ją serdecznie ucałować. Ograniczył się jednak do niewyraźnego pomruku, w jego rozumieniu oznaczającego pochwałę w stylu „świetna robota”. Val tylko wywróciła oczami. Na wyjaśnienia musieli jednak poczekać, bo zgodnie z tym co zapowiedziała – poszła najpierw wziąć prysznic. Na szczęście nie trwało to zbyt długo.

– Beatrix Koll – zaczęła, poprawiając mokre jeszcze włosy i moszcząc się w fotelu. – Córka papieża Pawła Konstantego II, nieślubna oczywiście, urodzona przed objęciem pontyfikatu, kiedy to papież nosił jeszcze nazwisko Henry Shulle. Był ambitnym kardynałem, wrócono mu same sukcesy, doskonale się zapowiadał. Był też jurny, jak widać. Beatrix ma dwadzieścia osiem lat, matką była Maria Angelina Koll, nieżyjąca od kilku lat mieszcanka. Sprawa była utrzymywana w tajemnicy, czy może sam kardynał nie wiedział o tym, że spłodził potomstwo. Sprawa wyszła na jaw dziesięć lat temu, tuż po śmierci jej matki, kiedy opublikowano testament, w którym ujęto również pochodzenie Beatrix. Zrobiło się zamieszanie, tutejsze media natychmiast złapano krótko za mordy, ale inni, niezależni od Pontifexa dziennikarze, chwycili się ostro tematu. I zaczęli grzebać. Kardynał Shulle, będący już od kilku lat papieżem, w końcu zajął stanowisko. Miał dwa wyjścia – abdykować albo spróbować jakoś to obrócić na swoją korzyść. Oczywiście spróbowano wyjścia numer dwa. Oj, działo się wtedy na Pontifexie... Według mnie na pewno wcześniej rozważali pozbycie się dziewczyny, ale zanim podjęto jakieś kroki w tym kierunku, wszystko zostało rozdmuchane do takich granic, że nie sposób było zrobić tego po cichu, bez rzucania cienia na osobę papieża. Papieska odezwa, nadawana na całą planetę, w której papież przeprasza za błędy młodości i opowiada, jaka to z niego marność... To było niespotykane. I, o dziwo, zadziało. Papież, który wprowadził za swojej kadencji sporo reform, był lubiany. Szybkie sondy i badania opinii publicznej dały Pawłowi Konstantemu szansę, a on z niej skorzystał. Wydaje się, że papież w obliczu takiej sytuacji powinien ustąpić od razu, ale... przecież to władza. Papież na Pontifexie jest nie tylko głową kościoła, także prezydentem całego układu, dowódcą sił zbrojnych. Niełatwo oddać taką potęgę.

Wierni z pozaukładowych kościołów mieli znacznie więcej do powiedzenia, ale machina propagandowa Pontifexa ruszyła i, począwszy od biskupów, a skończywszy na proboszczu w zapadłej dziurze na końcu galaktyki, wszyscy mówili jednym głosem: papież ukazał swoje człowieczeństwo. Popełnił błąd, który do końca życia będzie mu przypominał o tym, by być lepszym człowiekiem. Takie tam pieprzenie.

Valerie podeszła do barku, nalała sobie wody i wypła szybko.

– A Beatrix została właśnie takim żywym błędem. Nie pozwalają jej opuszczać układu, trzymają trochę jak pieska na smyczy. Jest tutejszą trochę maskotką, ale w bardzo negatywnym znaczeniu. Osobą, do której podchodzi się z szacunkiem, ale jednocześnie pluje za plecami. Jest bękartem tej planety.

– To trochę niedobrze, prawda? – zapytał Craftsheek. – Zaprzyjaźniliśmy się z tutejszym pariasem.

– Nie – odpowiedziała Valerie. – Z papieską córką. Tak naprawdę społeczeństwo jest podzielone jeśli chodzi o jej osobę. Tak jak mówiłam – ludzie zachowują coś pośredniego pomiędzy szacunkiem a dystansem. Na pewno część z nich nie znajduje jej winy w tym, że „padre” wziął ten tytuł zbyt dosłownie...

Craftsheek parsknął ubawiony.

– Ona nie wie, że my wiemy – powiedział Keller.

– Dlatego nie chciałam ci mówić, kto to. Zresztą nie było czasu na tłumaczenie i bałam się, że wyczuje jakąś rezerwę w twoim zachowaniu. Ale poszło świetnie.

– Tak mi się wydaje – potwierdził Keller ostrożnie. – Pytanie, co teraz robimy? Nie będziemy udawać w nieskończoność, że nie wiemy kim jest. Normalny człowiek zapytałby się od razu po jej odejściu kogokolwiek, choćby i kelnera, czy zna tą panią. Ja bym tak zrobił w normalnej sytuacji. A ona raczej zdaje sobie sprawę, że jej mała tajemnica wyda się od razu.

– Właśnie – mruknęła Val. – Sama nie wiem. Wysłać jej coś, potwierdzając tym samym, że państwo Mookstein, czy może sam Ian, wiedzą kim jest i chcą kontynuować dobrze zaczęłą znajomość?

– Wyślę jej zaproszenie na spotkanie – powiedział Keller zdecydowanie. Nalał sobie do szklanki coś, co Craftsheek wygrzebał z barku. – Nie udawajmy idiotów.

Zapadła cisza, i wisiała w powietrzu do chwili, gdy nagle przerwał ją mechanik.

– Czy tylko ja mam takie wrażenie, czy próbujemy właśnie wykorzystać biedną dziewczynę, której życie dokopało już wystarczająco mocno?

Keller dopił zawartość swojej szklanki i spojrzał przez okno na pogrążające się w zmierzchu miasto. Zapalały się pierwsze latarnie.

– Tak. Właśnie to próbujemy zrobić.



Nie mieli specjalnego problemu z doręczeniem wiadomości. Właściwie to Craftsheek nie miał, bo to na niego spadł obowiązek dostarczenia listu do rąk własnych Beatrix. Co prawda nie udało mu się to do końca, bo odbił się od jej prywatnej gwardii pokojówek i lokajów, ale zrobił ile mógł.

Keller napisał list odręcznie, co samo w sobie było odrobinę dziwaczne. Na hotelowej papeterii skreślił słowa o ujmującym wdzięku Beatrix i zaprosił na wspólną kolację. Tak przejął się tym listem, że o mało nie podpisał się „Keller” zamiast „Mookstein”. Potem zapakował go w papierową kopertę i wręczył Craftsheekowi.

Odbierająca list służba wyraziła umiarkowane zdziwienie typem korespondencji. Jeśli ktoś przesyłał prywatną wiadomość, robił to zwykle za pomocą sieci komputerowych. Choć zdarzały się także wideonagrania, widokówki czy holokryształy, to papierowy list był czymś niezwykle rzadkim. A do tego odręcznie napisany list. Craftsheek był przekonany, że lokaj, któremu przekazał zaproszenie, nie był w stanie odczytać nazwiska adresata. A charakter pisma miał Keller okrągły, dostojny i pełen zawijasów. Valerie, ujrawszy pisane pewną ręką litery, ozdobne ale równo kreślone, zrozumiała, że Keller musiał kiedyś uczyć się kaligrafii. Pisał szybko, bez wysiłku i... zaskoczyło ją to, czym pisał. Myślała, że wcześniej wysłany na poszukiwania Craftsheek przyniósł ołówek, czy kupił gdzieś zwykły długopis czy może jakiś mazak. Ale to było długie pióro, należące onegdaj do jakiegoś ptaka, które Keller zaostrzył nożem i podczas pisania maczał w buteleczce z atramentem.

– Jak to robisz, że to ci się nie rozlewa? – spytała później, sama próbując coś napisać na kartce, co kończyło się tym, że atrament ściekał na wszystkie strony. Poza tym dziwnie się trzymało to pióro. Uświadomiła sobie, że ostatni raz napisała cokolwiek bez użycia elektroniki gdy miała sześć czy siedem lat. To, co zrobił Keller, wprowadziło ją w prawdziwe osłupienie.

– To się nazywa kleks, moja pani – pokazał palcem na wielką plamę w miejscu, gdzie trzymała zbyt długo pióro.

– Nauczysz mnie tak pisać?

– Nie.

– Wypchaj się, panie Mookstein. Wychodzę przy tobie na niewykształconą prostaczkę.

– Czym skorupka za młodu nasiąknie... – usłyszała w odpowiedzi słowa wypowiedziane czystą polszczyzną i aż podskoczyła. Samo powiedzenie sięgało czasów chyba starszych niż Polonus.

– Co? Skąd to znasz? W sensie język? Znasz? – pytała chaotycznie.

– Nie mam nawet pojęcia, co te słowa znaczą – wykręcił się Keller.

Zabrzmiało to tak przekonująco, że Valerie prawie uwierzyła. Przeraziło ją, jak cholernie dobrym kłamcą jest kapitan Truposza. Truposz. Zauważyła, że Keller zdjął z szyi swój wisiołek w kształcie pętli. Kiedy to zrobił? Chyba jeszcze na redzie? Jej uwagę odciągnął wracający właśnie Craftsheek.

– Nogi mi w dupę wlały – rzucił od progu i walnął się na fotel. – Możecie tymczasem nie nadużywać waszego sługi? Chciałbym odpocząć.

– Dostarczyłeś?

– Dostarczyłem, ale nie czekałem, aż odpisze. – Zerknął na gryzmoły na papeterii walającej się przed Valerie. – Zresztą, może i dobrze, że nie kazałeś mi czekać. Trudna sztuka pisania odeszła, jak widzę, w zapomnienie.

– Tylko mi nie mów, że też tak umiesz? – wybałuszyła oczy Val.

Craftsheek przyjrzał się wielkiemu kleksowi i przeniósł wzrok na kobietę.

– Umieć znacznie lepiej – puścił oczko.

– Tobie też zaraz każe się wypchać – rzucił Keller. – Jest już po południu. Bierzemy obiad do pokoju?

– Pewnie! – rzuciła Val.

Craftsheek uśmiechnął się do niego smutno, jakby z przyganą. Keller zrobił głupią minę. Wywrócił oczy i mrugnął. Mechanik wystawił jeden palec. Jeden dzień.

Val nie dostrzegła tej niemej konwersacji.

– Ja nie będę jadł – zastrzegł Craftsheek. – Jadłem na mieście.

Zaświergotał komunikator pokojowy. Ściana salonu zamieniła się w olbrzymi ekran i wyświetliła informację o połączeniu przychodzącym. Keller poprawił na sobie garnitur, stanął na środku pokoju i gestem dał znak, żeby odebrać rozmowę. Val i Craftsheek ukryli się w sypialni.

Ekran wyświetlił Beatrix siedzącą wygodnie w fotelu. Ubrana była w długą wydekoltowaną suknię o ciemnozielonym odcieniu. Włosy miała fantazyjnie upięte, kilka kosmyków spadało z prawej strony na jej czoło. Keller uznał, że kobieta wyglądała oszałamiająco i sam przeraził się tej myśli.

– Witaj, Ian – powiedziała Beatrix. – Ciekawe zaproszenie, muszę przyznać. Masz, jak widać, wiele

talentów.

– Dzień dobry, Beatrix. Piękna suknia. Czy to efekt wczorajszej rozmowy o szmaragdach?

Roześmiała się i przejechała ręką po biodrze, wygładzając wyimaginowane fałdy.

– To bardzo możliwe. Opowiadasz tak cudownie, że nie wykluczam, że to mnie zainspirowało.

– Mam więcej takich opowieści.

Znowu się zaśmiała.

– A ja dzwonię właśnie po to, żeby powiedzieć, że z chęcią ich wysłucham. Ale... – uniosła w górę palec – to ty czuj się zaproszony do mnie. Dziś o osiemnastej. Wraz z siostrą.

– Obawiam się... – rozejrzał się konspiracyjnie – że Valerie nie będzie mogła przyjść. Jako wspólnik w interesach ma swoje zadania do wykonania.

Beatrix uśmiechnęła się znowu i Keller w końcu uznał, że ma ładny uśmiech. Że w ogóle jest ładna. Dlaczego nie widział tego wcześniej?

– Zatem osiemnasta u mnie, Ianie Mookstein. Mam nadzieję, że będziesz miał dla mnie jakąś ciekawą opowieść.

– Dziękuję, Beatrix. Na pewno będę i na pewno z jakąś historią. – Skłonił się uprzejmie.

Kobieta skinęła lekko głową i rozłączyła się.

– Uuu, aniołki! – zawołała Val, wracając do salonu. – Miło was słuchać, jak sobie tak uprzejmie gruchacie.

– Gołąbki – poprawił ją Craftsheek. – To gołąbki gruchają. Ale fakt, że cukierkowi jesteście.

Keller wzruszył ramionami.

Valerie miała błyszczące oczy.

– To co teraz? Wyślemy jej kolekcję win z Bachusa? Weźmiesz gwóźdź i spytasz, gdzie możesz go sprzedać?

– Wiesz, że nie. Poczekamy, zobaczymy co się z tego rozwinię.

A rozwijało się niespiesznie.

Beatrix mieszkała niedaleko miejsca, gdzie spotkali się po raz pierwszy. Właściwie to niedaleko bramy okalającej posiadłość, bo do samego pałacyku było pół kilometra. Keller pochwalił się w myślach za to, że wziął jumper. Zresztą, nawet bardziej wypadało przybyć taksówką, zamiast po prostu przyjść.

Kiedy o umówionej godzinie stawił się pod drzwiami Beatrix, powitał go służący. Skłonił się uprzejmie i zaprosił do środka.

– Witam, panie Mookstein. Proszę za mną, pani Koll niebawem się zjawi.

Powiódł Kellera do saloniku, który był czymś w rodzaju poczekalni dla gości. Stały tu dwa wygodne skórzane fotele, niewielki stolik, na którym można by postawić co najwyżej filiżankę kawy i cukiernicę, ale dzbaneczek na mleko już by się nie zmieścił. Oświetlenie było wykonane w staromodnym stylu: ze

ścian zwisały kinkiety o żarówkach przypominających płomień świecy, zamiast stosowanych wszędzie paneli.

Nie czekał długo. Weszła Beatrix, w tej samej sukni, w której widział ją podczas rozmowy. Wyglądała bajecznie. Suknia. Beatrix. Beatrix w sukni. Keller pomyślał nagle, że z chęcią zobaczyłby ją bez sukni i zmroziła go ta myśl. Nie chodziło o to, że dawno nie miał kobiety, bo miał. Jakieś. A Beatrix, pochylając głowę w ten sposób, stając nie prosto, a z jedną nogą wysuniętą do przodu, przywołała jakieś dalekie wspomnienie osoby, którą kochał i za którą prawie dał się zabić.

– Ian? – powiedziała łagodnie Beatrix. Musiała dostrzec coś dziwnego w jego wzroku, a może zaskoczyło ją niezwykle dla niego milczenie.

– Przepraszam! – Keller zerwał się z miejsca zakłopotany. – Miałem na początku nie prawić komplementów, żeby nie wyjść na durnego fircyka, ale obawiam się, że się nie da. Wyglądasz... pięknie!

– Powiedziałabym, że albo jesteś doskonałym aktorem, albo kłamcą.

Beatrix zmrużyła oczy, niby z naganą, ale nie zdołała ukryć, że słowa Kellera sprawiły jej niemałą przyjemność.

– Masz ochotę coś zjeść czy wolisz spacer? – zapytała.

– Spacer – oświadczył Keller zdecydowanym tonem. – A jeśli po spacerze zgłodniejemy, to wówczas, jeśli nie będziesz miała mnie dość, wproszę się na kolację.

Zastanowił się, co sprawiło, że kobieta naprawdę wzbudziła w nim zainteresowanie. Postanowił jednak porzucić te rozważania i wrócić do nich później. Na razie wyszli przed pałacyk. Upał zelżał i wieczór zrobił się całkiem przyjemny. Gdzieś z okolicy dobiegały syknięcia zraszaczy.

Keller wystawił ramię. Beatrix popatrzyła na nie dziwnie i Keller pomyślał, że właśnie zaliczył pierwszy nietakt. *Siedem grzechów głównych* – pomyślał. – *Grzech pierwszy: nachalność.*

Ale Beatrix uchwyciła go nagle pod rękę, a ich barki oparły się o siebie.

*Cholera!* – pomyśleli jednocześnie.

Ruszyli.





Keller nie wiedział do końca, co z nim się dzieje, ale Craftsheek owszem. Znał przyjaciela od tylu lat, że wietrzył kłopoty. Beatrix Koll była podobna do dawnej ukochanej Kellera. Nie było to uderzające podobieństwo wyglądu. Tamta była niższa, miała pełniejsze usta, minimalnie szerzej rozstawione oczy, odrobinę dłuższą szyję. Były różne, na ile różne mogą być dwie niespokrewnione osoby. Ale coś w zachowaniu Beatrix, gesty, mimika, uniesienie głowy, przypominało dawną panią serca jego kapitana. Bardzo dawną. Craftsheek ledwo ją pamiętał, a przecież pamiętał. A co dopiero Keller. Craftsheek wietrzył kłopoty. Czuł, że cokolwiek nie zrobią, Keller nie pozwoli skrzywdzić Beatrix.

Kapitan nie był kochliwym chłopcem, o nie. Kobiety, które przewijały się przez jego życie, miały jedną wspólną cechę – wcześniej czy później znikają. Craftsheek wiedział, dlaczego. Keller nie zabiegał o ich względy. Nawet nie to. Nie dbał o nie. A kobiety lubią, kiedy się o nie dba. I nie chodzi o drogie prezenty, choć często bywają one słodkim afrodyzjakiem. Chodzi o obecność. Poczucie bezpieczeństwa. Mężczyzna ma być kotwicą, której można się uchwycić, i która wskazuje miejsce w życiu, do którego można powrócić. A Keller zdecydowanie nie potrzebował, żeby do niego wracano.

– Będzie problem – wyszeptał mechanik do siebie.

– Co mówiłeś? – zapytała Val, czujnie podnosząc głowę.

– Myślę i wyrwała mi się jedna z tych myśli – skrzywił się Craftsheek.

– To dobrze, że ktoś w ogóle próbuje myśleć.

– Coś ty taka zgryźliwa?

– Ciekawe – powiedziała Val. – Czasem Keller, a teraz także ty, rzucicie jakieś dziwne słowo w języku standardowym. Teraz też. Zgryźliwa. Niby rozumiem znaczenie, ale mam wrażenie, że to słowo albo wyszło z obiegu, albo to jakiś regionalizm. Skąd jesteście?

– Tajemnica zawodowa – uśmiechnął się Craftsheek. – Ale wiesz co? Z chęcią posłuchałbym czegoś o tobie.

– To też tajemnica. – Val odwróciła się do ekranu i włączyła wiadomości.

Przygotowania do Wielkiej Soboty. Do Wielkiej Niedzieli. Wielki tydzień. Planowane trasy procesji. Przemówienie. Przemówienie. Procesje. Gestem wyłączyła *videowall* i odwróciła się z powrotem do Craftsheeka.

– No dobra. Pytaj. Albo nie. Ja sama zadam pytanie: dlaczego przysłali wam taką gówniarę?

Szare oczy mechanika zabłysły rozbawieniem.

– Ująłbym to delikatniej. Ale ogólny sens jest ten sam.

Val parsknęła.

– Bo jestem dobra – oznajmiła w końcu.

Craftsheek poruszył głową, oczekując na rozwinięcie tej myśli.

*Bo jestem sierotą – pomyślała. Wychowaną w kościelnych przytułkach i przygotowaną od dziecka do zadań wywiadowczych. Przerzucana z planety na planetę, władającą kilkoma językami maszynką Watykanu do zadań specjalnych. Wielokrotnie ranna, pobita, po rekonstrukcji połowy twarzy. Nie waham się zabić, jeśli tego wymaga sytuacja. Wyposażona w urządzenia podnoszące poziom adrenaliny, abym mogła skuteczniej walczyć. Z kleszczem, który zabije mnie, jeśli to wszystko wypowiem. Mam dwadzieścia pięć lat. Chciałabym się z tobą pieprzyć, mój mechaniku o szarych oczach, bo mi się podobasz. Ale ci tego nie powiem. Bo kiepsko znoszę odrzucenie, nie lubię być odrzucana, a ty nie dałeś mi żadnego znaku.*

Ale nie powiedziała nic. Craftsheek również milczał. Val miała wrażenie, że jego oczy przewiercają ją na wylot, zaglądają pod powierzchnię, czytają jej myśli. Ale nie znalazła w nich tego, co pragnęła odnaleźć.

Wstała i skierowała się do sypialni.

– Pójdę spać – powiedziała.

Craftsheek został w tej samej pozycji i trwał tak w zamyśleniu, póki w środku nocy nie wrócił odrobinę podchmielony Keller.

– No i co? – przywitał go mechanik. – Był spacer? Kolacja przy świecach? Trzymaliście się za ręce? Był pocałunek na dobranoc?

Keller spojrzał na niego chłodno, po czym ciężko zwałił się na fotel.

– Przepraszam – powiedział cicho Craftsheek. – Martwię się o ciebie.

– To aż tak widać? Choć ty pewnie widzisz więcej...

– Znam cię lepiej niż ty sam.

– Głupie to wszystko... – powiedział Keller melancholijnie.

– Nie rozczulaj się. Co mamy?

Kapitan schował twarz w dłoniach i przetarł oczy.

– Mamy zaproszenie na przyjęcie, czy też bal, który odbędzie się pojutrze. Ja i Valerie. Jutro wyślemy nasz bachusowy towar pod wskazany adres. A jak wejdziemy, to będziemy musieli spróbować przebić się poziom wyżej, gdzie jest lepsza zabawa, dla lepszych ludzi, z większą ilością pieniędzy i koneksji. Wiem, że musisz wrócić na Truposza. Zatem jak już będziesz wracał, to przywieziesz kilka rzeczy.

– Szybko?

– Wróc jutro.

Craftsheek podniósł się.

– Zatem wyruszam w tej chwili.



Biskup Noti monitorował działania ojca Conti za pomocą raportów przekazywanych mu przez AI. Sztuczne inteligencje śledziły jego poczynania, oglądały to samo co on, podążały siecią kamer tam, gdzie tylko mogły podążać. Oczywiście Ettore Conti o tym wiedział.

Noti analizował raporty z ostatnich poczynań nowego podopiecznego bez większego zainteresowania. Lista osób, których dossier przeglądał w ostatnim czasie, była bardzo długa, co samo w sobie było niezwykłym osiągnięciem. Z uśmiechem przeczytał, że Conti sprawdzał nawet jego samego. Ojczulek najwyraźniej wziął sobie do serca to zadanie, postanowił się wykazać i chyba rzadko sypiał. To dobrze. Noti przeskoczył trochę dalej. Spis osób zaproszonych na jutrzejsze przyjęcie. Trzy pozycje przykuły najwyraźniej uwagę Contiego. Mężczyzna z Poltergeista, jakaś leciwa kobiecina z Germanii i para handlarzy z Remusa. Zaproszenia na bal wystawione... aha! Jedno, dla państwa Mookstein, wystawione przez Beatrix. Noti wyduł pogardliwie wargi. Sprawdził trop badany przez Contiego.

Ian Mookstein, urodzony, przybyły... nic ważnego. Wynik poszukiwań z kamer rozmieszczonych w Parku Papieskim... no proszę. Spacer pod rękę. Chichoty. Długi spacer. A potem powrót do pałacu, gdzie monitoring już nie sięga. Czyżby Beatrix miała nowego absztyfikanta? Znowu nietutejszy, trzeba go będzie zgłosić do szybkiego zniknięcia. Nie było tajemnicą, że wszystkie związki papieskiej córki były nietrwałe. Tajemnicą zaś było to, że Beatrix miała pozostać panną. Dziewicą nie, nie udało się dopilnować. Ale na pewno panną, bezdzietną. A jeśli przypadkiem udałoby się jej jednak wyjść za mąż w tajemnicy, to na drugi dzień – wdową. Nie mogło istnieć coś takiego jak papieski ród, choćby bękarci. Nie mogli Beatrix zlikwidować, ale też nie mogli pozwolić jej żyć zupełnie swobodnie. Kandydaci do jej ręki najczęściej szybko opuszczali Pontifex, oczarowani darem przekonywania, jaki posiadały służby specjalne. Zresztą, jacy kandydaci... nawet zwykłe przedłużające się znajomości były często ukrócone.

Noti obejrzał pobieżnie spacer Iana Mooksteina i Beatrix Koll, AI wyświetliło analizę trasy, Noti sprawdził, czy Conti zgłosił fakt załączków romansu w systemie. Nie zgłosił. Ale też nie wiedział, że powinien. Noti zrobił to osobiście. Przejrzał pozostałe dwa tropy – faceta o nazwisku Stoop i starszej pani o dziwnym długim nazwisku, którego nawet nie próbował wymówić. Poltergeist. Germania. Nie znalazł nic ciekawego. Przynajmniej nie kręcili z Beatrix – uśmiechnął się w myślach. Ze sobą też nie. Nie znali się.

Znalazł za to prośbę Contiego o umożliwienie mu wzięcia udziału w przyjęciu. Potwierdził. Ciekawe, co robił teraz? Na jego żądanie AI odnalazła ojca Conti i wyświetliła na ekranie. Conti spacerował po śladach Mooksteina, szedł wzdłuż papieskich grobowców. Czego szukał? Zresztą nieważne, przeczyta w następnym raporcie.



Rankiem Keller opowiedział jej o spotkaniu z Beatrix i zaproszeniu.

Val popatrzyła na niego z triumfem.

– Powiedz to w końcu. Tak, żebym dobrze słyszała.

– To był świetny pomysł poderwać córkę papieża, Valerie Joon – powiedział głośno i wyraźnie Keller.

– No!

Valerie zdziwiła się, że Craftsheek odleciał na Truposza, ale Keller uspokoił ją, że potrzebował jedynie pewnego rekwizytu. Nie kłamał.

– Wróci niebawem – powiedział. – Tymczasem ja naprawdę potrzebuję stroju, może być rzucający się w oczy. Najlepiej gdyby był to strój narodowy z Remusa.

– A co tam się nosi?

– No właśnie, nosi się togi. Takie długi szaty, w które bardziej się człowiek nawija niż w nie ubiera. Ale za cholere mi się to nie podoba. Będę się czuł goły. Poza tym.. – urwał z westchnieniem.

Valerie nie chciała dopytywać się co „poza tym”. Też musiała znaleźć coś gustownego. Właściwie podobał jej się fakt, że nie zabrali ubrań. Ale nie miała też ochoty na włóczenie się po sklepach w kolejny upalny dzień. Raz jej wystarczył. Wywołała na *videowallu* sklepy i wybrała kilka. Potem podała swoje wymiary, określiła preferencje i zaczęła szukać sukni dla siebie.

Keller obserwował ją, jak sugeruje AI niewielkie poprawki do stroju i ze zdumieniem stwierdził, że kobieta poradziła sobie w kwadrans. Jej zamówienie było w trakcie realizacji. A jego...

Zaczął od spodni. Dobrał coś szerokiego, w bordowym kolorze, na co Valerie popatrzyła podejrzliwie i pokręciła przecząco głową. Keller ją zignorował. Następnie znalazł coś w rodzaju długiej męskiej sukni z rękawami, o potwornej ilości guzików zaczynających się wysoko pod stojącym kołnierzykiem

i biegnących w dół do samego pasa. Była srebrzysta i Valerie zaczęła się zastanawiać, czy Keller przypadkiem nie zwariował. Potem wyszukał coś w rodzaju płaszcza, w podobnym do spodni kolorze. Płaszcz nie miał jednak rękawów. Potem zaczął wybierać buty i Val zakłęła szpetnie, gdy uświadomiła sobie, że ona o tym elemencie garderoby zapomniała, a teraz będzie musiała poczekać, aż Keller skończy się pindrzyć. Kapitan wybrał w końcu jakieś czarno-żółte wysokie botki, ze skóry zwierzęcia, o którym słyszała pierwszy raz w życiu. Kiedy skończył, minęło czterdzieści minut. Val pokazała mu zegarek, co Keller skwitował stwierdzeniem, że ma wyglądać porządnie, a nie jak nędzarz.

Gotowe stroje przybyły już po dwóch godzinach. Valerie złapała swoją suknię i od razu pobiegła ją przymierzyć. Keller obejrzał „siostrę” i musiał przyznać, że wyglądała bardzo dobrze. Czarna opięta suknia była mocno wydekoltowana z przodu, z tyłu zaś nie, co Keller pozwolił sobie skrytykować, że mając takie ciało, nie powinna go skąpić.

Valerie nie obraziła się za ten pokaz prostactwa, bo wiedziała, że kapitan jedynie drwi.

– Mam blizny na plecach – powiedziała spokojnie.

– Nie mogłaś ich usunąć? – zapytał Keller, marszcząc czoło.

– Nie było czasu.

Nic więcej nie powiedziała, a kapitan zrozumiał, że zanim trafiła jej się fucha z Pontifexem, Val musiała wcześniej wykonywać inne, bardziej nawet karkołomne zadanie.

– Nie przymierzysz swojego stroju? – zapytała Val, przerywając milczenie, które zapadło po jej ostatnich słowach.

– Nie. Poczekam na Craftsheeka.

– A co, nie poradzisz sobie z zakładaniem tego wszystkiego? – zaśmiała się krótko. I po chwili zachichotała ponownie, zdając sobie sprawę, że żart nie rozbawił Kellera.

Mechanik wrócił dopiero wieczorem. Val uświadomiła sobie, że wyglądał lepiej, uśmiechał się częściej i wprost tryskał energią. Dopiero wtedy zwróciła uwagę, że wcześniej Craftsheek był jakiś... oklapły. Jakby powoli tracił siły, które odzyskał wraz z powrotem na Truposza. Zapytała go o to.

– Naładowałem baterie – zaśmiał się w odpowiedzi.

Valerie również się uśmiechnęła, ale na myśl przyszło jej nagle, że może to prawda. Że naprawdę naładował baterie. Czy to możliwe, że Craftsheek był androidem? Przeraziło ją to. Sztuczna inteligencja osadzona w sztucznym korpusie. Mrugająca do niej. Rozmawiająca. Taka praktyka była zakazana w prawie wszystkich układach galaktyki.

Craftsheek powiedział coś, co przeraziło Val jeszcze bardziej.

– Nie jestem robotem – oznajmił bardzo poważnie. – I nie. Nie czytam w myślach. One po prostu odbiły się na twojej twarzy. Mimo że panujesz nad sobą bardzo dobrze.

Val poruszyła bezgłośnie ustami, zastanawiając się, co ma powiedzieć.

– Zrób test – podsunął złośliwie Keller. – Każ mu coś policzyć. Jakieś duże liczby. Ile wynosi pierwiastek ze... stu dziewięćdziesięciu tysięcy trzystu czterdziestu trzech?

Craftsheek zamyślił się.

– Nie wiem – odpowiedział po dwóch sekundach.

– Widzisz? Nie jest robotem.

Val zaśmiała się.

– Jesteście nienormalni. A ja chyba zmęczona... tym czekaniem. Aż coś się zdarzy. Przymierzysz w końcu ten swój strój? – zmieniła temat.

Keller westchnął, wziął pod pachę długą tubę i małe zawiniątko, które przywiózł ze statku Craftsheek, zabrał ubrania i poszedł do sypialni.

– Wstydzi się – wykipiała Val pruderię kapitana.

– To przez blizny na plecach – odrzekł mechanik.

Valerie przebiegł po plecach dreszcz. Dokładnie tych słów użyła wcześniej w rozmowie z Kellerem.

– Co? – spytał Craftsheek, widząc, że jego słowa wywarły na kobiecie dziwne wrażenie.

– Nic, nic – wycofała się. – Ile wynosi pierwiastek z...

– Ciągle nie wiem. Sypiasz ostatnio?

– Owszem – odparła. Zaraz dodała w myślach: *Szkoda, że sama.*

Keller wyszedł po paru minutach i Valerie zmieniła zdanie co do stroju kapitana. Wyglądał... dostojnie? Przez chwilę nie mogła znaleźć słów.

– Świetnie – wykrztusiła w końcu ze zdumieniem.

– To jest żupan – wyjaśnił, pokazując to, co wcześniej nazwała suknią. – Na to nałożyłem kontusz.

Val próbowała odnaleźć w głowie te słowa. Żupan. Kontusz. Brzmiały dziwnie znajomo, ale nie były to nazwy wzięte ze stanlangu. Dopiero teraz zobaczyła, że czerwony kontusz ma rękawy, długie i rozcięte, których wcześniej nie dostrzegła. Guziki żupana były zapięte i Val znowu się zdziwiła, że tak szybko się z tym uporał. Musiał mieć już kiedyś ten strój na sobie. Szeroki na dłoń, zdobiony pas opinał Kellera w talii, sprawiając, że nadawało to kapitanowi, który i tak był niezłe zbudowany, klepsydrowaty kształt. A przy boku miał...

– Czy to szabla? – zapytała Valerie.

– Nie szabla – wydał usta Keller. – To karabela!

Val nie słuchała, obchodząc kapitana wokół i oglądając haftowane ornamenty na stroju.

– Rety, to... to jest wspaniałe!

– Nędzna maszynowa podróbka – mruknął Craftsheek, ale oczy znów mu się śmiały.

Sięgnęła w końcu do wiszącej przy boku Kellera broni. Odpiął szablę razem z pochwą i podał kobiecie.



– Uważaj na palce – mruknął.

Val obejrzała uważnie głowicę przypominającą głowę jakiegoś ptaka ze spływającymi po grzbiecie rękojeści rzeźbionymi piórami i pięknie zdobiony jelec. Sama pochwa pokryta była w części złotem i w paru miejscach lśniło na czerwono kilka sterczących jak guzy szlachetnych kamieni.

Wysunęła ostrożnie zakrzywione ostrze, a Craftsheek i Keller cofnęli się odruchowo.

– Cudowna – mruknęła Val. – Aż od razu mam ochotę coś przeciąć. Skąd to masz?

– Kupiłem kiedyś na wyprzedaży – skłamał Keller. Val wiedziała, że nie mówi prawdy, ale postanowiła nie komentować.

– Czeka tu! – rzuciła krótko, oddała Kellerowi szablę, po czym pobiegła do swojej sypialni.

Wypadła chwilę później, usiłując dopiąć suwak na plecach, w czym ostatecznie pomógł jej Craftsheek. Stała obok Kellera.

Mechanik odszedł dwa kroki do tyłu i obejrzał ich dokładnie od góry do dołu.

– Nie wejdziecie niezauważeni – mruknął, kręcąc z podziwem głową.

– Dobra, nie czaruj – przerwał Keller, przypinając do boku karabelę, którą ciągle ścisnął w garści. – Zorganizowałeś transport naszego prezentu?

– Tak jest, towar wysłany na adres samego papy Pawła Konstantego.

– A co u załogi?

– Wszyscy się nudzą, kapitanie. Oprócz Mykey’ego. On sobie znalazł jakieś zajęcie i zniknął na całą godzinę.

– Chcę wiedzieć jakie?

Craftsheek wzruszył ramionami.

– Może się zakochał? – podsunęła Valerie.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią wymownie.

– Co dalej? – zapytała szybko, zapobiegając salwie śmiechu.

– Dalej? Jutro przyjęcie i zobaczymy, co ugramy. Zabiorę gwóźdź.

– Tak od razu?

– To może być nasza jedyna szansa. Nie musi, ale może. Więc po prostu musimy napierać.

– Tylko nie za mocno – skrzywiła się Val.

– Tylko nie za mocno – zgodził się z nią Keller.

Craftsheek nie pomylił się w ocenie wyglądu państwa Mookstein. Przy wejściu nikt ich nie anonsował, jedynie służba uprzejmie sprawdzała zaproszenia, ale ich pojawienie i tak wzbudziło spore zainteresowanie na sali. Zwłaszcza, że dla większego efektu nieznacznie się spóźnili, jednak wystarczająco, aby większość gości już przysła i mogła ich dokładnie obejrzeć przy drzwiach.

Był jeden mały problem – nikogo nie znali, a Beatrix najwyraźniej jeszcze się nie pojawiła. Na sali

było już kilkadziesiąt osób, zajętych głównie sobą. Valerie, która miała wcześniej obawy, że ich stroje, a zwłaszcza strój Kellera, będą mimo wszystko zbyt ekscentryczne, uspokoiła się, gdy dojrzała kilka pań ubranych... dość śmiało. A także egzotycznie. Dziwacznie. To samo dotyczyło panów.

Rodzeństwo Mookstein ruszyło pomiędzy ludzi, witając się, przedstawiając i wdając się w pogawędki o pontifexowych upałach, suszy i rosnących cenach. A także o zbliżającej się Wielkiej Niedzieli. I procesjach. Valerie miała ochotę puścić pawia, ale trzymała się dzielnie, uśmiechała grzecznie i zapytana odpowiadała, a nawet sama zadawała pytania.

Gdzieś między jedną a drugą taką pogawędką Val i Keller udali się do stołu z przekąskami, gdzie z daleka od pozostałych gości mogli się swobodnie naradzić.

– Czy my nie pomyliliśmy przyjęć? – spytała z przekąsem Val. – To ma być przyjęcie w Pałacu Papieskim?

– Miejsce się zgadza – westchnął Keller. – Może zaraz się zjawi.

– Kto? Papież? – zaryzykowała Val z kpina.

– Beatrix. – Keller wpakował do ust małą kanapeczkę i zaczął powoli żuć.

Valerie zatoczyła dyskretnie ręką wokół.

– Zobacz – powiedziała. – To jest przyjęcie kategorii „C”. Nawet nie „B”. Może jeszcze gorzej. Spójrz na tę salę – czy można nazwać przepychem tę całą stal i szkło? Gówniane żarcie? Tych ludzi? Weźmy na przykład tę babkę. – Posłała przechodzącej niedaleko kobiecie uprzejmy uśmiech. – Rozmawiałam z nią. To jakaś córeczka jakiegoś tam producenta jakichś tam kosmetyków. Takich, że mi dzwoni nawet coś w uszach, ale nie wali po łbie. Tamten facet, po drugiej stronie. Ten w czarnym stroju, przypominający inkwizytora. To sprzedawca układów AI. I znowu – nigdy o nim nie słyszałam. Wiesz co, Ianie Mookstein? Jesteśmy na przyjęciu pośledniego sortu. Beatrix nie pojawi się tu, choćby wszyscy nagle padli na twarz i się do niej pomodlili. Chodź. Zapytamy służących.

– O co? – wybełkotał zaskoczony tyradą Keller, ciągle żując kanapkę.

Ale Val nie słuchała, tylko ruszyła w stronę wyjścia. Keller wziął serwetkę, wypluł zawartość ust i położył na stoliku. Potem poszedł za kobietą.

Val zdążyła dopaść już jednego ze służących i właśnie próbowała go obezwładnić czarującym uśmiechem.

– Szukamy Beatrix Koll, która zaprosiła nas na przyjęcie. Czy może pan nam wskazać miejsce, gdzie możemy ją znaleźć?

W oczach służącego na krótką chwilę odmalowało się uprzejme zdziwienie, które natychmiast zostało przemienione w szczerą chęć niesienia pomocy.

– Naturalnie, proszę za mną.

Służący wyprowadził ich na zewnątrz i wskazał ręką na drugą stronę olbrzymiego podwórza, na

skrzydło po drugiej stronie.

– Pannę Koll odnajdziecie państwo w tamtej części pałacu. Czy mam państwa zaprowadzić i zaanonsować?

– Dziękujemy, poradzimy sobie – powiedziała Val wyniośle.

Keller widział, jak wszystko się w niej gotuje. W nim też się gotowało, ale lepiej się maskował.

Ujął Valerie pod łokieć i ruszył szeroką, żwirową alejką, która prowadziła obok położonej centralnie na podwórzu fontanny.

– Wiesz co, Keller?

– Wiem, nie te drzwi, nie to przyjęcie. Widać nasze zaproszenie ma wysoki status, nikt nawet nie zapytał, co wielcy państwo mają zamiar robić pośród plebsu.

– Mniej więcej. Straciliśmy przez ciebie czterdzieści minut. To będzie niezłe wejście. Upokarzające.

– Może nie – westchnął Keller.

– Mogę wiedzieć, o czym ty myślisz? Czyżby o pewnej córeczce...

– Zamknij się, Val.

– Dobra.

Podeszli do wejścia prawego skrzydła pałacu. Znowu służący, znowu zaproszenia. Tym razem jednak trafili dobrze.

Sala, do której ich zaprowadzono, była urządzona z większym przepychem niż poprzednia. Oczy przyciągały kamienne posągi i obrazy na ścianach przedstawiające w zdecydowanej większości katolickich świętych. W fazie męczenniczej najczęściej, jak stwierdził Keller. Ruszyli po marmurowej posadzce, na której odbijały się światła dwóch kryształowych żyrandoli. Gości było mniej, ale nadal był to spory tłumek. Sto, może więcej przybyłych. Ubranych równie ciekawie co na poprzedniej sali, ale bez nachalnej nagości. Mężczyźni często w garniturach dobrej marki, kilku żołnierzy w galowych strojach. Nieznajome twarze i... Beatrix.

Podeszła do nich rozpromieniona, jakby zrobili jej niebywałą przyjemność. Keller zdążył z daleka ocenić jej ciemnoczerwoną suknię, w odrobinę jaśniejszym odcieniu niż jego kontusz, i trochę tylko bardziej nieskromną niż suknia Val.

– Ian i Valerie Mookstein – powiedziała cicho, ale jednak na tyle głośno, żeby stojący nieopodal goście usłyszeli nazwiska. – Jesteście. Obawiałam się, że nie przyjdziecie.

– Zatrzymały nas... pewne sprawy... – Keller przybrał zboląłą minę.

– Mój brat chce powiedzieć, że trafiliśmy nie do tego skrzydła pałacu – wtrąciła się Valerie – przez niego.

Beatrix zrobiła zdziwioną minę, a potem przysłoniła usta, jakby chcąc ukryć rozbawienie.

– Ian, mówiłam ci przecież.

– Myślę, że on cię nie słuchał – znowu wtrąciła Valerie konfidencjonalnie. – On cię podziwiał.

– Ależ Valerie... – oburzyła się fałszywie Beatrix.

– Miłe panie, proszę... zanim się zaczerwienię.

– Chodźmy. – Beatrix zaprosiła ich gestem dalej, w głąb sali. – Przedstawię wam tatę.

Keller nie wiedział, czy się roześmiać, czy nie. Val parsknęła ubawiona. Nie było co udawać, że nie zna sytuacji Beatrix, a jeśli ona sama pozwalała z tego kpić, to Valerie nie miała nic przeciwko.

Papież Paweł Konstantyn II wyglądał najwyżej na sześćdziesiąt lat. Miał nijaką, gładką twarz, prawdopodobnie efekt zabiegów z dziedziny chirurgii kosmetycznej, i niemiłe spojrzenie, co z kolei było odbiciem cech charakteru. Odziany w białą sutannę i piuskę na głowie, był chyba najskromniej ubraną osobą na sali. Nie licząc krzyża na piersi, który był gruby, złoty i mienił się taką ilości kamieni szlachetnych, że każdy jubiler oddałby nerkę, by móc go dotknąć i obejrzeć pod lupą.

– Ojciec święty – powiedziała Beatrix. Keller przysiągłby, że pomiędzy tymi dwoma słowami usłyszał odrobinę za długą pauzę.

– Ian i Valerie Mookstein – przedstawiła ich.

Keller ukłonił się nieznacznie, zaś Val dygnęła zgrabnie.

Papież wyciągnął do nich dłoń z niewiarygodnie grubym sygnetem. Valerie zdrętwiała na ten widok, nie wiedząc, co robi Keller, bo wyglądał, jakby właśnie rozważał, czy ma podsunąć pod nos pierścień wypolerować. Prawie trafiła, bo Kellerowi przemknęła przez głowę myśl, że po śmierci papieża jego kamerling, który ma obowiązek złamać pierścień rybaka, najpewniej nie zdoła tego dokonać obcęgami. Może przetnie laserem.

W końcu się pochylił i złożył na sygnecie krótki pocałunek. Wydawało mu się, że czuje na ustach smak laku używanego do pieczętowania korespondencji, i miał nadzieję, że to tylko złudzenie.

Dla odmiany Val, całując pierścień, miała wrażenie, że całuje w usta Kellera i prawie się skrzywiła.

– Witajcie na Obchodach Czwartego Millenium – powiedział papież i nakreślił nad ich głowami znak krzyża. Oboje się przeżegnali.

Papież stracił zainteresowanie ich osobami, a Beatrix pociągnęła ich dalej.

Poznawała państwa Mookstein z coraz większą ilością ludzi, i w końcu Keller dyskretnie dał jej do zrozumienia, że jeśli nie narusza to szczególnie etykiety tego spotkania, wolałby na chwilę gdzieś się zatrzymać i porozmawiać, a nie próbować zapamiętywać twarzy, o których wiedział, że już je zapomniał.

Zatrzymali się więc i dalej już Beatrix tylko wymieniła kilka ważniejszych osób na sali:

Żujący gumę Paul Rooks – premier Pontifexa. Ciemnoskóry Makawase – przywódca Nowego Afrykańskiego Snu. Thebault – tego akurat znał z wiadomości – szef Unii. Skośnooki Cheng – wysłannik regenta Nowego Państwa Środka. Noskow – generał Caratu, prawa ręka cara Iwana Młodego.

Keller przestał słuchać. Obserwował wszystkie te osoby i stojących w ich pobliżu ich adiutantów,

sekretarzy, lizusów. A patrząc w jedną z tych twarzy miał ochotę... miał taką straszną ochotę...

– Co się stało, Ian? – zapytała Valerie. – Źle wyglądasz.

– Zakręciło mi się w głowie – odpowiedział, nie mogąc znaleźć lepszej wymówki.

– Przyniosę wodę – powiedziała Beatrix, ale Keller powstrzymał ją, kładąc rękę na jej ramieniu.

– Nie trzeba. To te ostatnie upały. Proponuję jakiegoś drinka.

– No nie wiem...

Ale gestem przywołała służącego roznoszącego na tacy alkohol w długich smukłych kieliszkach.

Val przyglądała się Kellerowi z ukosa.

– Zostawmy go na chwilę, niech ochłonie – rzuciła w końcu do Beatrix. – Przedstaw mnie komuś...

ciekawemu.

– Szukasz dobrej partii, siostrzyczko? – zapytał Keller.

– Chodźmy. – Valerie pociągnęła w odpowiedzi Beatrix za rękę. – Zanim ten grubianin do końca zepsuje mi wieczór.

Keller został sam, ale nie trwało to długo.

– Ma pan piękną siostrę – usłyszał za plecami.

Odwrócił się. Stał za nim mężczyzna ubrany w długą czarną sutannę, najwyraźniej ksiądz. Keller popatrzył na niego niewzruszenie.

– Ettore Conti – przedstawił się.

– Ian...

– Mookstein, wiem. Dużo wiem o panu.

– Zatem... – zawahał się Keller – jest pan przedstawicielem tutejszych służb wywiadowczych, jak mniemam?

– Potrafi pan znakomicie mniemać, panie Mookstein. Czy będę bardzo niedyskretny, jeśli zapytam, jaki jest cel pana wizyty na Pontifexie?

– Będzie pan – westchnął Keller. – Obawiam się jednak, że będzie pan wiercił mi dziurę w brzuchu, póki nie powiem. Przyznaję, choć to również jedynie domniemywania, że jeśli odmówię, to postara się pan, aby tę metaforę, jakby to powiedzieć... urzeczywistnić.

– Poruszające, jak złe zdanie ma pan o wywiadzie Pontifexa.

– Jestem handlarzem – uśmiechnął się Keller. – Byłem na wielu planetach. Proszę mi wierzyć, każda ma coś niepowtarzalnego, coś... odróżniającego ją od innych. Zapach. Niebo. Zachód słońca. Rośliny, lokalna fauna. Ale wszystkie, naprawdę wszystkie mają jedną wspólną cechę: ich służby są takie same.

– Tak więc, panie Mookstein?

– Obchody. Przyleciałem na Obchody Czwartego Millenium.

– I?

– I złapać parę kontaktów, może da się tu jakoś zarobić.

– I?

– Nie wystarczy panu? – Keller wyglądał na oburzonego.

Zrobił nagle minę, jakby wpadł na doskonały pomysł, ale nie wiedział, czy wypowiedzieć go na głos.

– Ale może miałbym też coś na sprzedaż? Tylko widzi pan, panie Conetti...

– Conti.

– Panie Conti... nie wiem, czy jest pan wystarczająco, no... hm... wysoko w hierarchii, żeby z panem rozmawiać na takie tematy.

Ojciec Ettore sprawiał wrażenie zamyślnego.

– Myślę, że mogę zaaranżować spotkanie, które przyniesie nam obu pewną wymierną, mam nadzieję, korzyść.

– To będzie już zależało od pańskich mocodawców.

Conti popatrzył na niego beznamiętnie.

– Obawiam się, że wąż w kieszeni moich mocodawców jest na to zbyt płochliwy.

Keller uśmiechnął się i Conti również się wyszczerzył. Jego garbaty nos zmarszczył się, nadając mu zniechęcający, odrobinę odstraszący wygląd.

– W takim razie przedstawię panu kogoś, z kim może pan swobodnie porozmawiać – dodał ksiądz. –

Dziesięć procent?

– Jeden – powiedział Keller, poważniejąc. – Jeden, ale za to taki, że spadnie ci sutanna, ojcie.

Conti uśmiechnął się szerzej.

– Mam jeszcze taką prośbę, panie Mookstein. Pałac papieski otrzymał przesyłkę. To kolekcja win z Bachusa, bardzo cenna. Niestety, nadawca zapomniał dołączyć klucz, a jak pan wie, próba otwarcia takich kolekcji bez klucza kończy się tragicznie dla win.

– To bardzo możliwe – odpowiedział Keller, sięgając do kieszeni i wyciągając po chwili tę samą rękę w stronę ojca Conti.

Ten uściskał ją i potrząsnął lekko, jakby się żegnali. Ich spojrzenia spotkały się.

Conti odwrócił się.

– Proszę poczekać, panie Mookstein – rzucił przez ramię. – Niebawem wrócę.

– Ależ nigdzie się nie wybieram.

Obserwował ojca Conti zimnym wzrokiem, kiedy ten zagłębiał się w tłum, i po chwili stracił go z oczu.

– Kto to był? – zapytała Valerie, pojawiając się z drugiej strony.

– Ksiądz.

– Czego chciał?

– Wyspowiadać mnie.

– Ian... – Tuż za Val podeszła Beatrix. Słyszała chyba tę krótką rozmowę, bo próbowała odszukać wzrokiem mężczyznę w czarnej sutannie, ale nie udało jej się. – Kto to był?

Keller odprężył się.

– Jakiś tutejszy ksiądz, który miał do mnie olbrzymiej wagi sprawę. Strasznie irytujący typ.

– Jak oni wszyscy.

– Beatrix, moja droga, każdy z nas tak ma. Ostatnio, podczas naszego spaceru, opowiadałaś o jakimś okropnym carackim prostaku, który jest dla ciebie nieuprzejmy.

– To ten stojący tam. – Wskazała nieznacznym skinieniem głowy w stronę carackiej delegacji. – Jeden z tych smutasów, ten z wąsikami. Jakiś przyboczny Noskowa.

Keller obejrzał mężczyznę, od czarnych półbutów, przez spodnie z lampasami i galowy mundur obwieszony orderami, aż po szczeciniasty wąs, szeroko rozstawione oczy i blond czuprynę.

I postanowił go dobrze zapamiętać.

Beatrix pociągnęła ich w inne miejsce sali, gdzie z kieliszkami w rękach stało dwóch mężczyzn, prowadząc ożywioną rozmowę. Zostali sobie przedstawieni, Valerie nawet włączyła się w ich konwersację, za to Keller wydawał się być nieobecny.

Beatrix w końcu złapała go pod ramię i pokierowała nim tak, żeby znaleźli się sami.

– Co się dzieje, Ian? – spytała. – Jesteś jakiś nieswój. Gdzie ten próbujący mnie oczarować swoimi słowami mężczyzna?

Przez ułamek sekundy Keller chciał się przyznać. Że wykorzystał ją jedynie do tego, żeby dostać się w pobliże oficjeli. Że przybył tu zwrócić ich uwagę. Że właściwie powód, dla którego tu jest, stoi tam, kawałek dalej, otoczony przez swoich sługusów. Ale natychmiast stłumił te myśli, zamknął szczelnie w głowie, zapieczętował. Może później. Może będzie inna okazja.

Zanim udzielił Beatrix odpowiedzi, która miała być zabawna i rozpraszająca wszystkie niepokoje kobiety, zbliżył się do nich odziany w purpurę wysoki mężczyzna, kardynał, jak przypuszczał Keller. Przewyższał Kellera o pół głowy, ale nie był szczupły, raczej tęgi. Na pierwszy rzut oka jego puciołowata twarz przywodziła na myśl dobrotliwego wujaszka, lecz jego spojrzenie było chłodne, badawcze. Kellerowi nie spodobał się ten wzrok.

– Kardynał Pierre Ramier – przedstawiła go Beatrix, a on odwdzieczył jej się uśmiechem. Jego słowa były jednak zaprzeczeniem tego uśmiechu.

– Witaj, Beatrix. Potrafię się sam przedstawiać – rzucił uszczypliwym, zaczepnym tonem, aż kobieta przygryzła wargi.

Keller oczywiście z miejsca znieubił Ramiera, ale zachował swoje uczucia dla siebie. Jeśli wysocy dostojnicy traktowali tak niemiło papieską córkę, to jak traktowali ją inni? Przełknął cisnącą się na usta złośliwą ripostę.

– Ian Mookstein – przedstawił się.

– Przekazano mi, że chce pan ze mną porozmawiać – oświadczył kardynał, nachylając się do Kellera, ale mówiąc na tyle głośno, by Beatrix usłyszała. Dał jej dodatkowo znak, aby pozostawiła ich samych. Na twarzy Beatrix zapłonął rumieniec. Keller domyślił się, o czym myśli kobieta. Nieznany nikomu człowiek, którego zaprosiła na przyjęcie, nagle okazuje się mieć jakiś interes z szycią służb Pontifexa. Keller wiedział, kim jest kardynał. Czytał o nim.

Chciał przeprosić Beatrix i dać jakoś do zrozumienia, że... że właściwie co? Wszystko było jasne. Musiał porozmawiać z Ramierem, którego na pewno przysłał Conti, przecież nie będzie udawał, że nie ma interesu. Zresztą nie miał wyjścia. Więc nie powiedział nic, posłał tylko kobiecie przepaszające spojrzenie, które zignorowała. Beatrix odwróciła się i odeszła.

– Więc, panie Mookstein? Ma pan coś na sprzedaż? Dlaczego nie skontaktował się pan z kancelarią papieską? Nie złożył oferty? Cóż tak cennego pan posiada, że wpycha pan nos w moje drzwi tak mocno, że deski skrzypią?

– Może powinniśmy porozmawiać gdzieś na osobności?

Ramier popatrzył na Kellera, pokiwał głową na boki i nagle podjął decyzję.

– Proszę za mną.

Kardynał skierował się w stronę znajdujących się niedaleko drzwi, pilnowanych przez strażników. Ci rozstąpili się usłużnie. Dostojnik powiódł Kellera przez długi, kręty korytarz i mniej więcej w połowie jego długości wszedł do jednego z przyległych pokoiów.

Pomieszczenie wyglądało bardziej na salę przesłuchań niż na urzędniczy gabinet. Za całe wyposażenie robiły trzy krzesła i wąski stolik.

Ramier usiadł i wskazał krzesło Kellerowi.

– Zatem?

Keller próbował się wygodnie oprzeć, ale krzesło najwyraźniej nie zostało zaprojektowane, aby zapewniać siedzącemu komfort.

– Mam do sprzedania pewną relikwię.

Ramier parsknął.

– Panie Mookstein, czy wie pan...

– ...ile podobnych ofert otrzymujecie? – wtrącił mu się w słowo Keller. – Nie wiem. Ale zgaduję, że wiele. Zapewniam, że moja jest prawdziwa.

– Każdy zapewnia. A kiedy dochodzi co do czego... – Kardynał pstryknął palcami. – Niczego nie ma.

Keller sięgnął do przepastnej kieszeni kontusza i wyciągnął małe pudełko. Postawił je na stole przed Ramierem i popchnął delikatnie w jego stronę.

Kardynał spojrzał najpierw na pudełko, potem na Kellera i znowu na pudełko.



W końcu nachylił się nad stołem.

– Trzeci Gwóźdź – mruknął pod nosem. Wziął w końcu pudełko i obejrzał z bliska. W końcu jego twarz wyraziła rozczarowanie. Przesunął pudełko z relikwią z powrotem do Kellera.

– Widzi pan, panie Mookstein, jest tylko jeden mały problem. Oryginał Trzeciego Gwoździa znajduje się w posiadaniu Watykańczyków. Jest pilnie strzeżony.

– A według mnie w Nowym Watykanie znajduje się świetnie wykonana kopia. Co może kiedyś wyjdzie na jaw, ale póki co w posiadaniu oryginału jestem ja.

– Czy pan...?

– Nie. Ja tylko kupuję i sprzedaję. Kradzieży przecież zabrania dekalog. – Keller uśmiechnął się sztucznie.

– Pan wie, że mógłbym teraz wyjść razem z tym gwoździem i pańską głową na tacy?

– Wiem, wasza eminencjo.

– Rozumiem, że się pan stosownie zabezpieczył?

Keller westchnął ze znużeniem.

– Ojczy Ramier. To naprawdę nie jest moja pierwsza robota – skłamał gładko. – Czy myśli pan, że wszedłbym tu, zdjąłbym spodnie i pozwolił się wychłostać, gdybym nie miał zabezpieczenia? Bądźmy poważni. Jestem profesjonalistą i jestem poważny, a pan, eminencjo?

Ramier znowu sięgnął po pudełko.

– Ile?

– Czterdzieści milionów.

– Czego? Czerwonych? Unijnych dolarów?

– Standardów.

Standard był ogólną jednostką monetarną dla wszystkich układów zamieszkałych przez rasę ludzką. Wynosił w przybliżeniu pięć czerwonych, które były środkiem płatniczym Pontifexa. Nic dziwnego, że Ramier poczerwieniał, gdy usłyszał astronomiczną sumę.

– Będziecie mieć całą kolekcję. Wszystkie trzy gwoździe. Któregoś razu zagracie Watykańczykom na nosie – kusił Keller swobodnym tonem.

Kardynał Ramier uniósł rękę, przerywając ten słowotok. Zastanawiał się.

– Kwotę będę musiał przedyskutować z moimi przełożonymi. To po pierwsze. Po drugie: będziemy musieli wykonać ekspertyzę.

– Ile czasu to zajmie?

– Około trzech dni.

– W takim razie proszę zatrzymać gwóźdź i gdy już potwierdzicie jego oryginalność, proszę o kontakt.

– Zostawi go pan tak po prostu? – Ramier był zaskoczony. Wyglądało na to, że najwyraźniej nikt nie

zadziwił go tak już od bardzo dawna.

– Ufam waszej eminencji – uśmiechnął się Keller. – Ufam też moim mocodawcom, którzy zasugerowali, aby w sytuacji wątpliwej przekazać, że lepiej mieć trzy gwoździe niż żadnego.

To był gruby blef. Ale Keller liczył, że sam fakt pozostawienia relikwii w rękach kardynała spowoduje, że kłamstwo stanie się wiarygodne.

Nie był do końca przekonany, czy to chwyci. Ale trzymał właśnie nogę w drzwiach. Teraz albo go wpuszczą, albo mu ją utną.

Kardynał Ramier nie wyglądał jakby się przejął słabo zawołowaną groźbą. Schował pudełko do szuflady biurka i podniósł się z fotela, a Keller zrozumiał, że ich spotkanie dobiega końca.

– Trzy dni, panie Mookstein. Odprowadzę pana.

Za drzwiami, w korytarzu, oparty o ścianę czekał ojciec Ettore Conti. Ramier polecił mu odprowadzić gościa z powrotem na salę, co ten bezzwłocznie uczynił. Natychmiast potem powrócił do gabinetu Ramiera i zameldował się.

– Od tej pory nie podlegasz biskupowi Noti, mój chłopcze, tylko bezpośrednio mnie – oznajmił kardynał. – Myślisz, że ten człowiek był zamieszany w twoje porwanie?

– Nie wiem, Wasza Eminencjo. – Conti powstrzymał odruch wzruszenia ramionami. – Może on, może ludzie, z którymi współpracuje.

– Obserwuj go dalej. Ale też szukaj dalej. Może to jednak nie oni, może to tylko przypadek. Albo zasłona dymna.

– Tak jest, Eminencjo.

Conti schylił pokornie głowę aby ukryć uśmiech.



Keller szukał Beatrix, ale nie mógł jej nigdzie odnaleźć. Odszukał zatem Valerie. Dał jej dyskretnie znać, aby przerwała rozmowę, którą prowadziła z przystojnym młodzieńcem. Chwilę później Val przeprosiła rozmówcę z czarującym uśmiechem i podeszła do „brata”.

– Co jest?

Szeptem Keller zdał jej relację z rozmowy z kardynałem. Val, słuchając tego wszystkiego, nagle zaczęła mieć poważne wątpliwości. W jaki sposób to miało im pomóc w zrealizowaniu planu głównego? Zanim wyraziła te obawy, Keller odszedł w stronę Beatrix, którą dostrzegł w tłumie.

– Cholera, Keller, co ty kombinujesz? – mruknęła Val.

A Keller przeproszał Beatrix. Albo może próbował przeprosić, bo Beatrix najwyraźniej nie chciała z nim rozmawiać.

– Beatrix – wyszeptał w końcu. – Chodźmy się przejść. Wyjaśnię wszystko.

Beatrix przybrała zaciętą minę, ale w końcu skinęła głową i ruszyła do wyjścia. Keller podążył za nią. Val machnęła na to ręką. Kłótnia kochanków? Czyli Keller jednak naprawdę się zadurzył. Czy on panował nad całą tą sytuacją, czy sytuacja właśnie przejmowała panowanie nad nim?

Beatrix okrążyła pałac i skierowała się w stronę bramy Parku Papieskiego. Zatrzymała się przy niej i obejrzała na Kellera.

Ten podszedł do niej powoli i zatrzymał się niedaleko.

– Bea – westchnął, nie wiedząc jak zacząć. – Posłuchaj.

– Przecież słucham.

Przez chwilę wzrok Kellera prześlizgnął się po długiej kamiennej tablicy, na której wypisane były nazwiska i daty. Nagłówek tablicy głosił:

## SUMMI PONTIFICES

### IN HOC HORTO SEPULTI

– „Papieże pochowani w tym ogrodzie” – przetłumaczył Keller. Podobna tablica wisiała swego czasu w Bazylice świętego Piotra w Watykanie, na Ziemi. Na tej znajdowało się o wiele więcej nazwisk. Kellerowi przyszło do głowy pytanie, czy Nowy Watykan, ten na Polonusie, ma swoją tablicę, ze swoimi własnymi papieżami.

– Nie wiem jak zacząć...

– Widzę. Spróbuj od początku.

Keller wziął głębszy oddech.

– Tak. Wykorzystaliśmy cię. Potrzebowaliśmy skontaktować się z kimś wysoko postawionym, celem dobicia pewnego targu – wyrzucił z siebie jednym tchem, jakby bał się, że Beatrix mu przerwie.

Ale ona stała nieruchomo, milcząca. Keller wiedział, że ją zranił, a dziewczyna przecież już miała ciężko przez jej upokarzająco-dziwaczny status społeczny.

– Nie zmienia to faktu, że...

– Tak?

– Posłuchaj, dawno nie rozmawiałem z nikim o swoich uczuciach...

– Ja też... – wtrąciła uszczypliwie Beatrix.

– ...chyba już ponad dziesięć lat.

– Ian, proszę cię...

– Bea... nie wiem jak zacząć. Podobasz mi się. Lubię cię. Te słowa brzmią dziwnie... gdzieś w tym wszystkim jesteśmy podobni. Oboje jesteśmy wyrzutkami.

– Taki handlarz jak ty? Wyrzutek? A może ty nie jesteś handlarzem, co? Może to dobre pytanie, Ianie Mookstein. Kim jesteś?

– Wszystko ci niebawem opowiem, dobrze?

Beatrix długo na niego patrzyła. W końcu rozluźniła się.

– Masz jeszcze jedną szansę, Ian. Jedną. Bo nie powiem, że nic do ciebie nie czuję. Ale za dużo wokół mnie jest niegodziwości, za dużo krzywd doznałam, żeby kolejną otrzymać od ciebie.

Keller odetchnął z ulgą, nawet nie zwrócił uwagi, że wstrzymał powietrze.

– Czy w takim razie... zechcesz wrócić ze mną na przyjęcie?

– Zechcę – oznajmiła, mrużąc oczy.

Nadstawił ramię, a ona ostrożnie położyła na nim swoją dłoń.

Kiedy wracali do sali, Keller, któremu już dużo wcześniej zaświtał pewien plan, próbował się

przekonać, że nie powinien go realizować. Że powinien odpuścić. Ale mimo wszystko to, co czuł, zagłuszało zdrowy rozsądek. Beatrix Koll nie dawała się zagłuszyć i stąd przeżywał pewne rozterki. *Ostatni raz* – powiedział do siebie w myślach. – *Ostatni raz cię wykorzystam, bo są inne rzeczy niż uczucia, o których nie opowiadałem przez wiele lat. A mam tylko tę szansę.*

Na sali przywitało ich kilka osób. Pogardliwe kiwnięcie głową Ettore Contiego. Uśmiech Ramiera. Zignorował pytające spojrzenie Val. Wraz z nieświadomą niczego Beatrix skierował się w stronę delegacji Caratu.

Stał tam generał Noskow. Zwany czasem „Żelazną ręką” ze względu na cybernetyczną protezę przedramienia, której nie chciał zamienić na bioniczny ekwiwalent. A także ze względu na swoją bezwzględność. Stał otoczony swoimi gwardzistami, adiutantami i pucybutami, błyszcząc pomiędzy nimi, w ciemnych okularach, w swoim galowym mundurze ciężkim od odznaczeń.

Keller poprawił szablę przy pasie Kiedy się zbliżyli, zastąpiono im drogę. Beatrix zapytała o coś głośno, ktoś jej odpowiedział i odwrócił się do generała. Ten uśmiechnął się samym kącikiem ust i skinął lekko głową.

Podeszli do Noskowa.

– Generał Noskow – przedstawiła Beatrix. – Ian Mookstein.

Keller już prawie dobył szabli. Prawie, bo zauważył wystający spod kołnierza generała i przykrywający mu szyję pancerz kinetyczny. Zaklął w myślach. Nie dałby rady. Pancerza nie przebije byle szabla, nie przebije go strzał z impulsera, może dopiero laser średniej mocy. I tyle. Otrząsnął się.

– Witam, generale!

– Słucham panie Mookstein? – zapytał Noskow dziwnym, zmęczonym i jakby mechanicznym głosem.

– Jestem handlarzem z Remusa, moja rodzina ma długoletnie tradycje...

– Do rzeczy, panie Mookstein – powiedział Noskow.

– Chciałem się dowiedzieć, czy Carat byłby zainteresowany nawiązaniem...

– Nie byłby. Żegnam, panie Mookstein.

Keller zamilkł. Z prawej strony zbliżał się jeden z członków świty generała, wąsaty fircyk w spodniach z lampasami. Ten sam, o którym Beatrix mówiła, że ją obrażał. W rękę ścisnął kieliszek.

– W takim razie i ja żegnam – uśmiechnął się smutno Keller. – Chodźmy, Beatrix.

Obrócił dziewczynę w ten sposób, że nadchodzący mężczyzna nie mógł ich ominąć i wpadł z impetem na Beatrix, oblewając ją winem.

– Jak pan śmie! – wrzasnął Keller. – Ślepiec!

– Najmocniej przepraszam – kajał się mężczyzna, jednak jego twarz zmieniła się, kiedy zrozumiał, kogo oblał. Nie mógł powstrzymać złośliwego uśmiechu, który wypełził na jego twarz.

– Cham! – warknął Keller na ten widok. – Żądam satysfakcji!

Dobrze wiedział co robi. Pojedyunki, choć dawno zakazane, nadal były praktykowane wśród elity Caratu jako skuteczny środek rozstrzygający o racji.

Keller rozejrzał się rozsierdzony. Uwaga wszystkich gości skupiła się na nich, przez salę przetoczył się pomruk zaciekawienia. Z jednej strony zbliżała się do nich miękkim krokiem drapieżnika Valerie, z drugiej, władczo i pewnie, nachodził papież Paweł Konstanty II.

Mężczyzna z wąsikami wypiął dumnie pierś.

– Wyzywa mnie pan na pojedynek?

– Tak jest! – warknął Keller. – Tu i teraz.

– Pax! Pax! – rzekł głośno papież, podchodząc bliżej. – To dom boży. To boża planeta. Nikt tu nie będzie się pojedynkował. Panie Mookstein, panie Fidorow, co się stało? Nawołuję o rozsądek!

– Ten prostak – Keller wskazał palcem na Fidorowa – obraził Beatrix. A także oblał ją winem i nie przeprosił.

Papież wzniósł oczy w górę. Oczywiście nie w smak mu było zamieszanie związane z osobą jego córki.

Wywołany Fidorow spojrzał na swojego generała, a ten powoli skinął głową.

– W takim razie, panie Mookstein, proponuję rozstrzygnąć to jutro. Ale aby spełnić prośbę Ojca Świętego i nie dopuścić do rozlewu krwi na Pontifexie, proponuję udać się na Cwiet, najbliższą nam planetę Caratu, gdzie stoczymy pojedynek.

– Jaka broń? – zapytał dumnie Keller.

Fidorow popatrzył pogardliwie na przeciwnika.

– Ta, którą macie przy sobie – rozległ się pozbawiony emocji głos Noskowa. – Myślę, że tak będzie sprawiedliwie.

Keller przyjrzał się Fidorowowi i dostrzegł, że ten przy pasie, w kaburze, miał impulser. A on paradną karabelę. *Faktycznie, sprawiedliwość Caratu jest wielka* – pomyślał.

– Zgadzam się – powiedział. – Proszę przysłać mi koordynaty. Spotkamy się jutro na Cwecie.

Odwrócił się dumnie i spotkał pełen współczucia i niesmaku wzrok papieża. Keller skinął do niego głową, a ojciec Beatrix w odpowiedzi pobłogosławił go znakiem krzyża.

– Wybacz, Ojcze, że zakłócono spokój tego domu – powiedział Keller, pochylając głowę. – Dziękuję za gościnę.

Papież przymknął oczy, akceptując to wyjaśnienie, a Keller skierował się do wyjścia. U jego boku dreptała zaskoczona Val. Beatrix nie było.

Wezwany jumper zjawił się prawie natychmiast i rodzeństwo Mookstein weszło do środka.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – warknęła Valerie i uderzyła Kellera w ramię. – Odpowiedz mi!

– Później.

– Ian...

W hotelu Keller również nie przejawiał chęci do dyskusji. Przynajmniej nie z Val. Złapał Craftsheeka i zaciągnął go do swojego pokoju, i tam długo rozmawiali, a Valerie trafiał szlag.

Kiedy wyszli, Keller rzucił tylko:

– Zbieramy się na statek.

– Craftsheek? – zapytała z nadzieją Val. – Co się dzieje?

– Nasz kapitan wdał się w jakiś zatarg z jednym z wojskowych z delegacji Caratu. Jutro na jednej z ich planet ma się odbyć pojedynek. I tyle.

– Niech was jasna cholera! – krzyknęła Val. – Przecież...

Craftsheek uniósł dłoń i szepnął do niej:

– Porozmawiamy na statku.



Załoga przywitała ich z radością, ale zmarkotnieli od razu, kiedy Keller bez żadnych wyjaśnień zamknął się w swojej kabynie.

Craftsheek uspokoił wszystkich, że rzeczy idą pomyślnie, po czym złapał Val za łokieć i zaciągnął do swojej kajuty.

Zajęła wskazany fotel i rozejrzała się z ciekawością. Kajuta, którą otrzymała ona sama, była wyposażona w stopniu minimalnym – żadnych ozdób, ot, elastyczna pianka na podłodze, łóżko i szafka z szarego plastiku oraz panel świetlny na suficie. Pusta i zimna tak bardzo, że nawet mnisi nie daliby rady w niej wytrzymać.

Ale kajuta Craftsheeka – to zupełnie co innego. Przede wszystkim była trzykrotnie większa od jej klitki. Ściany były wyłożone pionowymi listwami w kolorze ciepłego brązu. Kiedy ich dotknęła, stwierdziła ze zdumieniem, że to prawdziwe drewno. W ogóle większość wyposażenia była drewniana. Poręcze jej fotela. Masywne łóżko pod drugą ścianą. Rama obrazu wiszącego nad nim, przedstawiającego jakąś batalistyczną scenę. Regał, na którym dostrzegła kilka prawdziwych książek. Ciemne biurko, na którym stało pudełko na czterech fantazyjnie wykręconych nogach. Obejrzała leżący przy nim gruby notatnik. Wydawał się być oprawiony w prawdziwą skórę... Obok stało coś, co wyglądało na niską buteleczkę z granatowym płynem, przy niej leżało czarne pióro jakiegoś ptaka. Spod sufitu zwisał żyrandol o trzech rozłożystych ramionach. Na ścianie kinkiet o szklanych kloszach. Jej uwagę przykuła niska okrągła komódka z czterema szufladami, na której pyszniło się coś, co w pierwszej chwili wzięła za bliżej nieokreślone trofeum sportowe. Połączane, z mnóstwem odstających elementów, kształtem przypominało starożytną amforę albo jakiś puchar.

– Możesz zdjąć buty. – Val spojrzała pod nogi, słysząc Craftsheeka.



Podłogę pokrywał dywan w czerwono-czarne wzory. W życiu nie widziała czegoś takiego. Val miała znajomego, który kiedyś w domu położył wykładzinę, ale po pierwsze uważany był za dziwaka, a po drugie: szybko się znudził czyszczeniem. Zdjęła buty i położyła stopy na dywanie. Co za dziwne uczucie... Palce zatoneły delikatnie w nitkach dywanu, przejechała stopami w lewo, w prawo... prawie się zaczerwieniła, kiedy napotkała spojrzenie Craftsheeka. Mężczyzna uśmiechnął się i rozparł wygodnie w drugim fotelu.

– Co to jest? – Val wskazała dziwny puchar, który tak ją zaintrygował.

– To samowar – odpowiedział. Widząc jej zdumiony wzrok, dodał: – Do robienia herbaty. Według mnie jedyna rzecz, która dobrze wyszła Rosjanom.

– Komu?

– Caratom.

Craftsheek podniósł się i zaczął gmerać przy urządzeniu. Gdzieś coś wsypał, w inne miejsce wlał wodę z butelki, wyciągnął torbę, wrzucił jakieś liście. Val obserwowała go zafascynowana. Mężczyzna na koniec coś pstryknął i usiadł w fotelu.

– Jest elektryczny – powiedział pełnym usprawiedliwienia tonem. – Musiałem go przerobić

Val w ogóle to nie przeszkadzało. Nic jej właściwie nie przeszkadzało, musiała się skupić, żeby jej stopy przestały błędzić samopas po puszystym dywanie.

– Dlaczego Keller dał się wyzwąć na pojedynek temu... Fidorowowi? – zadała pytanie, które dręczyło ją od dłuższego czasu. – Co chciał przez to osiągnąć?

Craftsheek znowu posłał jej uśmiech, jednak tym razem w jego oczach paliła się odrobina drwiny.

– Keller? Dał się wyzwąć? Ależ on zaaranżował całą tę sytuację właśnie po to.

– Zrobił to specjalnie?

– Oczywiście. – Craftsheek wyjął z regału dwie szklanki w koszyczkach i podsunął je w pobliże samowaru.

Val skrzywiła się.

– Nie podoba mi się to. Mamy zadanie do wykonania i cały ten bałagan sprawia, że wszystko może się rypnąć.

– Nie, nie – zaprzeczył Craftsheek z uśmiechem. – To ty masz zadanie. My mamy dwa zadania.

Spojrzała na niego zaskoczona. Po chwili zmrużyła oczy, schyliła się i wciągnęła z powrotem buty. Nie podobała jej się ta rozmowa.

– Złośćisz się – oznajmił beznamiętnie.

– Gdy powiesz mi więcej, to przestanę się złościć – rzuciła.

Samowar zbulgotał.

– I faktycznie powinienem.

Val postanowiła wyjść. Chciała wstać, ale Craftsheek uspokoił ją ruchem ręki.

– Siedz. Zrobię nam herbaty.

– I opowiesz?

– Opowiem.

Val odprężyła się.

Jej gospodarz podstawił szklanke pod kranik samowaru i odkręcił kurek. Popłynęła ciemnobrązowa ciecz.

– Żebyś wszystko zrozumiała, musimy się trochę cofnąć w czasie – powiedział. – Na ile znasz historię swojego rodzimego Polonusa?

– Dość dobrze.

– A historię Ziemi, jeszcze sprzed Rozproszenia?

– Trochę gorzej. No dobra, niewiele. Słabo. Prawie wcale. Historie sprzed ponad półtora tysiąca lat to nie moje hobby.

– To rozumiałe – przytaknął Craftsheek i Val nie była pewna, czy drwi, czy stwierdza fakt. – A historia bardziej współczesna – słyszałaś o Sarmacji?

– Współczesna – parsknęła. – Coś słyszałam. Ponad sto lat temu zniszczono cały układ gwiazdny, z tą planetą włącznie. Tak?

– Tak. Więc pozwól, że opowiem ci jej historię. – Craftsheek przesunął jedną ze szklanek w stronę Val.

– Cukru? Rumu?

– Opowiadaj, do cholery!

Mężczyzna skinął głową.

– W takim razie proponuję zmienić język – powiedział po polsku. Drgnęła. Zaskoczył ją. Nie miała pojęcia, że zna jej język, dotychczas wszystkie rozmowy na statku prowadzone były w stanlangu.

Podmuchał na herbatę i upił łyk.

– Prapoczątki Rozproszenia datuje się na XXV wiek. W rzeczywistości, w tych czasach skonstruowano i wysłano pierwsze statki kosmiczne mogące poruszać się z prędkościami przyświatlnymi... Zbudowano je dokładnie trzy i wysłano do najlepiej rokujących układów gwiazdnych. Takich, wokół których krążyły w ekosferze planety o zbliżonej do Ziemi masie, a co za tym idzie – mających podobną grawitację, i na których stwierdzono istnienie wody. Budowa tych statków zajęła kilka ładnych lat i był to chyba pierwszy i ostatni raz, kiedy wszystkie nacje Ziemi połączyły się we wspólnym wysiłku. Bo czterdzieści lat później zbudowano prototyp napędu Alcubierre'a. Nie wiesz, co to? Wiesz na pewno. Zawsze istniało kilka podstawowych problemów związanych z podróżami przyświatlnymi. Primo – poruszasz się nie szybciej niż światło, więc nadal zbyt wolno jak na rozmiar wszechświata, gdzie odległość do najbliższych gwiazd mierzy się w latach świetlnych. Secundo – problem dylatacji czasu. Gdy na statku miną cztery lata, na

Ziemi upłyne aż kilkaset. Szacowano, że trzeci z wysłanych statków – Terra 3 – dotrze do swojego celu za 150 lat czasu ziemskiego. Tertio – wytrzymałość materiałów. Podczas podróży z taką prędkością trzeba by stosować pancerze o niesamowitej grubości i wytrzymałości, przestrzeń nie jest przecież zupełnie pusta. Co za tym idzie – potrzeba by więcej energii. I wtedy pojawił się pierwszy Alqubierre. Napęd wziął nazwę od żyjącego w XX wieku naukowca, który dał podwaliny teorii podróży międzygwiazdnej. Ideą tego napędu jest ingerencja w samą strukturę czasoprzestrzeni. Wszechświat rozszerza się dlatego, że rozszerza się przestrzeń pomiędzy obiektami. W uproszczeniu – napęd kompresował przestrzeń przed statkiem, rozszerzając ją za statkiem. Ten sposób pozwalał na podróż z prędkością ponadświetlną, gdyż ograniczenie prędkości światła dotyczy poruszania się w czasoprzestrzeni, a ona sama tymże ograniczeniom nie podlega. I według mnie, dopiero tutaj można upatrywać prawdziwego początku Rozproszenia. Efekt relatywistyczny przestał być problemem. W ciągu pięciuset kolejnych lat rozpoczęła się seria przeprowadzek. W tych czasach Ziemia była podzielona na państwa i każde z nich chciało wykroić dla siebie odrobinę galaktycznego tortu. Rozpoczął się wyścig do gwiazd i poszukiwania światów nadających się do zasiedlenia. Okazało się, że planet znajdujących się w dogodnej odległości od gwiazd macierzystych jest całkiem sporo, a niektóre nie wymagały nawet terraformowania. Szybko znaleziono pozaziemskie życie – głównie mikroorganizmy albo proste rośliny, terraformacja w tych przypadkach polegała na ich wyrugowaniu i oczyszczeniu środowiska. Ziemskie państwa rozpoczęły migrację. Oczywiście pierwsze ruszyły kraje najsilniejsze ekonomicznie – Chiny, Ameryka, Rosja, zakładając kolonie, które potem rozrosły się w autonomiczne potęgi, czyli znane nam obecnie Nowe Państwo Środka, Zjednoczona Federacja, czy też wyłoniony w kilku rewolucyjnych przewrotach Carat, lub zupełnie od niego niezależna, znajdująca się w innym rejonie galaktyki, Nowa Rosja. A około sto lat później, po wynalezieniu napędu Q, czyli tego, który rozpowszechniony jest w praktycznie wszystkich statkach kosmicznych naszych czasów, zaczęło się szaleństwo. Jak pewnie wiesz, wykorzystuje on ciemną energię do otworzenia tunelu w czasoprzestrzeni. Właściwie ciężko to nazwać napędem – działa rozrywa czasoprzestrzeń przed statkiem, tworząc tunel, którego końce są splecione kwantowo i pozostają względem siebie w stanie spoczynku. Aby przekroczyć tunel, trzeba mieć odpowiednią prędkość, stosowną do długości skoku, stąd na statkach nadal stosuje się konwencjonalne napędy. Dzięki napędowi Q mniejsze państwa Ziemi dołączyły do podboju kosmosu, zajmując kolejne planety. Ziemia się wyludniała, Galaktyka zaludniała. Jedno z państw Europy, Polska, wybrała jako swoje miejsce planetę, której nadano nazwę Polonus. Tę historię powinnaś już znać, to twoja rodzinna planeta.

Craftsheek urwał i napił się herbaty. Val zaintrygował sposób mówienia Craftsheeka, język, którego używał, brzmiał zupełnie inaczej niż ten, do którego przywykła. Sposób w jaki akcentował wyrazy przypominał jej historyczną sztukę, którą oglądała w teatrze kilka lat temu.

– Co dalej? – zapytała. – Na razie dostałam sporo technicznego bełkotu.

– Dalej... – Mężczyzna zmarszczył brwi. – U prapoczątku Polonusa leżał bunt... chociaż nie, to złe słowo. Rebelia też nie pasuje. Znasz takie powiedzenie: „gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania”? Nie? Dziwne. Kilkadziesiąt lat po utworzeniu pierwszej kolonii i częściowym zasiedleniu Primy, czyli największego kontynentu Polonusa, pojawiła się grupa ludzi, którym nie w smak były aktualne rządy. Liderzy tej grupy postulowali porzucenie rządów demokratycznych i przywrócenie monarchii, czy wręcz „demokracji szlacheckiej”, czyli ustroju panującego na ziemiach polskich w okolicach XVI wieku. Krzywisz się? Ach, nie wiesz co to. Był to ustrój feudalny, dziedziczący ze średniowiecznych wzorców, zakładających ścisły podział klasowy na duchowieństwo i szlachtę, mieszczan oraz chłopów. Władzę wykonawczą miał sprawować silny król-elekt, władza ustawodawcza byłaby złożona w rękach szlachty. Wyciągnięto takie określenia jak „prawo o sejmikach”, w obiegu pojawiło się odświeżone wydanie oryginalnej Konstytucji. Zaczęto wydobywać z odmetów historii znane nazwiska i wywodzić od nich swoje genealogie. Na Polonusie zrodził się ruch, który rósł w siłę i powoli nabierał kształtu. Do czasu Drugiej Kolonizacji, kiedy statek Polonusa – Kopernik – przywiózł z Ziemi kolejną grupę Polaków szukających szczęścia w nowym świecie. Wiesz co się stało z tym statkiem? Został zniszczony przez odłamki komety, układ Polonusa nie był jeszcze dokładnie zbadany, nie zdołano przewidzieć tej katastrofy i jej zapobiec.

Val przypatrywała się uważnie mechanikowi.

– Otóż to jest tak zwana prawda historyczna, która została zmanipulowana na potrzeby społeczeństwa. – Craftsheek uśmiechnął się smutno. – W rzeczywistości Kopernik został porwany. Uprowadzony. A rewolcie przewodziły Rodziny Założycielskie, najznamienitsze rody Polonusa: Radziwiłłowie, Zamoyscy, Zarembowie i sporo innych. Łącznie kilkaset tysięcy ludzi czujących w sobie szlachecki zew. Stanowiło to dwudziestą część ówczesnej populacji Polonusa. Ruszyli w stronę odległego o trzy tysiące lat świetlnych układu, aby założyć nowe państwo. Planecie, na której wylądowali, nadano nazwę Sarmacja. Sama nazwa sięgała starożytnej krainy na Ziemi, a szlachta polska wywodziła swoje korzenie właśnie od mieszkańców tejże krainy. Gościnność, odwaga, honor – to były podstawowe cechy, które charakteryzować miały szlachcica – Sarmatę.

Craftsheek urwał, zamyślony, i przymknął oczy, jakby szukał w pamięci jakichś wydarzeń.

– Mówisz o tej samej Sarmacji, którą zniszczono? – rzuciła Val, zniecierpliwiona przedłużającą się ciszą.

– Dokładnie. Ale na początku stworzono utopię. Nie pierwszą zresztą, a za przykład może służyć chociażby jamajska kolonia Zjednoczone Stany Umysłu, która nie utrzymała się nawet pół wieku. Ale w odróżnieniu od niej Sarmacja przetrwała. Planetę skolonizowano. Sarmacja miała trzy kontynenty, nazwano je Małopolską, Wielkopolską i Koroną. Korona była największa i na niej założono stolicę –

Gniezno. Cały ten okres był historycznym szaleństwem. Powstawały miasta i województwa, którym wytyczano granice nawiązując do starożytnych map, wznoszono rezydencje w stylach gotyckich i barokowych, budowano olbrzymie posiadłości z pięknymi pałacami. Cała ta utopia mogła legnąć jednak w gruzach z prostej przyczyny – z braku chłopów. Widzisz, każdy chciał być szlachcicem, lecz nie każdy mógł. Część z kolonistów otrzymała statut mieszczanina, czyli ograbionego z praw wyborczych mieszkańca, ale brakowało pospólstwa, chamów, którzy pracowaliby na pańskich włościach. Potrzebowali siły roboczej. W tych czasach Unia była już siłą, z którą należało się liczyć, a Sarmacja potrzebowała handlu, więc ratyfikowała traktat członkowski. Wobec tego nie mogli sobie pozwolić ani na niewolnictwo, ani na żadnego sortu rozwiązania z dziedziny cybernetyki. Unia była przeciwna klonowaniu, rozwijaniu świadomych androidów i wszelkim eksperymentom na ludzkich organizmach. Zamykało to niejako drogę ku stworzeniu sług idealnych, ale Sarmacja miała swój genialny pomysł. Pomysł ten był inżynierem genetyki o nazwisku Malinowski, który w laboratoriach Korony stworzył sztuczny organizm. Najpierw była to komórka, bez jądra, bez mitochondriów, ba!, nawet bez łańcucha DNA. Zdolna była jednak gromadzić zaprogramowany materiał genetyczny i, co najważniejsze, była zdolna do podziału. Od pierwszej komórki do pierwszego organizmu wielokomórkowego droga była krótka, zwłaszcza gdy zapłatą było obiecane szlachectwo i całkiem spory majątek, a wszystko podpisane królewską pieczęcią. I tak, po dwudziestu latach prac, narodził się pierwszy Mod. Osobnik o komórkach organicznych, nie będący ani ludzką genomodifikacją, ani sztuczną inteligencją zamkniętą w elektronicznych obwodach, a obchodzącym unijną dyrektywę zupełnie nowym organizmem. Co najważniejsze, do złudzenia przypominającego budową anatomiczną człowieka. Po Morfach i T'z'gaa był to trzeci obcy gatunek, z którym mieli do czynienia ludzie. Przynajmniej na Sarmacji.

Craftsheek urwał znowu i dopił herbatę w dwóch potężnych łykach. Oblizwał spierzchnięte przemową wargi.

– W ten sposób narodziła się siła robocza Sarmacji. Istoty świadome, o inteligencji nie ustępującej ludzkiej, stworzone do służby. Wiele lat zajęło doprowadzenie ich do ostatecznej... wersji. Powstały królewskie fabryki Modów, gdzie w sztucznych macicach dojrzewali sztuczni ludzie. Specjalne szkoły dla Modów, gdzie uczono pokory i służalczości względem szlacheckich rodów. Pewne grupy zawodów, takie jak rolnictwo, górnictwo czy przemysł, zostały w całości obsadzone przez Modów. Od najpodlejszego wykonawcy po wysokiego szczebla zarządców. Byli sługami doskonałymi i posłusznymi. Przez ponad tysiąc lat.

– I co? – wtrąciła nerwowo Val. – Zbuntowali się?

Craftsheek roześmiał się.

– O nie, co to to nie. Oczywiście w historii Sarmacji zdarzyły się bunty i powstania, ale były tłumione szybko i skutecznie. Dokładnie dwa i skończyły się szybciej, niż się zaczęły. Widzisz, szkolenie Modów

było prowadzone bardzo dokładnie. Byli indoktrynowani od samego urodzenia, warunkowano im kompleks niższości wobec swoich panów, a że rozwijali się szybciej niż ludzie, te zabiegi rozpoczynano już w pierwszym roku życia. Pamiętaj, że to były sztuczne organizmy – nawet ich jedzenie było specjalnie zmodyfikowane, istniała cała gałąź przemysłu żywienia nastawionego wyłącznie na Modów. Zadbano w najdrobniejszych szczegółach, żeby sługa pozostał sługą, a szlachcic – szlachcicem. I nie wahano się ukarać krnąbrnego sługę, jeśli popełnił występki przeciwko możnym. Ale teraz przenosimy się tysiąc lat w przyszłość, w okolice wydarzeń, które miały miejsce ponad wiek temu. Nie nudzę cię?

Mężczyzna wstał z fotela, wyjął szklanekę z dłoni Val, dolał herbaty i wręczył na powrót dziewczynie.

– Absolutnie – mruknęła Val, rozkoszując się zapachem naparu. Nie pamiętała, kiedy podciągnęła nogi na siedzisko fotela. Było jej chłodno. Craftsheek zauważył to i zmienił ustawienia klimatyzacji.

– Tak więc sto trzydzieści trzy lata temu, panu Andrzejowi Sandomierskiemu, który w tych czasach piastował urząd wojewody stołecznego, i pani Lubomirze Sandomierskiej *de domo* Ciechanowskiej, urodził się syn. Długo oczekiwany, piękny i zdrowy chłopak. Pan Andrzej wydał natychmiast przyjęcie, a że jak wspominałem, szlachta hołdowała najlepszym tradycjom gościnności, „natychmiast” należy potraktować umownie – to znaczy, rozpoczęto przygotowania, wystosowano zaproszenia do pary królewskiej, do przyjaciół, sąsiadów, i innych szlachciców. Podobno stworzenie listy zaproszonych, tak aby odpowiednio wyeksponować czyjąś pozycję i aby nikogo nie urazić, zajęło państwu Sandomierskim bite osiem dni. Kolejny tydzień poświęcono na przygotowanie przyjęcia. Pani Lubomira nie chciała ani skrawka syntetycznego jedzenia, stąd wszystkie warzywa i owoce, i każdy kawałek mięsa miały pochodzić z hodowli naturalnych. Zatrudniono najlepszego kucharza w Koronie. To miało być największe przyjęcie od czasów ostatniej królewskiej elekcji – i tak się stało. Ostatni goście opuścili posiadłość państwa Sandomierskich dopiero dwa miesiące później, zadowoleni, radośni i zapewniający o dozgonnej przyjaźni. Pomijając kilka niemiłych sytuacji, objawów typowego dla wielu pomniejszych szlachetków warcholstwa, spowodowanego nieumiarkowaniem, wszystko udało się tak jak zaplanowano. Kroniki odnotowały to jako jedno z najwspanialszych przyjęć nowożytnej Sarmacji. Plotkowano nawet, że pojawili się przedstawiciele Morfów, ale nikt nie wiedział ile w tym prawdy. Układ Sarmacji położony był na krawędzi ich strefy wpływów, rzekomo Sarmaci prowadzili handel z Morfami i korzystali z ich technologii. Podobno tylko dzięki temu możliwe było stworzenie Modów. Jeśli tak było, to sprawa utrzymywana była w ścisłej tajemnicy przed obywatelami. Osobiście jestem przekonany, że istniało między nimi porozumienie, Sarmacja była też inwigilowana przez ich wywiad. Wiesz, jak to z Morfami. Niejednorodna struktura anatomiczna, pseudoorgany o wymiennych funkcjach, bezkształtni, a jednak zdolni do wytworzenia i utrzymania określonej formy fizycznej. Szpiedzy prawie idealni. Prawie, bo ich zmiany były tylko powierzchowne. Z zewnątrz człowiek, ale skany organizmu ujawniały coś zupełnie odmiennego. Ale nie zrozum mnie źle. Morfowie nie byli podobni do nas, rzadko prowadzili wojny. To

była młoda rasa, młodsza od ludzi i spragniona kontaktu. Zupełnie inni niż ksenofobiczni T'z'gaa okopani na skraju galaktyki. Na terytorium Unii Morfów pchała ciekawość... gatunkowa, powiedziałbym. Jednak Unia zabroniła im wstępu na swoje terytoria. Nie, właściwie to nie do końca zabroniła: uregulowano to za pomocą paszportów, wprowadzono nakaz pojawiania się w jednej postaci, wyróżnionej w dokumentacji. A samą dokumentację trzeba było składać z wyprzedzeniem, typowa biurokracja. Sarmacja była pod tym względem liberalna, zwłaszcza wobec korzyści technicznych płynących z wzajemnych odwiedzin. Morfowie mieli na Sarmacji oficjalną ambasadę, ale rzadko spotykano publicznie ich przedstawicieli. Morfowie włóczyli się często po miastach Sarmacji incognito – czyli pod ludzką postacią. A że z zewnątrz nie można ich było odróżnić, urosło to do rozmiarów miejskich legend. Spotykano ich rzekomo w barach, na targowiskach, sklepach, teatrach i na przyjęciach.

– Sporo wiesz o Morfach – przerwała kolejny raz Val. – Czemu ma służyć ta opowieść?

– Zaraz do tego dojdę – odpowiedział uspokajająco Craftsheek. – O ile pozwolisz mi mówić.

– Już milczę. – Val popatrzyła uważnie na rozmówcę. *A może on sam jest Morfem?* – zaniepokoiła się.

*Nie androidem. Morfem? Rzadko przebywa z innymi członkami załogi, jada samotnie.*

– Nie jestem – powiedział uspokajającym tonem Craftsheek, jakby znowu czytając w jej myślach. Val wzdrygnęła się. Postanowiła bardziej zapanować nad mimiką, gospodarz czytał w niej jak w otwartej książce. – Nawet gdybym był – dodał Craftsheek – to nie masz powodu do obaw. To naprawdę bardzo łagodna rasa. I nie ludożerna. Choć właściwie skłamałbym – przyswajają pokarm całym ciałem, jest im prawie wszystko jedno co jedzą, o ile zawiera potrzebne im pierwiastki. Człowieka też by zjedli, jeśli zaszłaby taka potrzeba. W sensie technicznym. Etycznie jednak stanowiłoby to dla nich podobny problem jak dla nas. A zrozumieli też bardzo szybko, że dla człowieka zjedzenie nawet pozostałości osobnika swojej rasy jest nieakceptowalne.

– Nie wiem, czy mnie uspokoiłeś – skrzywiła się Val. – Mów dalej.

Mężczyzna roześmiał się.

– Odbiegłem trochę od tematu, więc wracam. Państwu Sandomierskim urodził się syn, a nadano mu imię Jan. W zwyczaju było obdarowywanie zarówno rodziców, jak i dziecka, tak więc podczas przyjęcia odbył się cały ceremoniał wręczania prezentów. Od króla Jan otrzymał kawałek ziemi położonej na kontynencie Małopolskim, od najbliższych przyjaciół państwa Sandomierskich przepięknie zdobioną karabelę, a królewski stolnik podarował mu Moda w tym samym wieku, co maluch.

– Moda? – Val nie wytrzymała.

– Tak, Moda. To stało się powszechną praktyką już kilkaset lat wcześniej – każdy szlachcic miał swojego Moda, którego nazywano „Osobistym”. Osobisty był zazwyczaj w wieku swojego pana, dorastał razem z nim, służył wiernie i opuszczał go przy osiągnięciu pełnoletniości. Przy czym muszę wspomnieć – „opuszczenie” było tylko eufemizmem oznaczającym śmierć Moda. Otóż nie do końca jest wiadome,

czy było to ograniczenie technik genetyków, czy może ich świadome działanie, ale Mody posiadały pewien szczególny ogranicznik. Żyły jedynie osiemnaście lat. Fakt, że śmierć następowała w tak precyzyjnie, wydawałoby się, dobranym wieku, skłaniałby ku teorii świadomej manipulacji. Tego, niestety, nie dowiemy się nigdy.

– Chcesz powiedzieć, że niosący na swoich barkach całą gospodarkę planety służący, Mody, że oni żyli tak krótko? Że główną siłą roboczą Sarmacji były... dzieci?

– Tak i nie. – Craftsheek uśmiechnął się smutno. – Tak, bo ich życie było faktycznie krótkie, zaś nie, bo dojrzewali szybciej niż ludzie. I tak kiedy Jan Sandomierski miał lat trzy, jego Mod był na etapie sześciolatniego dziecka. Kiedy Jan miał lat siedem, Mod – szesnaście i w tym wieku – chodzi mi o rozwój fizyczny – pozostawał kolejne kilka lat. Więc z punktu widzenia ludzkich lat może to budzić zgrozę, jednak obiektywnie nie do końca można ich nazwać dziećmi.

– To przerażające – zachnęła się Val.

– Taka była specyfika Sarmacji. – Craftsheek przeciągnął się, aż coś strzeliło mu w kościach. – Do zadań Osobistego należała przede wszystkim opieka nad swoim panem. Był mu sługą, pomocnikiem, nauczycielem, bratem. Był wszystkim, czym mógł być. Osobisty sam odbierał dobre wykształcenie, a ze względu na swój szybszy rozwój, był początkowo lepiej wykształcony niż jego pan, co sprawiało, że taki Mod stawał się pomocnikiem, prawą ręką i bliskim doradcą.

– Przyjacielem? – podrzuciła Val.

– Można by tak powiedzieć, ale bez przesady. To były Mody, istoty podległe. Czy ty, jako wysłanniczka Kościoła, czujesz się jego przyjacielem? Mam tu na myśli organizację, instytucję, ludzi, którzy cię tutaj wysłali, a nie wspólnotę wiernych posłusznych dziwnej istocie, którą nazywasz Bogiem.

– Skąd ten jad? – rzuciła Val. Ale pytanie ją zastanowiło. Odegnęła kłębiące się myśli, akurat teraz nie miała ochoty na rozważania o swojej lojalności.

Craftsheek upił łyk herbaty.

– Podobnie jak pan Jan Sandomierski, jego Osobisty miał swoich guwernantów i preceptorów dbających o jego edukację i wychowanie. Przez okres służby Osobisty musiał przyswoić wiedzę podstawową, czyli matematykę, fizykę, chemię, ale również historię, sztukę, kilka języków. Musiał posiadać wszechstronną wiedzę ze wszystkich dyscyplin z jednym wyjątkiem – biologia i jej pochodne, jak na przykład genetyka, były dla Moda zupełnie niedostępne. Zakazane. Nikt tego przedmiotu Modów nie nauczał, a wszelkie próby zgłębiania tej wiedzy były szybko i skutecznie ucinane. Sztuczne Inteligencje bibliotek pilnowały zasobów, a wszelkie próby nieautoryzowanego dostępu były zgłaszane. Same Mody zaś... resocjalizowane.

– Chodziło o to ograniczenie – powiedziała Val domyślnie.

– Zapewne tak – zgodził się Craftsheek. – Teoria, że jest ono sztucznego pochodzenia, znajduje swoje



potwierdzenie w kłótni o podarunek pomiędzy panem Andrzejem Sandomierskim a stolnikiem Pochockim. Otóż Osobisty dziedzica Jana był inny. Był Modem wśród Modów. Długość jego życia została zwiększona o trzy lata. Nie wydawało się to być szczególnym odstępstwem, ale pan Andrzej był tradycjonalistą i gdy tylko dowiedział się o tej dziwnej cesze Osobistego jego syna, doszło do sprzeczki. Ponoć w sprawie tej waśni interweniował sam król. I tak Mod pozostał na usługach Jana Sandomierskiego, zamiast go przedwcześnie „opuścić”.

– Co z religią? – zapytała nagle Val. – W co wierzyli Modzi?

Craftsheek pokręcił głową.

– A jak myślisz? Sarmacja gwarantowała wolność wyznania, jednak wśród obywateli przeważali katolicy. A Mody... wychowywano ich w braku religii. Przecież byli stworzeni przez ludzi. Kościół odmówił uznania ich jako istot pochodzenia boskiego. Wszak nie Bóg ich stworzył na swój obraz i podobieństwo, a człowiek. A przypisanie ludziom boskich walorów pogwałciłoby pierwsze przykazanie. Człowiek jako istota równa stwórcy? Szaleństwo! Całą... nazwijmy to rasę Modów objęto zaocznie nałożoną apostazją. I to jeszcze w czasach przed Wielką Schizmą. A w co wierzyli Modzi? Znaczna większość pozostawała bez wyznania, a nieliczni skłaniający się ku religii katolickiej i chrześcijaństwu najczęściej kończyli marnie. Mod uznający Boga jako stwórcę swoich stwórców? Herezja. Na jednym z synodów uchwalono zgodnie, że Mody nie posiadają nieśmiertelnej duszy.

– A śmiertelną posiadali?

– Jako wysłannik Kościoła, może ty mi odpowiesz?

Jednak Val zamilkła.

– Wracając do mojej opowieści – podjął Craftsheek. – Młody Jan Sandomierski dorastał i w wieku lat szesnastu postanowił wstąpić do wojska, a konkretnie umyślił sobie, że dołączy do Husarii, czyli elitarnej jednostki Sarmacji. Husaria była kolejnym tworem powołanym z ziemskiej, średniowiecznej tradycji. W zamierzonych czasach, na ziemiach Rzeczypospolitej, czyli ziemiach należących do wspólnych przodków Sarmacji i Polonusa, wojny toczone najczęściej były za pomocą zwykłej broni białej. Broń palna, owszem, istniała, ale nie była to późniejsza broń automatyczna, jej celność pozostawiała wiele do życzenia, a przeładowanie trwało długo. Tak więc walka sprowadzała się do okładania się wzajemnie mieczami, szablami i...

– Oglądałam programy historyczne, wiem, jak to wyglądało – przerwała Val. – Albo stawali naprzeciw siebie, albo szli szeroką ławą, albo jechali na tych... no...

– Koniach – podpowiedział Craftsheek. – Owszem. To była jazda. A jej szczególna odmiana nazywała się Husarią. Tworzyli ją majątni szlachcice, świetnie wyposażeni. Każdy sam dbał o swój ekwipunek, utrzymywał konie wytrzymałej rasy, doskonale wyszkolone. Ich pojawienie się na polu walki zwiastowało dla przeciwnika rychłą przegraną. Była to jazda szybka, zwrotna, sławna i niesamowicie

skuteczna. Dzięki nim udawało się pokonać wroga, którego liczebność była kilkunastokrotnie większa. Na Sarmacji przywrócono im chwałę poprzez stworzenie elitarniej jednostki wojskowej. Jednak nie każdy mógł zostać husarzem. Trzeba było wykazać się nieposzlakowaną opinią, honorową postawą, odwagą, ale też i zamożnością – husarz wnosił do jednostki sprzęt zakupiony przez siebie. Naturalnie nie była to kawaleria, a rodzaj sił szybkiego reagowania w kosmosie. Każdy husarz ery nowożytnej miał swój statek kosmiczny, trochę większy od unijnych myśliwców, za to dziesięć razy lepiej wyposażony. Napędy hybrydowe, zdolne rozwijać prędkości przyświelne i wykonywać Q-skoki na niewielkie odległości. Szybkie, zwrotne i najeżone uzbrojeniem były zdolne odeprzeć każdy atak w przestrzeni kosmicznej. Ale nikt nie atakował Sarmacji. Za to Sarmacja mieszała się często w konflikty w innych układach gwiazdnych. Sarmaci często zatrudniali się jako najemnicy. Zdarzało się jednak, że w przypadku ruchów narodowowyzwoleńczych Sarmacja stawiała po stronie powstańców za darmo. Ot, taka fanaberia. Kilkadziesiąt lat wcześniej niż pan Jan Sandomierski wstąpił do husarii, Sarmacja odbyła kilka walk w regionach pogranicznych Caratu.. wtedy nazywał się Caratem Piotrowym, teraz, jak wiesz, Iwanowym. Carat miał wówczas apetyt na satelickie układy i rozpoczął sukcesywne podboje. Jedną z małych federacji – nie pamiętam nazwy – składająca się z kilku układów, została zaatakowana przez wojska Caratu. Rząd federacji zwrócił się o pomoc do Sarmacji, która w obliczu naruszenia suwerenności rzuciła na pomoc swoją flotę wraz z Husarią. Carat zdołał opanować jedną z planet, zrzucono desant, przejęto główne miasta. Husaria miała jeszcze jedną zaletę: ich statki były przystosowane także do walki w atmosferze. Kiedy skończyli wymiatać carskich z samego układu, zajęli się walkami na planecie. Kapitulacja była błyskawiczna. Carat nie był potęgą militarną. Choć teraz rozrósł się o kilkadziesiąt układów, głównie poprzez aneksję, wtedy miał siły porównywalne z zaatakowaną Federacją. Zostali wyparci, przejęto kilka ich okrętów, podpisano rozejm i wypłacono kontrybucję. Typowe zamieszki na peryferiach galaktyki. W czasach Jana Sandomierskiego Carat rozpełzł się w innych kierunkach przestrzeni i zaczęli szukać dalszych terenów ekspansji. Ale mogli pokierować się jedynie w stronę sektora zajętego przez Morfów. Wyczekiwali jednak dobrego momentu do rozpoczęcia wojny. I taki moment nadszedł.

Craftsheek przejechał palcami po ustach, a Val mimowolnie powtórzyła ten gest. Oblizła wargi i wyczuła smak herbaty.

– Pan Jan Sandomierski miał wtedy lat dwadzieścia i był najmłodszym rotmistrzem, jaki trafił się w historii Sarmacji. Wiele sobie po nim obiecywano, kariera wojskowa szła doskonale, ze względu na pochodzenie i umiejętności przebąkiwano, że w tym tempie szybko dochrapie się tytułu samego hetmana polnego koronnego. Ot, młody i wielce obiecujący szlachcic. Brał udział w kilku potyczkach, wykazał się zmysłem stratega. Wtedy od pewnego już czasu w układach panował spokój, ustały wszelkie konflikty z sąsiadującym Caratem, jeśli dochodziło do zatargów, to były to jakieś małe wewnętrzne rewolty. Jan

Sandomierski został wysłany z misją do Rusi – jednego z głębiej położonych układów Caratu. W sarmackiej ambasadzie miał skontaktować się z pewnym człowiekiem, który miał do przekazania wiadomość dla samego króla. Ważną na tyle, że nie zdecydowano się na zwyczajną transmisję z obawy przed jej przechwyceniem. Jan Sandomierski miał tę wiadomość otrzymać osobiście i osobiście dostarczyć do monarchy, pełnić rolę kuriera. Co też uczynił. Wsiadł ze swoim Osobistym do Igły, jak nazywano wtedy statki husarskie, i ruszył do układu Rusi. Podróż trwała długo, bo Ruś położona była daleko w głębi Caratu, a trzeba było trzymać się carskich procedur i wytyczonej drogi dla Q-skoków. Carat niechętnie dostarczał aktualne mapy układów, a skakanie „w ciemno”, bez aktualnych danych o regionach docelowych nie należy do przyjemności, choć w teorii trafienie na jakiś obiekt w kosmosie jest bardzo mało prawdopodobne... Ale do rzeczy. Ponieważ Igły nie miały dużego zasięgu dla pojedynczego Q-skoku, dotarcie do celu zajęło panu Janowi kilka dni. Był niezadowolony, gdyż niedługo na Sarmacji zaczynały się obchody Święta Założenia. Kto żyw zjawiał się na swojej rodzinnej planecie. To było ważne święto, upamiętniające kolonizację, z mnóstwem zabaw i atrakcji, paradą wojskową, na którą pan Jan mógł nie dotrzeć. Jego rozgoryczenia dopełniał fakt, że umówiony był na spotkanie z panią z Radziwiłłów, do której smalił cholewki.

– Co smalił? – zapytała Val, nie zrozumiawszy.

– Zalecał się – wyjaśnił Craftsheek spokojnie. – Szlachciców obowiązywały szczegółowe reguły dotyczące spotkań z damami. Spotkania były planowane z wyprzedzeniem, konsultowane z rodzicami...

Craftsheek machnął ręką, jakby ucinął mało istotny temat. Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej drewnianą, lekko wygiętą fajkę. Postukał nią w blat. Zadzwończyły szklanki. Val obserwowała jak mężczyzna wsypuje do fajki tytoń, upycha kciukiem i przypala go długą zapałką. Craftsheek złapał ustnik w zęby, zacmokał kilka razy i po chwili gęsty dym wypełnił kabinę. Wentylatory pod sufitem zaszumiały, a dym zmienił kierunek i popłynął w górę. Dym przypominał Val dzieciństwo i ogniska, które palili na obozach.

– Tak czy siak, wyglądało na to, że pan Jan nie wróci na Sarmację na czas, żeby wziąć udział w paradzie, a potem w swoim pięknym mundurze olśnić pannę Radziwiłłównę, czy jej rodziców, a może i skraść jej potajemnie całusa...

– Dziwnie mówisz – wtrąciła Val. – Smalić cholewki, kraść całusy. To jakieś archaiczne formy językowe?

– Mówimy o zamierzonych czasach. – Craftsheek znowu machnął ręką. – Wracając do opowieści: pan Jan do układu Rusi dotarł zirytowany. Na Jekaterinie – planecie, na której znajdowała się ambasada, odmówiono mu lądowania bezpośrednio w mikroporcie konsulatu, wykręcając się usterkami technicznymi, i skierowano go do głównego portu kosmicznego. Na nic się nie zdały tłumaczenia, że pan Jan jest w misji dyplomatycznej, że może wylądować w ambasadzie z zamkniętymi oczami, że wzajemne

traktaty nie mogą im odmówić lądowania na terenie poselstwa. Zagrożono mu zestrzeleniem w przypadku niezastosowania się do poleceń. Cała ta sytuacja była jawnym pogwałceniem porozumień międzyukładowych i pan Jan, zły i rozgoryczony, gotów był zaryzykować starcie. Oczywiście obrona rozniosłaby go na strzępy, nawet symulacja przeprowadzona przez AI wskazywała na unicestwienie Igły w przeciągu pół godziny od rozpoczęcia walki...

– Pół godziny!? – przerwała mu Val, parszkając. – Bzdura! Obrona przeciwlotnicza portu rozniosłaby go w trzydzieści sekund!

– Tak myślisz? – Craftsheek uśmiechnął się chytrze. – Nie wiesz, do czego były zdolne Igły w rękach wprawnego pilota. Marysieńko! – rzucił w przestrzeń.

– Słucham? – zgłosiła się AI statku.

– Chciałbym przeprowadzić pewną symulację. Atak na pałac prezydencki, na rodzinną planetę mojej obecnej tu przyjaciółki, na Polonusa. Na pewno dobrze zna dane dotyczące obrony.

– Forma ataku?

– Atak pojedynczej jednostki, nacierającej na planetę, wykrytą w odległości pół jednostki astronomicznej. Misja niewykluczająca podjęcia działań samobójczych przez pilota. Statek... co oni tam mają silnego na Polonusie?

– Najbardziej optymalny wybór to krążownik klasy Hercules – podpowiedziała usłudze AI. – Wyposażony w trzy niezależne myśliwce klasy Osa. Optymalny atak – rozproszenie tuż nad planetą, związanie walką niezależnych baterii naziemnych, walka z orbitalnymi siłami reagowania. Prawdopodobieństwo udanego ataku na pałac prezydencki: trzydzieści procent, misja samobójcza. W siedemdziesięciu procent przypadków następuje przejęcie krążownika i myśliwców w czasie pierwszych sześćdziesięciu sekund od potwierdzenia rozpoczęcia działań bojowych.

Val wydeła usta.

– Nie pomyliłam się wiele. Jedna minuta i nie ma co zbierać.

– W takim razie poproszę o tę samą symulację, dla statku Sarmacji klasy Igła.

– Powodzenie: osiemdziesiąt dwa procent, misja samobójcza. Niepowodzenie: osiemnaście procent w czasie pięćdziesięciu minut od potwierdzenia rozpoczęcia działań bojowych.

– Wytrzymałby pięćdziesiąt minut? – powtórzyła Val z niedowierzaniem.

– A gdyby atak nie nastąpił z odległości pół jednostki, a z orbity? – zapytał Craftsheek

– Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent na sukces operacji. Prawdopodobieństwo ucieczki: osiemdziesiąt procent.

Val otworzyła usta i chwilę trawiła te informacje. W końcu zapytała:

– Czyli dwuosobowy stateczek mógłby zniszczyć najlepiej strzeżony obiekt na Polonusie i jeszcze bezpiecznie uciec?

– Mógłby – przytaknął poważnie Craftsheek. – To oczywiście tylko bardzo szacunkowe dane, ale chodziło mi o pokazanie ci mocy tych pojazdów.

– Czyli...

– Czyli, wracając do tematu, pan Jan Sandomierski był zły jak wszyscy diabli i jego urażony honor i duma o mały włos nie doprowadziły do wojny. Ot, gorąca głowa. Na szczęście uspokoił go jego Osobisty, przypominając mu, po co się tu znaleźli, i pan Jan, zagryzając wargi ze złości, zacumował w porcie stolicy Jekateriny. Nie udało mu się skontaktować z ambasadorem, gdyż ten był w terenie, nieuchwytny. Kolejne opóźnienie. Królewski kurier musiał pozostawić Osobistego, udać się do konsulatu i poczekać, aż szanowny pan hrabia Bykowiecki powróci z miejskich wojaży. Był zły, a jego frustrację pogłębiał fakt, że od razu po wyjściu z portu przyczepiono mu „szpiona”. Szpion to kula wielkości piłki, unosząca się kilka metrów nad szpiegowaną osobą, rejestrująca wszystkie jego poczynania i przesyłająca je do centrali. Oczywiście szpiegowanie było jawne i ta bezczelność Caratu okropnie irytowała pana Jana. Szpion zniknął dopiero, gdy pan Sandomierski znalazł się na terenie ambasady. Pana Jana przywitał zastępca ambasadora, konsul Paweł Kamiński. Zaproponował poczęstunek, zabawiał rozmową, dopytywał o wieści z kraju, o przygotowania do Święta Założenia. Jednak oczekiwanie na powrót Bykowieckiego przedłużało się i pan Jan zauważył pewną nerwowość w zachowaniu Kamińskiego. Okazało się, że ambasador powinien być już godzinę temu, ale zniknął. Zdając sobie sprawę z tego, że informacje dla króla były olbrzymiej wagi, pan Jan poprosił o uruchomienie informatorów ambasady. Wiadomość wróciła szybko i była zła – pan Bykowiecki został aresztowany, a służby Jekateriny starały się zatuszować sprawę. Nieudolnie, na szczęście. Kamiński chciał natychmiast wystąpić do Ministerstwa Spraw Zagranicznych Jekateriny o wytłumaczenie tego incydentu, jednak Jan namówił go na chwilowe odwołanie tej sprawy. Działo się coś złego i trzeba się było spieszyć. Najważniejsza była wiadomość dla króla. Pan Kamiński nie miał dostępu do folderów osobistych w systemach komputerowych poselstwa, ale uprawnienia kuriera królewskiego były na tyle szerokie, że pan Jan mógł przeprowadzić promocję Kamińskiego na ambasadora. Jednocześnie zgłosił sprawę zaginięcia Bykowieckiego w trybie pilnym na Sarmację. Okazało się jednak, że łączność z Sarmacją szwankuje. Wyglądało to na celowe zakłócanie sarmackich satelitów komunikacyjnych pozostających na orbicie Jekateriny.

Kamiński dotarł do raportu, który miał zostać przekazany królowi. Zdekodował wiadomość kluczem Bykowskiego, aby móc ponownie zakodować ją swoim, ale w międzyczasie zapoznał się z częścią materiałów. A kiedy to zrobił, zbladł i poprosił pana Sandomierskiego o weryfikację.

W miarę jak zapoznawali się z dokumentacją, pracownicy ambasady usiłowali odzyskać łączność z rodzinną planetą. Ze szczątkowych transmisji udało im się zbudować zaskakujący obraz – Sarmacja została zaatakowana.

Craftsheek urwał, zmrużył oczy i znowu przypalił fajkę, która zdążyła zgasnąć podczas opowieści. Pyknął w zamyśleniu raz, drugi, trzeci. Val milczała.

– Jan Sandomierski zrozumiał, dlaczego kazano mu wylądować w porcie. Dlaczego aresztowano ambasadora i kto zaatakował jego rodzinny układ. Był przekonany, że wojska Caratu są gotowe wkroczyć do ambasady lada moment. Teren na szczęście otoczony był polem siłowym. Ambasada była wyposażona w swój generator pola i przetworniki ciemnej energii, ale pan Jan nie łudził się, że przetrwają długo. Nie mógł się skontaktować z Osobistym, bo służby Caratu rozpoczęły zagłuszanie ambasady również na powierzchni.

Na szczęście Osobisty również nasłuchiwał wiadomości. Zarówno tych z Sarmacji, jak i lokalnych. Zorientował się, że dzieje się coś niedobrego, i w końcu podjął jedyną słuszną decyzję – uruchomił Igłę i ruszył w stronę mikroportu ambasady, położonej w centralnej części miasta. W stolicy zapanował popłoch. Co innego, gdyby statek lądował w ambasadzie prosto z orbity. Ale wojskowy, uzbrojony statek kosmiczny pędzący nad stolicą z prędkością naddźwiękową, przywodził na myśl rakietę balistyczną. A pierwsze wiadomości o ataku na Sarmację już wyciekały w lokalnych mediach i mieszkańcy przestraszyli się, że nadchodzi kontruderzenie. Główny port kosmiczny położony był na przedmieściach miasta, a ambasada znajdowała się po przeciwległej stronie – Osobisty przeleciał niską parabolą nad całą stolicą. Siły obronne Jekateriny nie odważyły się jednak na ostrzelanie Igły ze względu na możliwe zniszczenia. A może po prostu zaskoczył ich ten ruch i nie byli przygotowani? W każdym razie pole ambasady rozpoznało statek husarski i Osobistemu udało się przycumować w mikroporcie.

Chwilę później w okolicy pojawiły się transportery i kilkuset żołnierzy, którzy natychmiast rozstawili sprzęt wokół ambasady i rozpoczęli zabezpieczanie okolicy. Z pobliskich budynków ewakuowano ludność cywilną. Rozstawiono moduły zakłócania łączności i... tyle

Odebrano jedynie meldunek z miasta, że ambasador Bykowiecki został zamordowany.

Pracownicy ambasady byli przestraszeni. Kamiński uruchomił procedurę niszczenia dokumentów. Wszyscy spodziewali się, że lada chwila nadciągną wozy bojowe, przebiją pole ochronne i aresztują wszystkich. Ale na zewnątrz trwała jedynie ewakuacja, nie zjawіło się więcej sił, wojska, żadnych pojazdów, nad miastem ustał ruch powietrzny. Pan Sandomierski pierwszy zrozumiał, co się dzieje. Nikt nie planował wdrzeć się do ambasady – carat zamierzał ją zniszczyć. Nie potrzebowali do tego żołnierzy – działa plazmowe zawieszane na orbicie stacjonarnej mogły zniszczyć budynek w kilka sekund. Tyle wytrzymałoby pole. Potem wszyscy by wyparowali. Dlatego ewakuowano najbliższy rejon. Nie było czasu. Pan Jan podjął decyzję. Wsiadł na Igłę i razem z Osobistym uciekł z planety.

– Mało odważnie i honorowo – wtrąciła uszczypliwie Val. – Zostawił wszystkich i zwał? Ilu tam było ludzi? Nie mógł ich zabrać?

Craftsheek pokiwał głową.

– Pracowników ambasady było około trzydziestu. Igła, mimo swoich olbrzymich zdolności bojowych, była małym statkiem. Dwuosobowym. Pan Sandomierski mógł może i kogoś zabrać, ale... Igła zaprojektowana była do walki. Ten statek nie miał osobnych kajut służących do wypoczynku, łazienek, łóżek. A jedynie dwa kokony deceleracyjne, w których na czas podróży zamknięci byli Sandomierski i jego Osobisty.

– Aaa...? – Val urwała pytanie zanim je dobrze zaczęła.

Zaczerwieniła się. Craftsheek jednak zrozumiał co chciała powiedzieć.

– Dlaczego nie zostawił Osobistego, swojego podręcznego podczłowieka, i nie zabrał któregoś z pracowników ambasady?

– Tak. – Val poczerwieniała jeszcze bardziej.

– Może dalsza część opowieści rzuci na to trochę światła.

– Więc mów. Uciekli i co dalej?

Craftsheek uśmiechnął się smutno.

– Nie uciekli ot tak sobie. Gdyby usiłowali wylecieć z atmosfery, zostaliby zestrzeleni w ułamku sekundy. Póki chroniło ich pole, byli bezpieczni. Pan Sandomierski zdecydował się zatem na coś, co było nie do pomyślenia – dokonał Q-skoku z planety. Jak może wiesz, otwarcie Q-skoku wiąże się z utworzeniem przejścia, portalu zgodnym z kierunkiem statku. A następnie statek musi w takie przejście wlecieć z określoną prędkością. Potrzebna prędkość jest wyznaczana jako funkcja wydatkowanej ciemnej energii potrzebnej do utworzenia portalu. Mniej więcej. Otwarcie przejścia powoduje jednoczesne otwarcie wyjścia, gdzieś w innym miejscu, w odległości, którą również daje się wyznaczyć. Ogólna zasada jest taka, że odchylenie nawet o pół procenta od wyznaczonej prędkości spowoduje, że stabilizatory Q-skoku nie będą w stanie utrzymać struktury statku w całości i pojazd się rozpadnie. Te przejścia, nazywane fachowo Q-slotami, pozostają względem siebie w spoczynku. Lecz jedna z teorii głosi, że Q-sloty pozostają w momencie otwarcia w spoczynku względem środka 12-wymiarowego wszechświata. Tak, tak, wiem, podobno wszechświat nie ma środka. Problem jest taki, że Q-sloty naprawdę się nie poruszają względem... czegoś. I otwarcie ich tuż nad planetą... wyobraź sobie. Jekaterina obraca się. Zaczumowana w mikroporcje Igła na tej szerokości geograficznej ma prędkość liniową zgodną z prędkością Jekateriny, czyli około 1700 km/s. Prędkość Jekateriny dookoła gwiazdy centralnej to, w zależności od jej położenia na elipsie – od 41 do 45 km/s. Sam układ Rusi porusza się w stronę centrum galaktyki... i tak dalej. Otwarcie Q-slotu w atmosferze, w złym miejscu, spowodowałoby, że na przykład Jekaterina dogoniłaby Q-slot w swoim ruchu wokół gwiazdy. Skutki byłyby opłakane. Naturalnie Q-sloty otwiera się w pewnej odległości od statku, to też wpływa na obliczenia. W tamtym przypadku nie mogli jednak otworzyć przejścia za daleko, bo mogliby zostać zestrzeleni, zanim by do niego dotarli. Tu na wysokości zadania stanęła AI Igły. Kiedy tylko panu

Sandomierskiemu zaświtał pomysł ucieczki, skontaktował się ze sztuczną inteligencją Igły, z prośbą o wyznaczenie prawdopodobnego toru ucieczki. AI podała obliczenia, wyznaczając okno czasowe przeznaczone na realizację. Mieli osiemnaście minut. Następny skok byłby możliwy dopiero za trzydzieści godzin. Tyle czasu oczywiście nie mieli, Carat wcześniej zniszczyłby ambasadę. Plan miał jednak pewien defekt: Q-slot położony miał być wysoko, prawie w zenicie i tuż za granicą pola. Aby przejść przez portal i wyskoczyć poza zasięg obrony Rusi, prędkość przejścia Igły musiała być olbrzymia. Na tyle duża, że aby osiągnąć ją na tak krótkim odcinku, w krótkim czasie, korzystając z napędu konwencjonalnego, Igła wypaliłaby teren ambasady do gołej ziemi. Pan Sandomierski jednak nie zawahał się. Ambasada i tak miała zostać zniszczona w ciągu kilkunastu minut. A on miał jedno zadanie – wrócić na Sarmację i przyłączyć się do walki. Zamknęli się z Osobistym w kokonach i uruchomili procedurę Q-skoku zgodnie z obliczeniami AI. A potem uciekli z planety. Lub inaczej – ruszyli na pomoc ojczyźnie. Faktem było, że wszyscy pracownicy ambasady zginęli w ogniu dysz Igły.

– Tak po prostu? – zapytała szeptem wstrząśnięta Val.

– I tak mieli zginąć. – Craftsheek znowu przypalił fajkę, która zgasła podczas opowieści. – Może i Igła była w stanie nawiązać walkę, ale wówczas ani Sandomierski, ani Osobisty by tego nie przeżyli. A mieli ważniejsze zadanie. Musieli wydostać się z obszaru wpływu Caratu. Skok z planety się udał. Ambasada została zniszczona. Ponadto obliczenia AI nie były doskonałe, musiała wziąć pod uwagę prędkości różnych obiektów, zmieniające się w czasie, jak chociażby sama prędkość planety po orbicie, która nie jest stała... Q-slot zawadził o powierzchnię planety osiem sekund po udanym przejściu. Połowa stolicy Jekateriny przestała istnieć, ale o tym dowiedzieli się później. Na razie spieszyli w stronę Sarmacji. Ale tym razem nie trzymali się szlaków wyznaczonych przez Carat, tym razem to była seria „skoków w ciemność”. Kilka razy trafili na krążowniki Caratu, wdali się w kilka zwycięskich potyczek, o mało nie rozbili się na pomniejszej komecie w pobliżu jednego z carackich układów. Ale w końcu przebili się i dotarli w pobliże Sarmacji, „na oparach”. Przed odlotem z Jekateriny nie zdążyli zatankować, a w tych czasach alternatory ciemnej energii nie były doskonałe i miały niewielką wydajność. Starczyło im na ostatni skok, który miał się skończyć na granicy układu, daleko za siódmą, ostatnią planetą.

Craftsheek przerwał opowieść. Wstał, przeciągnął się, wywołał na ścianie panel pokładowego komputera i spojrzął na wskaźniki prezentujące pracę silników. Pokiwał głową zadowolony. Potem dolał wody do samowaru. Val nie przerywała mu, kiedy opróżnił główkę fajki, stukając nią w stolik, zgarnął resztki w garść i wrzucił do utylizatora. Jeszcze chwilę krzątał się po kabinie, to coś przestawiając, to zmieniając jakieś parametry na ściennej konsoli.

Val nie wytrzymała długo.

– Co było w raporcie dla króla? – zagaiła.

Craftsheek zmrużył oczy.



– W samo sedno, co? – Przez twarz przebiegł mu nikły uśmiech. – Nie wierzyli do samego końca, ale to, co zobaczyli, potwierdziło wszystkie obawy.

Craftsheek usiadł na powrót w fotelu. Val miała wrażenie, że jej gospodarz postarzał się o dobre kilkanaście lat. Nadal wyglądał na trzydziestoparolatka, ale te oczy...

– Raport stwierdzał, że cztery lata wcześniej przez układ Sarmacji, w stronę jednego z układów Morfów, przelatywał caracki statek handlowy. „Jewgienij” – tak się nazywał. Miał wyznaczony korytarz transferowy, nie zbliżał się do żadnej z planet Sarmacji, był eskortowany przez sarmackie siły zbrojne. Według obserwacji wyszedł w deklarowanym Q-spocie, nie zoczył z kursu, dokonał przelotu na długości kilku tysięcy kilometrów i poleciał dalej w kolejnym Q-skoku. Nic szczególnego. Raport jednak stwierdza co innego. Otóż Jewgienij w odległości około stu tysięcy kilometrów minął jedną z komet okresowych układu Sarmacji. Nic wielkiego, zważywszy na ilość kosmicznego śmiecia płaczącego się po układzie. Dokładnie rzecz ujmując, statek przeciął trajektorię orbitalną tej komety. Z ładowni Jewgienija wypuszczono wówczas chmurę pyłu, niezauważalną dla detektorów statków eskortujących przelot. Była to chmura nanobotów, które natychmiast po wypuszczeniu rozpoczęły modyfikację swojej orbity i dostosowały swój ruch do przelotu komety. W miarę jak kometa leciała przez układ, zbierała coraz większą ilość botów, które rozpoczęły proces samoorganizacji. Najpierw przeszły fazę replikacji. Rozpoczęły drażnienie szybów, aby skorzystać z materii komety i nie zostawić zmian na powierzchni – systemy monitorowania nieba Sarmacji mogły wykryć zmianę albedo. Pod powierzchnią już przystąpiły do budowy określonego przez programistów urządzenia. Był to olbrzymi generator Alqubierre’a, chyba największy, jaki do tej pory zbudowano. Cztery lata zajęła botom jego budowa. Przez te cztery lata kometa minęła swoje perycentrum i oddaliła się już nieznacznie od gwiazdy centralnej. Tego roku miała miejsce ciekawa konfiguracja ciał niebieskich w układzie, cztery z siedmiu planet, w tym Sarmacja, znajdowały się w koniunkcji, po tej samej stronie gwiazdy. Orbita komety była eliptyczna, nachylona pod kątem 45 stopni do ekliptyki, nadlatując, powiedzmy, z góry. Kiedy okrążyła gwiazdę i wyszła pod ekliptyką, była już innym ciałem niebieskim. Oprócz tego, że wewnątrz działał sam generator, nanoboty dokonały transformacji powierzchni w olbrzymią baterię słoneczną. Nastąpił rozruch. Jak mówiłem na początku naszej rozmowy, ideą Alqubierre’a jest kompresowanie przestrzeni z jednej strony i jej dekompresja z drugiej, tak aby sama ciągłość przestrzeni pozostała niezachwiana. Generator nanobotów miał inne zadanie. Rozpoczął kurczenie przestrzeni w płaszczyźnie ekliptyki, ściągając na siebie planety i inne ciała niebieskie, jednocześnie rozszerzając ją wzdłuż bieguna układu. Planety rozpoczęły ruch ku centrum układu. Najgorsze było to, że generator przyspieszał w tempie geometrycznym. Na początku zacieśniał przestrzeń z prędkością około metra na sekundę, potem przyspieszył do kilometrów, i zanim astronomowie Sarmacji się połapali, co się dzieje, okazało się, że coś ściąga planetę z prędkością miliona kilometrów na sekundę. Planety powpadały na siebie. Nie było to zjawisko natychmiastowe, jak

zderzenia kul w bilardzie. Ale trwało kilkanaście minut. Tylko kilkanaście minut. W skali kosmicznej to nawet nie jest mgnienie oka. Zakłócenia grawitacyjne. Tsunami. Trzęsienia ziemi. Satelity spadały, statki pozostające na orbicie zderzały się. Naukowcy nie zdążyli nawet ustalić wektora ruchu planety, aby wyznaczyć pochodzenie zakłóceń. Najpierw spadły oba księżyce Sarmacji i wbiły się w nią, powodując pęknięcie skorupy. Oceany rozgrzanej magmy stygły w kosmosie, w postaci długich, sięgających głęboko w próżnię jeziorów. Zanim zdążyły się zestalić, nadleciała Świtez – kolejna planeta – i zderzyła się z resztkami Sarmacji. Generator w tym czasie zmienił wektor pracy. Układ Sarmacji był układem podwójnym. Właściwie potrójnym. Dwa słońca okręgały się wzajemnie, a w pewnej odległości od nich znajdowała się czarna dziura. Generator rozpoczął kurczenie przestrzeni w tym kierunku, co rozpoczęło proces ściągania jej i drugiej gwiazdy układu w stronę słońca Sarmacji. Prędkość kompresji przestrzeni wzrosła z kilometrów na sekundę do dni świetlnych na sekundę. Planety przestały istnieć, a gwiazdy i czarna dziura zbliżyły się do siebie na odległość kilku jednostek astronomicznych, wystarczająco blisko, aby ich grawitacja sama mogła dokończyć dzieła. Wtedy też w układzie pojawiła się Igła pana Sandomierskiego. Parametry Q-skoku były dobrze obliczone, ale cały układ zdążył się już zupełnie przesunąć i statek pojawił się w odległości niecałych pięciu milionów kilometrów od gwiazd układu. W kategoriach kosmicznych – to był praktycznie pocałunek. A ponieważ ostatni Q-skok pan Sandomierski wykonał z prędkością przyświeltną, Igła znalazła się w tragicznej sytuacji. Planety pod wpływem zderzeń i pływów grawitacyjnych rozerwały się, i układ pełen był ich resztek – skał, lodu i innego śmiecia. Igła przy prędkości bliskiej prędkości światła, prawie bez paliwa, miała ograniczone pole manewru i zaczepiła o jeden z takich fragmentów. Pole ochronne zniwelowało skutki uderzenia, ale tylko odrobinę – uszkodzeniu uległ układ sterowania i statek pędził w stronę obu gwiazd układu. Zaalarmowana AI wyliczyła możliwość ucieczki. Ale nie całego statku. Igła miała na wyposażeniu kapsułę ratunkową, do której w skrajnej sytuacji przenoszony był kokon dowódcy. Istniała szansa, że pan Sandomierski ucieknie w kapsule, jeśli zostanie odstrzelona pod odpowiednim kątem i z odpowiednią prędkością. Jednak pan Sandomierski podjął inną decyzję. Odstrzelił kokon z Osobistym. Nie wiadomo, co nim kierowało. Może rozpacz po utracie całej swojej planety i bliskich? A może honor nie pozwolił mu zniszczyć istoty, z którą związał się przez tyle lat życia? Najdziwniejsze było to, że Osobisty pana Sandomierskiego dożywał już swoich lat – za rok miał mieć dokładnie dwadzieścia jeden. Potem następowała degeneracja tkanek i kompletny rozkład komórek. Zwyczajowo po osiągnięciu swojego progu życia, Mod umierał w przeciągu tygodnia z powodu rozległych dysfunkcji narządów. Krew krzepła. Skóra marszczyła się i złuszczała płatami. Przychodził niezbyt elegancki koniec. Pozostawały jedynie bibencja i tanatoria.

– Co?

– Bibencja i tanatoria – powtórzył Craftsheek wyraźniej. – Było w tym coś ze szlacheckiej pruderii, może bogaci i wiecznie zdrowi magnaci nie chcieli patrzeć na rozpadających się prawie na ich oczach

sług, ale powołano dwa przybytki, w których Mody mogły spokojnie zakończyć swój żywot. Tanatorium było miejscem, gdzie Mod, w sposób humanitarny – jakkolwiek to brzmi – poddawany był bezbolesnej eutanazji. Szybkie wyniszczenie organizmu powodowało okropne bóle i męczarnie, nic dziwnego więc, że wielu Modów korzystało z tego rozwiązania, kiedy ich czas nadchodził. Ale też przed śmiercią wielu wybierało pobyt w bibencjach, w których nie musieli pracować, a oddawali się beztroskiej, kilkudniowej zabawie, na końcu której i tak czekało ich tanatorium. Bibencjum było swego rodzaju rajem, niewielką nagrodą za lata służby, w którym mogli przeżyć rzeczy wcześniej niedostępne.

– Taki dom uciech? – dopytywała Val. – Alkohol, zabawa i dziwki?

– Owszem, ale może bez tych ostatnich. Mody były bezpłciowe. Znaczą się, owszem, wśród Modów wyróżniało się obie płcie, ale jedynie wyglądem zewnętrznym. Nie posiadali narządów rozrodczych, byli sterylni, a co za tym szło, pozbawieni byli zupełnie pociągu seksualnego. Nie mieli pępeków ani... – Craftsheek pomachał palcem wskazującym w dół, pomiędzy swoje uda. – Kobiety miały piersi, ale pozbawione sutków. Uprzedzając twoje pytanie, męska część również ich nie miała. Estetyka, rozumiesz. Szlachcianki chciały mieć służące, więc je miały. Ale wracając... Pan Sandomierski uratował Osobistego, któremu został tylko rok życia. Nawet jeśli uznać, że postanowił nie ratować się sam, popełnić samobójstwo, to pomyślał o swoim Modzie, a to było niezwykle. Ich wzajemną relację oczywiście można określić jako pan-sługa, ale przez lata wspólnego życia pan Sandomierski najwyraźniej traktował Osobistego nie jako rzecz, a jako istotę wartą uratowania. Inny szlachcic w tej sytuacji, nawet nie pomyślałby o Modzie. Osobisty nie zdążył nawet zaprotestować, kiedy jego kokon został odstrzelony z Igły i wypluty pod ostrym kątem z płaszczyzny ekliptyki. Wiesz jak wygląda przeciętny układ gwiazdny z jego wnętrza, prawda? Jeśli jesteś w pobliżu planety, pozostałe są widoczne jako małe punkty – mimo ich rozmiarów odległości je dzielące są przecież olbrzymie. Osobisty wielokrotnie podróżował z panem Sandomierskim i niejedno widział. Ale to, co ujrzał, kiedy opuszczał w kokonie zniszczony układ Sarmacji, sprawiło, że osłupiał. Gwiazdy układu były blisko, słabszy towarzysz zbliżył się niepokojąco do rodzimej gwiazdy, z jego drugiej strony widać było olbrzymie smugi materii, wciągane przez czarną dziurę, która normalnie znajdowała się daleko od obu gwiazd, a teraz przybliżyła się niebezpiecznie. Trzy gazowe olbrzymy układu, o poetyckich nazwach Krew, Pot i Łzy, wisiały obok siebie jak wielkie, kolorowe kule, pędząc coraz szybciej ku zderzeniu. Sama Sarmacja, po zderzeniu ze Świtezią, pękła na pół. Jej resztki tworzyły powoli skąpany w promieniach obu gwiazd pas odłamków i kosmicznego gruzu. Widok był piękny. Ale jednocześnie przerażający.

Coś załśniło w oczach Craftsheeka. Val wydawało się, że to były łzy.

– Aż w pewnym momencie kokon Osobistego dostał się w strumień rozszerzanej czasoprzestrzeni generowany przez Alqubierre'a i został wypluty z prędkością ponadświetlną daleko w kosmos. Strumień niósł go przez jakieś trzydzieści sekund, potem ustał. Prawdopodobnie caracki generator sam został

zniszczony, może wskutek zderzenia z którymś z ciał, może pochłonięty przez gwiazdę. Osobisty zatrzymał się o kilka tygodni świetlnych od resztek układu. Kokon rozpoczął oczywiście nadawanie na częstotliwościach alarmowych, naturalnie do innych układów Unii dotarły komunikaty o zakłóceniach w układzie Sarmacji, a w chwili, kiedy układ przestał odpowiadać, wyruszyły floty mające sprawdzić, co się stało.

– Czy ktoś przeżył? – zapytała Val głucho.

– Owszem. Osobisty odbierał przez pewien czas jeszcze sygnały z różnych miejsc układu. Pojedyncze statki, w których zdołali się ukryć Sarmaci. Moc generatora była tak olbrzymia, że mało kto zdołał zareagować i w porę się schronić. Ale niebawem po tym, jak ustał generator, w układzie pojawiło się kilka krążowników Caratu. Wkrótce potem sygnały ratunkowe zaczęły zanikać, jeden po drugim. A krążowniki zniknęły tak, jak się pojawiły, pozostawiając układ Sarmacji zupełnie martwy. Nie zostało nic, co wskazywałoby na ich udział w zniszczeniu całej społeczności, oprócz raportu z Jekateriny, który był w posiadaniu Osobistego, i nagrań, które wykonał. Pan Sandomierski przed odstrzeleniem kokonu przesłał do jego banków pamięci zawartość sztucznej inteligencji Igły. A nie była to byle jaka AI. Została stworzona na Sarmacji tysiąc lat wcześniej, i przez cały ten czas ćwiczona i karmiona informacjami. Każdy dom na planecie, każda instytucja, wyposażone były w jej kopię, która codziennie uczyła się czegoś nowego. Raz dziennie wspomnienia wszystkich AI były gromadzone centralnie, konsolidowane i – nauczone nowych rzeczy – reimplementowane automatycznie z powrotem. To samo tyczyło się każdego statku kosmicznego należącego do Sarmacji, prywatnego, wojennego czy handlowego. I jedna z takich kopii była w posiadaniu Osobistego. Ale o tym dowiedział się dużo później, po tym, jak został uratowany przez unijną jednostkę, po tym, jak sprowadzono go na Bijou, ówczesnej stolicy Unii. Osobisty nie wyjawiał przyczyn zniszczenia Sarmacji. Utrzymywał, że nie wie, co się stało. Stworzył historię na potrzeby prowadzących śledztwo inspektorów, że był sługą sarmackiego kupca, który był wtedy w podróży na granicy układu, że nie wie, co było przyczyną kosmicznej katastrofy. Nie chciał się ujawniać. Gdyby padło jakieś podejrzenie w stronę Caratu, ten na pewno nie pozwoliłby mu długo żyć.

– I tak niewiele mu zostało – podrzuciła czujnie Val.

– Tak, ale zaistniały pewne okoliczności... – Craftsheek uśmiechnął się pod nosem. – Ale po kolei. Kiedy trafił na Bijou, dziennikarze prawie go zjedli. Był jedynym świadkiem zejść na Sarmacji – choć on utrzymywał, że tylko prawie świadkiem. Pamięć nawigacyjną kokonu skasował, kiedy odnalazł go statek ratunkowy, a banków pamięci nie udało się odczytać unijnym ekspertom. Cóż, sztuczna inteligencja Sarmacji to był polimorficzny, samoorganizujący się kod. Każda niepowołana próba interakcji kończyła się fiaskiem. Unia na początku nie chciała mu zwrócić kokonu, dopóki nie skontaktował się z sarmacką ambasadą na Bijou. No wiesz, ambasady były rozrzucone w paru miejscach kosmosu, nie wszyscy Sarmaci zginęli... ale też nie była to olbrzymia ilość. Przecież spora część Sarmatów przyleciała

z ambasad na planetę, aby wziąć udział w obchodach Święta Założenia, a personel tych ambasad często składał się z miejscowych. Tak więc rdzennych Sarmatów pozostało może ze dwudziestu w całym znanym kosmosie. Samo istnienie ambasady na Bijou przestało mieć sens w obliczu zniszczenia układu. Mimo to podjęli szereg prawnych czynności, aby pomóc odzyskać Osobistemu jego kokon. Pisma, apelacje, nawet jedna sprawa sądowa, i udało się. Plan Osobistego był prosty: miał rok na przygotowanie medialnej operacji ujawniającej winę Caratu. Za rok, kiedy miał umrzeć, chciał wypuścić wszystkie dane zapisane w AI. Ale najpierw były ważniejsze rzeczy. Jak wspominałem, Mody nie jadły tego samego, co ludzie. A Osobisty nie miał pojęcia o składzie chemicznym swojej żywności. Na szczęście ambasada była przygotowana do żywienia Modów na terenie i Osobisty mógł korzystać z jej stołówki. Niestety, miała zostać wkrótce zamknięta, nie było komu jej finansować. W tym czasie Osobisty, który odzyskał w końcu kokon, mógł dostać się do zapisów AI. Okazało się, że pan Sandomierski w ostatniej chwili przekazał rodzinny majątek zdeponowany w międzyplanetarnych bankach na rzecz Osobistego. Zdażył zarejestrować ten rozkaz w pamięci kokonu. Były oczywiście kłopoty z odzyskaniem pieniędzy, ale kilku prawników Bijou na widok wyciągu z konta i obietnicy sutej prowizji, rozprawili się z bankierami bardzo szybko. Argument w rodzaju „ostatni żyjący Sarmata” nie był może do końca zgodny z prawdą, ale otwierał wiele drzwi i kruszył najtwardsze sędziowskie serca. Osobisty może nie był ostatnim Sarmatą, ale na pewno był ostatnim Modem we Wszechświecie. Kiedy wygrał procesy, przeniósł się na Mojave – jedną z bardziej odległych od centrum Unii planet, na której zbudował sobie dom i prywatną fabrykę żywności. Zajęło mu to dwa miesiące. Wynajął kilka statków z prywatnej kompanii handlowej, aby zdobyć jak najwięcej informacji o obecnym stanie układu Sarmacji. Był przekonany, że cały układ powinien się zapaść i skończyć najpewniej w objęciach tamtejszej czarnej dziury, jakież było zatem jego zdziwienie, kiedy się okazało, że prawda jest całkiem inna. Kiedy generator Alqubierre’a zatrzymał się, przestrzeń w układzie przestała się kurczyć. Ale ponieważ kurczenie przestrzeni nie wpływa na ruch obiektów w kosmosie, planety znalazły się bliżej gwiazd, ale weszły na jakąś skomplikowaną orbitę, wynikającą tylko i wyłącznie z ich dotychczasowego własnego ruchu. Obliczenia wykazywały, że część z nich czekała zagłada w gorących uściskach gwiazd, inne mogły przeżyć – symulacje komputerowe takiej konfiguracji były bardzo trudne. Ale co najważniejsze – wynajęte statki zaobserwowały obiekt wielkości Igły, poruszający się w stronę czarnej dziury. Tymi danymi Osobisty nakarmił wybudzoną sztuczną inteligencję. Na podstawie trajektorii Igły podczas odstrzelenia kokonu oraz nagrań Osobistego, a także nowych danych, AI stwierdziła, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że to statek pana Sandomierskiego. I że jest w stanie przetrwać spotkanie z czarną dziurą przy spełnieniu określonych warunków. Najważniejsze było to, że Igła wyposażona była w kopię tej samej AI, więc myślały podobnie, a co za tym idzie, AI Igły mogła podjąć zbliżone decyzje. Jednak trajektoria statku sugerowała, że ten znajduje się już na ciasnej orbicie wokół czarnej dziury. AI

zasugerowała następujące rozwiązanie: ponieważ Igła została uszkodzona i pozbawiona napędu, i jedyne co jej pozostało to dryfowanie, jedynym sposobem było przejście jej w odpowiedniej chwili z orbity. Ekstrakcję należałoby przeprowadzić w najdalej położonym punkcie eliptycznej orbity Igły, zanim ta przekroczy promień Schwarzschilda i zniknie na zawsze. Potrzebny był zatem duży statek, potrafiący wykonać precyzyjny Q-skok, o zsynchronizowanej z Igłą prędkości, który będzie w stanie ją przejąć i odskoczyć prawie natychmiast z niebezpiecznej okolicy. Brzmiało to prosto. Ale rozrzut Q-napędów był spory i istniała szansa, że statek skaczący w pobliże czarnej dziury, znajdzie się w jej wnętrzu. Albo obok Igły, za daleko na jej przejście. A plan miał też jeszcze jedną wadę... – Craftsheek urwał i zamyślił się.

– Jaką?

– Zważywszy na prędkość Igły, niestabilność całego układu i odległość od czarnej dziury, najbliższe okno nadające się do podjęcia statku miało mieć miejsce ponad wiek później.

– Ale...

– Co miało też swoją dobrą stronę. Można się było spodziewać, że przez ten czas Q-napędy zostaną podrasowane, staną się dokładniejsze. Pieniądze zostawione przez pana Sandomierskiego nie były tak olbrzymie, aby otworzyć laboratorium czy zainwestować je w badania nad ulepszeniem silników. Pozostawał też inny problem. Osobistemu pozostało około dziewięciu miesięcy życia. Pomysł na rozwiązanie pierwszego problemu był łatwy. Skorzystać ze statku kosmicznego, skoczyć gdzieś z prędkością przyświelną i wrócić. Efekt relatywistyczny sprawiłby, że minęłoby dokładnie tyle czasu, ile zażyczyłby sobie Osobisty, a przy odpowiednim dobraniu prędkości pewnie dałoby się sprawić, żeby Osobisty postarzał się podczas lotu tylko o miesiąc. Niestety, nie udało się znaleźć nikogo, kto zechciałby wynająć statek na prawie wiek czasu lokalnego. To był problem. Posiadane fundusze wystarczyłyby Osobistemu na zakup jakiegoś niewielkiego stateczku i skok relatywistyczny tam i z powrotem, ale co potem? Pozostałe pieniądze nie wystarczyłyby na zorganizowanie wyprawy w rejon Sarmacji. Tak więc Osobisty musiał podejść do tematu inaczej. Może nie było go stać na badania nad technologiami napędów, ale na kilku inżynierów genetycznych już tak. Potrzebował wyłączyć zegar w swoich komórkach, który odmierzał jego życie. Jeśli zdołałby opóźnić śmierć o kilka, może kilkanaście lat, byłby w stanie przygotować sobie grunt do uratowania pana Sandomierskiego, być może zbudować firmę, założyć fundusz, zrobić coś, co pozwoliłoby pojawić się komuś w danym czasie, w danym miejscu, i wyrwać Igłę ze szponów czarnej dziury. Łasych na kasę nigdy nie brakowało, więc zgłoszeń było dużo, ale Osobisty postawił jeden warunek: wypłata dopiero wtedy, jeśli przeżyje. To od razu zniechęciło szumowiny i pseudonaukowców. Została tylko garstka, spośród których Mod wybrał trzech, którzy mieli dobrać sobie ekipę. Wynajął specjalne laboratorium i oddał do dyspozycji AI. Co ciekawe, Osobisty był przekonany, że AI miała dokładną informację na temat budowy komórkowej Modów i związanych z tym ograniczeń, ale nie mogła mu tych informacji przekazać. Prosił, groził i błagał. Ale

w końcu zrozumiał, że nawet fakt, że cała planeta nie istnieje, i nie żyją ludzie, którzy nałożyli ograniczenia na dostęp do tych danych, nie zmieni nieustępliwości AI w tym temacie. Była przecież tylko sztucznym tworem. Mimo to, dysponowała wieloma innymi informacjami, które były dla niego dostępne, a mogły pomóc. Badania statystyczne życia Modów, choroby ich nękające, sposoby produkcji żywności. Wydobywał z AI jak najwięcej, aby ułatwić pracę swoim genetykom, i ich praca w końcu przyniosła rezultaty w postaci projektu leczenia. Nie zostało jednak wiele czasu, trzy miesiące. Najwyższa pora, aby rozpocząć kurację, ale jeden z badaczy nie był przekonany co do jej wyniku. Dwóch pozostałych twierdziło, że zabieg powinien się udać. Prawdopodobieństwo dwie trzecie – Osobisty postanowił zaryzykować. I wiesz co? Udało się. Trzy miesiące później nadal żył. Żadnych problemów. Nie było nagłych krwotoków. Zawrotów głowy. Nic. Był tylko jeden efekt uboczny... wiesz jaki?

– Na pewno mi powiesz.

– Żył przez kolejne sto dziesięć lat. W zdrowiu, nie korzystając z mechaniki relatywistycznej, nie chorując i zachowując ciągle ten sam ujmujący wygląd.

Patrzyli sobie w oczy. Val właściwie wiedziała, nagle zrozumiała, że domyślała się tego od dawna, ale jednak zapytała.

– Czy Osobisty miał nazwisko?

Craftsheek spojrzał na nią uważnie i przechylił głowę na bok. Lekki uśmiech, prawie niezauważalny, przebiegł mu przez usta.

– Mody miały nazwiska. Wiesz, sarmackie nazwiska kończyły się najczęściej na -ski, lub -cki czy też -dzki, co jasno określało ich szlachecką przynależność. Nazwiska Modów były tej końcówki pozbawione. Szarak. Leśnik. Buławiak.

– Jak miał na nazwisko Osobisty? – powtórzyła Val.

Jej gospodarz uśmiechnął się, odrobinę z przymusem, a odrobinę drwiąco.

– Krawczyk – odpowiedział i wzruszył ramionami.

Pomimo że spodziewała się tej odpowiedzi, to jednak przeszedł ją dreszcz. Ostatni, który widział Sarmację całą. Mężczyzna przed nią, ile miał lat? Ponad sto? Sto dwadzieścia trzy lata temu, kiedy zniszczono Sarmację, miał dwadzieścia. Wyglądał tak młodo. Tylko oczy, to oczy go postarzały. Ale zaraz... przecież nie ostatni?

Craftsheek uśmiechnął się, bezbłędnie odczytując jej minę.

– Zgadza się. Sto dziesięć lat później wyruszyłem w okolice tego, co zostało z układu Sarmacji. Tak jak przypuszczałem, Q-napędy uległy ewolucji, poprawiono sprawność, dokładność, wydajność. Podjęliśmy pana Sandomierskiego w jednym udanym skoku. Jednak był pewien problem: ze względu na prędkość Igły jak i na pole grawitacyjne czarnej dziury, efekty relatywistyczne sprawiły, że dla pana Sandomierskiego minęły tylko trzy miesiące. Okazało się, że Igła Pana Sandomierskiego miała pewną

wadę konstrukcyjną – urządzenia kokonu pozwalające poddać dowódcę statku hibernacji nie zadziałały. Zamiast zasnąć, pan Sandomierski spędził cały ten czas świadomie, zdany jedynie na ledwo działające systemy podtrzymywania życia. Lecąc pozbawionym możliwości manewrowania statkiem przez pozostałości swojego rodzimego układu, na zmianę albo szalał z rozpaczy, albo planował w myślach zemstę. Prawie zwariował. Kiedy wróciliśmy na Mojave, dopadł go dodatkowo szok dylatacyjny. Taki problem podróży z prędkością bliską prędkości światła. Wyruszasz, wracasz, a tu sto lat minęło. Bach! Zmiany technologiczne. A trzy miesiące samotności, po unicestwieniu wszystkiego, co znasz, nie wpływa korzystnie na osobowość, i pan Sandomierski potrzebował kilkumiesięcznej terapii. Ale udało się. Zmienił tylko nazwisko. Te kończące się na -ski stały się mało popularne.

– Keller – powiedziała Val. – Kiedy to było?

– Dziesięć lat temu.

– Ale o co chodzi z Fidorowem? – zapytała. – Jaki to ma związek?

– Od samego początku, kiedy tylko dostaliśmy tę misję, spotkanie generała Noskowa było jedną z kart przetargowych twoich mocodawców. Noskow jest jednym z zaufanych Cara, pracuje dla wywiadu Caratu, jest jednym z „długowiecznych”, genomodyfikujących się, przedłużających życie od wielu lat carackim sługą. To on był odpowiedzialny za opracowanie planu zniszczenia Sarmacji. Po powrocie do hotelu Keller opowiedział mi, co się stało. Tam, na balu, chciał zabić Noskova. Miał jedną, jedyną szansę. Ale nie dałby rady. Noskow jest cybernetycznie ulepszony, nosi specjalne pancerze. Atak szablą? Bez szans powodzenia. A Keller bardzo chce się zemścić. Dlatego sprowokował zajście z Fidorowem. Dobrze wiedział, że na Pontifexie pojedynki są zakazane, dlatego bardzo liczył na propozycję przeniesienia się gdzieś w okolice Caratu.

– A skąd wie, że Noskow tam będzie?

– Nie wie. Ale to już jedyne, co mu pozostało. Będzie szukał okazji. Jest szansa, że dla Noskowa to jakaś rozrywka.

– Do cholery! – Val zerwała się na równe nogi. – Przez niego cała nasza akcja może wziąć w łeb. Jeśli Keller angażuje się w prywatną zemstę, jeśli on tylko... muszą to zgłosić!

– Usiądź, dziewczyno – powiedział Craftsheek spokojnym tonem. – Czy to pan Sandomierski, czy Keller, miał on jedną dobrą cechę – zawsze wiedział co robi. Myślę, że gdyby nie miał nic do stracenia, rzuciłby się jak głupi z tą karabelą i roznieśliby go na strzępy. Myślę też, że Beatrix przestawiła mu coś w głowie.

– Co wy właściwie robicie? – zapytała Val. – Z czego żyjecie?

– Z procentów małej fortuny pozostałej po Sarmatach. Nie mamy za dużych wymagań. Większość zarobionych pieniędzy idzie na załogę. A czym się trudnimy? Przemycamy ludzi z układów Caratu. Czasem napadamy na konwoje, czasem na więzienia na jakichś planetach. Uwalniamy tych, którzy szkodzą



Caratowi. Nazywają nas Czarny Diabeł i Siwy Diabeł – od naszych włosów. Truposz to statek masowej produkcji, takich jak on są dziesiątki albo i setki tysięcy. Ciężko nas namierzyć. Poza tym... zachowujemy ostrożność.

– A jaka jest ta druga karta przetargowa?

– Widzisz... Stara zasada. Noskow to przynęta, słodka marchewka, wiadomo, że bardzo chcemy go z Kellerem dorwać. Ale ta druga sprawa to sękaty kij nad naszymi plecami. Razem z Kellerem eksplorowaliśmy kiedyś resztki układu Sarmacji. Wśród szczątków znaleźliśmy fragment skorupy planety, niewielki kawałek skały, na którym zachował się cały dom. Nietknięty i opuszczony, tkwił w próżni, dając świadectwo, że wcześniej w tym miejscu istniała pełna życia ojczyzna. Wydobyliśmy ten dom w całości i przetransportowaliśmy na dzierzawioną od Polonusa planetoidę. Tam mieszkamy. Malicki... nie wie, co robimy ani kim jesteśmy, ale uderzył w czuły punkt. Zagroził cofnięciem nam pozwolenia na zasiedlanie planetoidy. Dobrze trafił. Sam dom pewnie bylibyśmy w stanie przenieść gdzie indziej, ale Polonus... czujemy z nim jakąś więź. Choć odległa, po latach jedynie językowa, gdzieś mamy wspólnych przodków. Val... mam nadzieję, że zachowasz to wszystko dla siebie.

– Pomyślę. – Kiwnęła głową.

Spojrzała w szare oczy mechanika i nagle zrobiło jej się przykro. Jakiś żal ścisnął jej serce, a Craftsheek znowu doskonale zrozumiał, jakie myśli kotłują się w jej głowie, bo powiedział nagle:

– Valerie. Tak jak mówiłem, jestem Modem. Pozbawionym płci, sztucznie stworzonym, ostatnim przedstawicielem swojej rasy. Wiesz, co napędza was, ludzi? Jaki jest sens życia, którego wiecznie szukacie, który macie często pod nosem, ale ignorujecie go z podziwu godną konsekwencją? To szeroko rozumiana gatunkowa potrzeba rozmnażania się. Przecie do przodu, robicie coś, żeby zapewnić rodzajowi ludzkiemu nowe miejsca do życia. Ta cecha determinuje wasze zachowanie, poczynając od pojedynczych relacji między dwojgiem osób, a skończywszy na całym Rozproszeniu. Mi tej cechy brak. Stworzono mnie, zaszczepiając, być może warunkując inną cechę – służyć. Nie potrafię kochać, ale nie jestem jednak pozbawiony empatii. Rozumiem co czujesz, ale... doświadczenie, przeżycia z Janem Sandomierskim nauczyły mnie, że ważne jest coś innego. Więc całą tą swoją służalczość postanowiłem przekuć na najwyższe uczucie, na jakie mnie stać. Ja to wewnętrznie nazywam miłością, ty nazwałabyś to przyjaźnią. Valerie Joon. – Craftsheek złapał ją za rękę i zajrzał w oczy, w których lśniły łzy. – Masz moją przyjaźń. To jedyne, ale też najcenniejsze, co mogę ci zaoferować, rozumiesz?

Val pokiwała głową.

Trwali chwilę w milczeniu.

– To dlatego z nami nie jadasz, prawda? – odezwała się w końcu. – Chowasz własne zarcie.

Smutny uśmiech wypłynął na jej twarz.

– Po prostu nie lubię się dzielić jedzeniem – odpowiedział uśmiechem Craftsheek. – Tak, to prawda.

Jem własny pokarm, znacznie rzadziej niż wy.

– Powiedz mi coś jeszcze. Spark mówiła, że wasza AI nie dogaduje się często z portami i trzeba lądować na manualu.

– Marysieńka? O tak, to naprawdę efekt tysięcy lat pracy inżynierów Sarmacji. Trudno powiedzieć, czy to wada czy zaleta, ale Marysieńka jest bardzo honorowa. Widzisz, oficjalne protokoły komunikacyjne Sarmacji nigdy nie zostały oficjalnie unieważnione. A większość portów kosmicznych, ze względu na praktycznie zerowe zapotrzebowanie, zaprzestała je implementować. Marysieńka po prostu twierdzi, że powinni.



Keller wyjął z sejfu fiołki, które otrzymał od Stiopy na Kyboe. Był zły. Miał Noskowa tuż obok, a nic nie zrobił. Zresztą... kiedy ochłonał, zdał sobie sprawę, jak głupie było to zachowanie. Dopuścił pragnienie zemsty zbyt blisko. Pozwolił się otumanić, stracił zimną krew. Ale jutro... jutro będzie druga szansa. I tej nie może zmarnować bezmyślnie. Przecież się przygotował.

Otworzył fiołkę oznaczoną znakiem plusa i przechylił ją nad blatem stołu. Nic się nie wylało, ale Keller poczuł, że fiołka stała się lżejsza. Następnie sięgnął po drugą i wylał jej zawartość w to samo miejsce.

Na stole pojawiła się czerwona plama, która uformowała idealne koło. Plama uniosła się kilka centymetrów w powietrze i zawisała bez ruchu. Przez jej powierzchnię przebiegały od czasu do czasu leciutkie zmarszczki.

Nagle plama uformowała się w kształt membrany i przemówiła, po caracku, zimnym metalicznym głosem:

– Konfiguracja oprogramowania, krok pierwszy. Podaj znacznik genetyczny opiekuna.

Keller wsadził palec w membranę. Nic nie poczuł. Wyjął go po dwóch sekundach.

– Opiekun zapisany – zadzwoniła plama. – Podaj znacznik genetyczny celu.

– Wszystkie cele.

– Forma ataku?

– Kontakt bezpośredni.

– Atak natychmiastowy czy latentny?

– Latentny.

– Proszę określić przetrwalnik.

Keller rozejrzył się po kabinie.



Kiedy nazajutrz ruszali w stronę planety Cwiet i przygotowywali się do odcumowania, zdarzył się jeden wypadek, który – o dziwo! – sprawił, że Keller się rozluźnił.

Gdy wszedł do mesy, zastał tam siedzącego przy stole, zajadającego coś, półnagiego młodzieńca.

– Kim jesteś? – spytał blondaska.

– Kolegą Mykey’ego – odpowiedział chłopak, nie przerywając jedzenia. Wskazał Kellerowi dyspensera. – Spróbuj, mają niezłe żarcie.

Keller zaczął się śmiać. Głośno, hałaśliwie. Zaraźliwie tak bardzo, że nawet blondasek zaczął odruchowo chichotać pod nosem.

Pierwsza przyszła zwabiona hałasem Moyra. Za nią Craftsheek, Val, a po chwili i Vlad.

– Czy jesteś może szukającym pracy doktorem? – spytał chłopaka kapitan, poważniejąc trochę.

– Nie, absolutnie nie.

– Wyrzućcie go. – Keller otarł łzy.

– W kosmos, kapitanie? Jeszcze nie oddokowaliśmy.

– Gdziekolwiek – parsknął Keller. – I lećmy na ten cholerny Cwiet. Chcę wrócić szybko na Pontifex.



Cwiet był piękną planetą. Pięćdziesiąt lat temu, kiedy należał do królestwa Española, nosił nazwę Arco Iris – Tęcza, lecz kiedy Carat zbrojnie przejął cały układ i wysiedlił mieszkańców, nazwa została zmieniona. Nadal jednak w jakimś sensie oddawała urodę planety. Niewielka, błękitno-zielona, otoczona szerokim pierścieniem, lśniła w kosmosie jak szlachetny kamień, oświetlana promieniami żółtej gwiazdy. Planeta miała trzy księżyce, z czego dwa puste i martwe, za to trzeci przypominał pomniejszoną kopię Cwiała. Został terraformowany dwieście lat wcześniej.

Sam pierścień składał się z kilkunastu wąskich różnobarwnych pasm, a z powierzchni wyglądał jak długi łuk ciągnący się po niebie i ginący po obu stronach horyzontu. Przypominał tęczę i stąd wzięła się hiszpańska nazwa planety, choć początkowo miała nosić imię króla. Teraz nazywała się Cwiet. Kolor.

Gorący, wilgotny klimat sprzyjał rozkwitowi bujnej roślinności i w związku z tym większą część jedyne go kontynentu planety pokrywały nieprzebyte dżungle. Za panowania Caratu ich powierzchnia nieznacznie się zmniejszyła, ustępując kilku nowym miastom, ale planeta radziła sobie nadspodziewanie dobrze z próbami wyniszczenia tutejszej flory.

Truposz wylądował w miejscu o koordynatach odebranych od Caratów jeszcze na Pontifexie. Było położone w delcie jednej z tutejszych rzek, w oddali od zamieszkałych terenów, na skraju dżungli. Kontrolerzy planetarni wydali im zgodę na przyziemienie bez większych problemów, widać zostali powiadomieni o gościach. Zresztą kanciasty i nieforemny caracki krążownik na orbicie wskazywał, że generał Noskow już przybył. Czy był już na planecie? Nikt o zdrowych zmysłach nie sadzałby takiego kolosa na powierzchni, najpewniej użyli jakiejś mniejszej jednostki. I faktycznie, kiedy przebili chmury i znaleźli się nad wyznaczonym miejscem, Spark dostrzegła niewielki lądowik i poruszających się w pobliżu ludzi. Posadziła Truposza nieopodal.

– Jesteśmy – zameldowała.

Keller skinął na Craftsheeka i Val i ruszył do wyjścia. Poczekali chwilę przy trapie, aż dołączy do nich Mykey i Moyra, i skierowali się w stronę obserwujących ich Caratów.

Oprócz Noskowa doliczył się jeszcze pięciu jego przybocznych, wśród nich Fidorowa. Przez chwilę Keller pomyślał, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby żołnierze caratu rozwalili ich tu i teraz. Co ich mogło powstrzymać? Honor Fidorowa? A może zwyczajna ludzka potrzeba zabicia nudy? Nudy, która była najwyraźniej częstym gościem w oczach Noskowa. Jak się jest tak cholernie starym, mało rzeczy cieszy, a mała rozrywka w postaci pojedynku z pyszałkowatym handlarzyną z Remusa mogła przynieść ukojenie.

Daleko za plecami caratów sponad drzew wychynęły cztery ptaki.

– Co to? – spytała Valerie, kiedy zbliżały się w ich stronę. – Są cudowne!

Patrzyli chwilę jak ptaki zbliżają się majestatycznie, machając leniwie skrzydłami i kierując się w stronę ujścia rzeki. Ich pióra lśniły mieszaniną kolorów, od czerwonego, przez żółty, aż do soczystej zieleni. Przypominały przerośnięte papugi. Usłyszeli donośny krzyk jednego z nich.

– To latawce – odpowiedział Craftsheek przykładając dłoń do czoła i osłaniając wzrok przed słońcem.

– Jakaś odmiana staroziemskich albatrosów. Są olbrzymie, rozpiętość skrzydeł sięga nawet pięciu metrów.

– Piękne! – mruknęła Val.

– Taaa – skwitował to Keller. – Już niedługo.

Pokazał palcem na caratów, którzy wyciągali właśnie karabiny. Dwóch z żołnierzy już składało się do strzału, ale opuścili broń, zerkając na swojego dowódcę. Ten uniósł sztucer, który trzymał do tej pory oparty kolbą o ziemię, i wymierzył.

Rozległ się huk.

Jeden z latawców zwinął się w locie i zapikował bezwładnie, a pozostałe zmieniły kierunek lotu. Wówczas pozostali Caraci rozpoczęli regularny ostrzał. Jeden po drugim ptaki spadały na ziemię.

Val zmeła pod nosem przekleństwa.

– Pan Mookstein – odezwał się Noskow, ignorując pozostałych członków załogi Truposza. – Oczekując, pozwoliliśmy sobie urządzić małe polowanie, te stare karabiny to świetna zabawa. Ale zaczynaliśmy się obawiać, że się pan nie zjawi.

– Przecież się nie spóźniłem – odpowiedział Keller, nadymając się. – Jest dziesiąta czasu standardowego.

Zza pleców Noskowa wychynął Fidorow, uśmiechając się drwiąco.

– Wasz czas standardowy późni się o godzinę w stosunku do naszego. Nie uwzględnił pan tego?

Keller wyduł wargi.

– Wydawało mi się, że czas standardowy tak się nazywa dlatego, że jest wspólny dla...

Noskow machnął ręką jakby odganiał się od muchy.

– Przybył pan tu nas zagadać na śmierć, panie Mookstein? Czy też na pojedynek?

Seria przekleństw, która przebiegła przez głowę Kellera, była kolorowa jak sam Cwiet i pełna jadu jak tutejsza odmiana węża koralowego. Gdyby Noskow potrafił czytać w myślach, na pewno zawstydziłby się, dowiadując nowych rzeczy o swojej matce i jej kynologicznych fascynacjach erotycznych. Ale sapnął jedynie głośno, wyrażając swoje niezadowolenie z tej bezczelnej przygany.

– No więc, jaki pan ma pomysł na pojedynek, panie Mookstein? – zapytał Fidorow.

Keller rozejrzał się. O dziwo, wszyscy patrzyli na niego z zaciekawieniem, jakby to jego ideą było wystawienie szabli przeciwko nowoczesnemu impulserowi.

– Nie ma co dumać – warknął. – Stajemy naprzeciwko siebie, w odległości, powiedzmy, dwóch metrów, i sięgamy po broń. Bez sygnału. Kto pierwszy ten lepszy.

Noskow był wyraźnie zaciekawiony. Zadowolony nawet. Val pokręciła głową, bolejąc na głupotę całej sytuacji, Moyra i Mykey popatrzyli na siebie jakby w końcu pojęli, że ich kapitan oszalał. Craftsheek wzruszył ramionami.

Fidorow przyjrzał się przeciwnikowi. Mookstein był postawny, dobrze zbudowany. Wyższy. Szabla, którą miał przy pasie, nie wyglądała groźnie, ale to dlatego, że znajdowała się w pochwie. W momencie, kiedy Mookstein wydobędzie ten kawał stali, sytuacja stanie się groźna, taka szabla była na pewno cholernie ostra. Ale ile zajmie dobycie tego żelastwa z pochwy. Sekundę? Niech będzie, sekundę, może półtorej, jeśli tamten nie zapłacze się w ten swój przydługi płaszczyk. Ale z drugiej strony, wyciągnięcie impulsera nie trwa dużo dłużej. Fidorow brał udział w pojedynku tylko raz, kilka lat temu. Ale wówczas reguły były inne. Szli odwrócenymi do siebie plecami, a sędzia odliczał kroki. Po odliczeniu odwracali się i oddawali strzał. I nie z impulsera, ale ze zwykłych pistoletów prochowych, o dużym rozrzucie. Taka moda ostatnich lat na carskim dworze. Impulser był lżejszy, pozbawiony odrzutu, łatwiej trafić, ale... zasugerowana przez przeciwnika odległość to trochę za blisko.

– Trzy metry – powiedział w końcu.

– Dwa i pół – przebił go Keller, spoglądając pogardliwie.

Oceniali się jeszcze przez chwilę. W końcu Fidorow skinął wolno głową.

Keller zerknął na bok Fidorowa. Najwyraźniej broń była paradna: połączana kolba, a może nawet po prostu złota. Jeśli to drugie, a Caraci lubowali się w szlachetnych kruszcach, mogła być odrobinę cięższa niż standardowa broń tego typu. A to przy próbie jej dobycia mogło zyskać dla Kellera cenne ułamki sekund. Wydobyć. Wymierzenie. Spust. Impulser zwykle strzelał krótką serią laserowych wiązek. Nawet jeśli któryś ze strzałów trafi, jest szansa, że nie uszkodzi żadnego newralgicznego organu. Przynajmniej nie na tyle, żeby wyeliminować Kellera z walki. Jednak to seria krótkich strzałów, nie długa

wiązka. Impulser oddawał strzał co około pół sekundy. Jak celnie strzelał Fidorow? Jeśli celnie, będzie mierzył w głowę.

Już czas. Noskow ze swoją świtą cofnęli się kilka kroków w tył, robiąc miejsce walczącym. Ktoś podsunął generałowi stołeczek. Keller spojrział na załogę. Zrobili to samo. Cofnęli się, stając po przeciwnej stronie niż Caraci. Kapitan spojrzeniem polecił im odsunąć się jeszcze bardziej.

Keller i Fidorow stanęli naprzeciwko siebie. Fidorow odpiął pasek trzymający impulser w kaburze i sprawdził, czy broń łatwo się wysuwa. Keller uczynił to samo i uśmiechnął się, widząc, jak Fidorow marszczy brwi na odgłos wysuwanej z pochwy karabeli.

– Gotowi? – zapytał Noskow. Oczy błyszczały mu podnieceniem. *Wreszcie jakieś emocje na tej kamiennej twarzy* – pomyślał Keller.

– Nie wiem jak tam obrońca pontifexańskiej kurewki, ale ja jestem gotów – rzucił Fidorow.

Keller wiedział, że te słowa miały go rozsierdzić, i dlatego udało mu się powstrzymać gniew. *Tu cię boli, frajerze* – pomyślał. *Próbowaleś i ci nie wyszło.*

Zwiesił ręce po bokach i rozluźnił dłonie. Fidorow zrobił dokładnie to samo.

– Jestem gotów – mruknął.

– Zatem... kiedy tylko możecie – powiedział Noskow z uśmiechem.

Zapadła cisza.

– W życiu nie widziałam dziwniejszego gówna – rzuciła szeptem Moyra, ale pozostali członkowie załogi uciszyli ją syknięciami.

Keller i Fidorow patrzyli sobie w oczy. W odróżnieniu od Carata, Keller stoczył w swoim życiu wiele pojedynków i wiedział, że twarz i oczy to miejsce, w których najszybciej dostrzeże płynący z mózgu impuls nakazujący wykonanie ruchu. Ale... po co czekać na ruch?

Implanty w nadnerczach Valerie wyprodukowały nagle olbrzymią ilość adrenaliny. Miała wrażenie, że wiatr przestał wiać, chmury zatrzymały się, a czas zwolnił do zera.

Ujrzała, jak prawa ręka Kellera sięga nagle do rękojeści karabeli, jak ułamek sekundy później łokieć w ręce Fidorowa zgina się, a jego dłoń dociera na wysokość kabury. Kiedy palce Carata zacisnęły się na rękojeści, a impulser wysunął się do połowy, spostrzegła, że Keller nie stoi już w tym samym miejscu, tylko jest pochylony, w połowie wykroku, a szabla jest prawie całkiem wysunięta z pochwy. Val nie była pewna, czy jej serce zdołało zabić chociaż jeden raz. Powoli, bardzo powoli jej usta zaczęły się otwierać, gotując się do wydania okrzyku zaskoczenia. Impulser celował w Kellera, ale ostrze szabli zdążyło przejść przez rękę Fidorowa i zahaczyło o jego szyję. Jak?!

Czas wrócił do normy.

Na ziemię upadła odcięta w przedramieniu ręka zaciskająca się na kolbie impulsera. Z gardła Fidorowa tryskał strumień krwi tak obfity, że zbryzgał kontusz Kellera.



Kapitan cofnął się. Nie było co poprawiać.

– Co się, kurwa, stało?! – zapytała Moyra.

– Mrugnął. – Craftsheek klepnął ją przyjaźnie w plecy.

– Ale... jak?

Val również spojrzała na mechanika.

– To karabela – objaśnił cicho. – Dlatego jest wygięta. Po to, żeby łatwo ją dobyć i zadać cios. Dobry szermierz z pozycji wyjściowej jest w stanie wyprowadzić cięcie w przeciągu około czterystu milisekund. A Keller ćwiczył dobywanie szabli przez większość swojego życia. Gdybym miał się założyć, powiedziałbym, że zabił Fidorowa w przeciągu dwustu, może trzystu milisekund. Pewnie pobił swój rekord, a przecież atakował z wykrokiem.

Valerie patrzyła na mechanika bez słowa. Wydawało jej się, że nawet ona, naszpikowana adrenaliną, nie byłaby w stanie uchylić się przed ciosem.

Mykey i jeden z Caratów pochylali się nad Fidorowem.

Krew z przeciętej tętnicy szyjnej kończyła tryskać i lała się już tylko strumyczkiem, wsiąkając w trawę.

– Trup – wydał zawodową opinię Mykey, wstając z ziemi, i uśmiechnął się radośnie, nadeptując przy okazji niby przypadkiem na odciętą rękę.

To nie spodobało się pozostałym aratom, którzy ruszyli groźnie w jego stronę, ale Noskow osadził ich w miejscu jednym słowem.

Generał patrzył na Kellera przekręciwszy głowę na bok, jak zaintrygowany pies. Skinął na niego w końcu ręką i wstał ze swojego stołeczka.

– Nieźle pan walczy, panie Mookstein – powiedział zimno. – Mogę obejrzeć tę szablę?

Keller spoglądał na niego przez kilka sekund, zanim w końcu zbliżył się niechętnie. Wolał nie podchodzić do generała z obnażonym ostrzem, więc wytarł je z krwi w swój kontusz i schował do pochwy, po czym odpiął ją od pasa. Wręczył ją Noskowowi.

Ten wziął karabelę i przyjrzał się rękojeści.

– Ciekawe – powiedział. – Skąd pan ma tę szablę?

– Kupiłem dawno temu na Remusie – skłamał uprzejmie Keller.

Noskow wysunął nieznacznie ostrze z pochwy.

– Ta broń budzi we mnie ciekawe wspomnienia. – Generał uśmiechnął się zimno i przesunął palcem tuż przy ostrzu. Rozsądnie wolał nie sprawdzać, czy jest ostre.

*We mnie też budzi wspomnienia* – chciał odrzec Keller, ale powstrzymał się resztką sił.

Noskow obrócił karabelę i dojrzał początek napisu biegnącego wzdłuż główki. Wysunął ostrze jeszcze bardziej, obnażając cały napis.

*Quid viro forti suavius quam vindicta manu querere?*

– Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia, to jakiś stary język – skłamał ponownie Keller.

Noskow schował szablę i skupił się na zdobionej pochwie.

– Z chęcią bym ją zatrzymał. Czy mógłbym, panie Mookstein?

– Przykro mi, ale nie, panie generale.

Noskow spojrzał na Kellera zaskoczony, jakby pierwszy raz od dawna usłyszał odmowę. Oddał mu nagle szablę bez słowa, odwrócił się i ruszył w stronę swojego lądownika. Reszta jego podwładnych na ten widok pobiegła za nim. Dwaj Caraci w pośpiechu złapali ciało Fidorowa i ponieśli, trzymając za nogi i rękę, w stronę trapu. Odcięta kończyna pozostała na ziemi.

– Zwijamy się – zakomenderował Keller.

– Co się dzieje? – zapytała Val.

– Nic. Przegrali. Noskow nie ma humoru, powinniśmy stąd spieprzać, zanim uznają, że może lepiej będzie nas na przykład usmażyć.

Przy wejściu Keller czekał, aż wszyscy miną go i wejdą do środka. Craftsheek spojrzał pytająco na przyjaciela. Krótki uśmiech przeciął twarz kapitana, co spowodowało, że usta mechanika rozciągnęły się radośnie.



Valerie była zła. Zdenerwowana. Wkurzona.

– No i co ci to wszystko dało? Co? – warknęła, kiedy udało jej się dopaść Kellera sam na sam. – Zabiłeś jakiegoś Carata. I co teraz?

– Teraz możemy wziąć się za papieskie truchło – odpowiedział, szczerząc zęby.

– Już? Tak po prostu? A gwóźdź?

– Sprzedałem.

– Co?

– Opchnąłem go za czterdzieści milionów standardów. Zdobyłem zaufanie... nie, czekaj, to za dużo powiedziane. Zainteresowanie. Zdobyłem zainteresowanie tutejszego kardynała.

– Sprzedałeś.

– No.

Valerie ukryła twarz w dłoniach.

– Co się ciskasz? – zapytał Keller. – Od początku ta relikwia miała taki właśnie cel – zdobyć czyjąś przychylność. Teraz trzymamy nogę w drzwiach. Możemy... więcej.

– To chyba dzięki tej twojej Beatrix. A przez to, że ją tak wykorzystałeś, raczej obawiam się, że niektóre z drzwi są dla nas zamknięte. A tą nogą to się możesz co najwyżej w dupę kopnąć.

– Valerie... jesteś obserwatorem. To obserwuj, ale przestań narzekać. Idź, jakiś raport napisz, prześlij gdzieś, zajmij się czymś...

– Coś ty taki mądry nagle się zrobił?

– Bo wszystko idzie zgodnie z planem.

Val zapatrzyła się na niego zdziwiona.

– To był plan? Jakiś pojedynek? Na jakiejś zapomnianej planecie?

– Nie – skrzywił się Keller – to była improwizacja. Ale dziękuję, poszło nieźle.

– Czyli co teraz?

– Teraz... teraz muszę przeprosić Beatrix.

– Obawiam się, że nie będzie chciała z tobą rozmawiać.

– Też tak sędzę. Dlatego ty się za mną wstawisz, siostrzyczko.

– Prędeż pękne! – warknęła Valerie.

Jednak ciało ludzkie jest nad wyraz wytrzymałe i Val nie dotzymała obietnicy. Kiedy wylądowali na Pontifexie, nawiązanie kontaktu z Beatrix stało się jej priorytetem. Niestety, próby dodzwonienia się do pałacu, czy też wysyłanie liścików nie przynosiło żadnego efektu. W końcu Val zaczęła się przy wejściu do pałacu i zaczęła, aż Beatrix wyszła do miasta. Właściwie to poleciała pałacowym jumperem i podążająca za nią taksówką Valerie musiała trochę się sprężyć, żeby ją dogonić. Z trudem, ale udało się. Beatrix wylądowała przed budynkiem teatru. Valerie przeciskała się przez tłum wchodzących, co chwilę tracąc ją z oczu. Potrąciła jakąś korpulentną matronę, która syknęła złowrogo.

Dopadła Beatrix tuż przed wejściem i zastąpiła jej drogę.

– Valerie – zdziwiła się chłodno papieska córka. – Niech zgadnę. Twój brat nie ma śmiałości się ze mną skontaktować, więc wysłał cię jako pośrednika.

– Zatem wstęp mamy za sobą – uśmiechnęła się Val.

Beatrix popatrzyła chwilę i w końcu odwzajemniła uśmiech.

– Nawet nie próbował – wytknęła.

Val parsknęła.

– Uznał, że jesteś na niego tak zła, że to mu się nie uda. Jest bardzo praktyczny. Więc tak, wysłał mnie.

– Powiedz mi coś, Valerie... – Beatrix nachyliła się i ściszyła głos. – Czy to naprawdę jest twój brat?

– I właśnie dlatego powinniście się spotkać – odpowiedziała Val, zachowując kamienną twarz.

Twarcz Beatrix ściągnęła się w wyrazie zamyślenia.

– Rozważę to – powiedziała nagle. – A zmieniając temat, może zechcesz obejrzeć ze mną sztukę?

Val przez chwilę szukała wymówki, ale potem stwierdziła, że właściwie dobrze by jej zrobiło oderwanie się od rzeczywistości.

– Nie mam biletu – oznajmiła.

– To się da załatwić. Mam całą lożę dla siebie, a w niej sporo miejsca. Mam parę przywilejów – dodała na widok zdziwienia malującego się na twarzy Val. – A nie lubię oglądać w tłumie.

– Czyli będę ci przeszkadzać?

– Gdyby tak było... – Beatrix złapała Val pod rękę i pociągnęła do wejścia – po prostu bym cię nie zaprosiła.

Valerie pozwoliła się poprowadzić. Zastanawiała się, czy Keller będzie się związał ze złości, czekając tak długo na wyniki jej spotkania, ale stwierdziła trochę złośliwie, że dodatkowe dwie godziny porządnego zmiękcza.

– Co to za sztuka? – zapytała, kiedy wchodziły po kręconych czerwonych schodach na piętro. – Komedial? Dramat?

Beatrix westchnęła.

– Tytuł to „Zmartwychwstanie” – oznajmiła bolesnym tonem.

Valerie przeklęła swoją naiwność, zapowiadały się najgorsze dwie godziny jej życia, na sztuce o temacie tak wyeksploatowanym przez milenia, że aż zrobiło jej się niedobrze.

Beatrix dostrzegła popłoch, który zagościł w oczach jej towarzyszki, bo uśmiechnęła się uspokajająco.

– Spokojnie. Łoża ma ekran dźwiękochłonny, włączymy go. „Zmartwychwstanie” wykonywane jest przez bardzo uznaną trupę, po prostu wypadało mi tu być. Zabijemy ten czas rozmową, co ty na to?

Roześmiała się na widok ulgi jaka odmalowała się na twarzy Valerie.

Teatr wykonany był na planie półkola. Z piętra Val mogła obejrzeć salę pod nimi oraz pozostałe łoże. Ludzi na sali przybywało, miejsca się zapełniały, łoże również. Widzowie w tych ostatnich włączali nieprzezrocyste ekrany, których zadaniem było uniemożliwić zagłądanie do wnętrza. Beatrix zrobiła to samo. Według jej zapewnień, obie były teraz niewidoczne dla pozostałych widzów, same za to mogły oglądać przedstawienie, a nawet swobodnie rozmawiać.

Val rozejrzała się. Ich łoża była nieduża, znajdowały się tu jedynie trzy fotele i barek. Do niego właśnie skierowała się Beatrix. Wyciągnęła z niego szampana i dwa kieliszki, które wręczyła Val.

– Nie masz nic przeciwko? – zapytała.

– Otwieraj – wyrwało się Val.

Parsknęły śmiechem. Beatrix sprawnie otworzyła butelkę, korek strzelił i odbił się od ekranu. Rozlała szampana do kieliszków, wyjęła jeden z ręki Val i zwała się ciężko na fotel, podobnie jak Valerie. Stuknęły się i napiły.

– To chyba jedyne miejsce na planecie, w którym czuję się swobodnie – oznajmiła Beatrix. – Mam wrażenie, że wszędzie obserwują mnie oczy papieskich służb, ale tylko tutaj mogę złapać trochę wytchnienia.

– Skąd ta pewność? – zapytała ostrożnie Val. – Przecież mogą i tutaj zainstalować swoje pluskwy.

– Tak. Ale pracuje tu jeden młody chłopak... mój wielbiciel. Trochę przyjaciel. Sprawdza dokładnie łoże przed moim przyjściem. Bardzo dokładnie.

– Każdego można przekupić.

– Och, tak. Ale on... on jest we mnie zakochany. Beznadziejnie, oczywiście. W sensie – bez wzajemności. Pomijając nawet mój status społeczny, a tym samym fakt, że nigdy nic z tego by nie

wyszło... on po prostu mnie kocha. I doskonale wie, że ja jego nie. A jednak... robi dla mnie pewne rzeczy, kiedy go potrzebuję. Wiesz co mawiali o starożytnych rycerzach? Że każdy miał w życiu trzy kobiety. Żonę, kochankę i damę swego serca. Ja chyba jestem właśnie taką damą serca.

– A jeśli jest podstawiony? Jeśli podesłały ci go służby?

– Czasem się tego boję, ale... naprawdę nie mam już nic do stracenia. Według niektórych i tak żyję zbyt długo. Aż dziwne, że do tej pory nie spotkał mnie jakiś przykry wypadek. Najchętniej zrobiliby ze mnie zakonnice i zamknęli w klasztornej celi, a potem przestali karmić, żeby problem – że tak powiem – sam zdechł. Ale to już naprawdę jedyne miejsce, w którym mam odrobinę prywatności. Nie chciałabym się co do tego mylić.

Val nie była o tym przekonana. Ludzi można przekupić, można ich szantażować. Te dwie dźwignie działały w większości przypadków bardzo skutecznie. Na wszelki wypadek postanowiła nie poruszać tematów związanych z pobytem załogi Truposza na Pontifexie. Ale Beatrix najwyraźniej nie o tym chciała rozmawiać. I chyba nie o Kellerze, czy też – Ianie Mooksteinie. Raczej potrzebowała się najzwyczajniej w świecie wygadać i to było Valerie na rękę. Spojrzała na kieliszek, którego zawartość ewaporowała w tajemniczych okolicznościach. Sięgnęła po butelkę i napełniła naczynie.

– Jak to jest? – zapytała.

Nie musiała precyzować, i tak było wiadomo, o co chodziło w pytaniu.

Beatrix zapatrzyła się na scenę, na której rozpoczynał się właśnie pierwszy akt. Val przez chwilę myślała, że kobietę coś tam zainteresowało, ale po prostu zbierała myśli.

– Jak to jest? – Beatrix powoli powtórzyła pytanie. – Z grubsza na pewno znasz historię. Córka znikąd. Córka papieża. Pojawiająca się po latach. Matka trzymająca wszystko w tajemnicy nawet przede mną, nagle na moje osiemnaste urodziny oszalała i upubliczniła wszystkie związane z tym materiały. Spotkania. Nagrania. Nawet – wyobraź sobie – miała nagrany sam akt prokreacji, jakąś kamerą ukrytą w alkwie. Okropność. Media rzuciły się na nią. Na mnie. I na samego papieża. Pochodziłam z mieszczańskiej rodziny, miałam wielu przyjaciół, znajomych, chłopaka, miałam życie, które mi odebrano jednym pstryknięciem palców... Nigdy nie dowiedziałam się, czemu mi to zrobiła. Szaleństwo mojej matki nie jest eufemizmem, ona naprawdę zwariowała. Oczywiście zdiagnozowano u niej dużo wcześniej chorobę psychiczną, była leczona, jednak nigdy nie przypuszczałam, że targnie się na swoje życie. A tu nagle, w dniu moich urodzin, będąc na zakupach, dowiedziałam się z mediów, że popełniła samobójstwo. Tak po prostu. A przecież moja matka nie była nikim ważnym, nie wiedziałam, dlaczego jej twarz znajdowała się prawie na każdym *videowallu* w mieście. Rozłożyło mnie to zupełnie. Rozpacz, panika, telefony, znajomi. A kilka godzin później wybuchła wiadomość o moim pochodzeniu... Sprawa została tak upubliczniona, że każdego dnia wstawałam zapłakana. O ile przespałam noc. Nagle stałam się grzechem papieża. Namacalnym grzechem, o którego odpuszczenie modli się prawie codziennie. Publicznie, bo

prywatnie ma to w nosie. Zdołali obrócić to na jego korzyść, a ze mnie uczyniono córkę ladacznicy. Oczywiście aby wykluczyć pomyłkę robili mi badania genetyczne. Ale media były nieufne. Przekupywano moich znajomych, moja najbliższa przyjaciółka wykradła mi włosy ze szczotki, żeby brukowce mogły sobie zrobić własne testy. Więc część przyjaciół przegoniłam. Część odwróciła się sama, a chłopak zapobiegliwie rzucił. I chyba dobrze, bo pewnie to jego rzucono by gdzieś z mostu. Zamieszkałam w pałacu papieskim. Powrót córki marnotrawnej. Szybko stało się jasne, jakie życie mam prowadzić. Nie pchać się w oczy papy. Znosić docinki kardynałów traktujących mnie jak psie łajno, burknięcia służących. Mam wrażenie, że na początku służby spanikowały i ich szefowie nie bardzo wiedzieli, co zrobić. Wdali się w dyskusję z mediami. Gdybym była wtedy poza Pontifexem, na jakiegokolwiek innej planecie, pewnie spotkałoby mnie przykre zatrucie pokarmowe, nóż w plecach albo usterka techniczna w pojeździe. Ale będąc pod ręką... zabicie mnie rzuciłoby cień na pontyfikat Pawła Konstantego. Dlatego pilnują mnie jak oka w głowie. Zawsze ktoś szwenda się w pobliżu. Zawsze mam ogon, szpiega. Jeśli akurat nie jest to człowiek, to obserwują mnie kamery. Myślę, że mają tam cały wydział ludzi odpowiedzialnych za pilnowanie mnie, raz na miesiąc przechodzę badania psychiatryczne, które są – jak przypuszczam – po to, żeby upewnić się, czy nie planuję samobójstwa. Bo to byłoby im nie na rękę.

Beatrix przerwała i wypila szampana duszkiem. Val zawtórowała i znowu dołała do pełna.

– Trzymają na dystans każdego, kto w jakikolwiek sposób się do mnie zbliża. Gdy tylko się pojawia, natychmiast odchodzi. Przychodzą do niego, składają propozycję nie do odrzucenia, proszą i grożą. Przez dziesięć lat znalazło się kilku takich, co myślało, że poderwą papieską córkę. Oczywiście nie miejscowych... I zawsze kończyło się tym samym: przyspieszonym opuszczeniem planety. Czasem bez słowa. Czasem próbowali się pożegnać, kłamliwie się wykręcając. Nauczyłam się rozpoznawać to spojrzenie. „Przykro mi, Bea, że ci namieszałem w głowie, ale to między nami nic nie znaczyło”. A na dnie oczu pali się strach. Był jeden taki, co nie dał się zastraszyć, ale został deportowany pod jakimś zarzutem. Wiesz, co jest najgorsze? Mają mnie tak bardzo za nic, że nawet nie powiedzieli mi czegoś w stylu: „Słuchaj, Beatrix. Stało się, jak się stało, masz przesrane. Nie będziesz mieć faceta do końca swoich dni, a ze względu na tatusia, my zadbamy, żeby tych dni było jak najwięcej”.

Przejechała dłońmi pod oczami, jakby przecierając nieistniejące łzy.

– I nagle pojawił się twój brat, Ian Mookstein.

Valerie zrobiła się niespokojna. Cholera, lepiej, żeby ten jej znajomy naprawdę odpluskwił to pomieszczenie. Jeśli coś palnie...

– Pomyślisz, że jestem głupia. Że jestem zdesperowana, że wystarczy odrobina czułości skierowana w moją stronę, a już zakochuję się jak głupia siksa.

– Nie... – usiłowała zaprotestować Val, ale westchnęła ciężko i przytaknęła. – Tak. Tak właśnie myślałam, przepraszam.

– Nie gniewam się – zachichotała Beatrix. – W mojej sytuacji to wydaje się być oczywiste. Czy to nie jest naturalne, chcieć mieć kogoś dla siebie? Mieć do kogo się przytulić, zwierzyć się. Mieć dla kogo żyć?

Val skinęła głową. Sama nie wchodziła w stałe związki, z naciskiem na „stałe”. Zawsze jednak trafiał się ktoś, komu może niekoniecznie można było się zwierzyć, ale służył ramieniem, w które można się wtulić od czasu do czasu. Albo inną częścią ciała. Potrzebę Beatrix mogła doskonale zrozumieć. W wyobraźni zapaliły się szare oczy Craftsheeka i skrzywiła się do swoich myśli.

– A mi tego zabroniono. Dziesięć lat pod kluczem. Wiesz, kim chciałam być, zanim to wszystko pierdyknęło? Pilotem. Wiem, mało oryginalnie. Marzyłam, że zostanę certyfikowanym pilotem, w wieku lat szesnastu miałam już zdane pierwsze egzaminy. Rośliłam sobie, że zatrudnię się na jakimś liniowcu... Jasne. Od dziesięciu lat wyleciałam jedynie kilka razy na redę Pontifexa. Ale wracając do tematu... twój brat, czy nie brat... Ian. Ma coś w sobie. Wiem, że załatwia tu jakiś interes. Ten cały pojedynek... słyszałam jedynie, jak się skończył. Noskow wrócił przed wami i jeden z jego żołnierzyków zdążył się wygadać. Ale po co Ian to zrobił? Wyglądało, że dlatego, że ten Fidorow mnie obraził. Ale już sama nie wiem. Wiem jedno, że Ian ma coś w oczach... jestem prawie pewna, że służby już z nim rozmawiały na mój temat. Ale nie ma tam strachu. Jest za to jakiś żar i stal. Ten facet nie wygląda na takiego, co ustąpi. A ja się tego boję. Bo oni go zabiją, jeśli nie będą mieli innego wyjścia. A z drugiej strony coś w tych oczach mówi, że... gdy dojdzie do konfrontacji, nie zawaha się obrócić w popiół całej tej cholerniej planety. Rozumiesz? Upiłam się – zakończyła rozbrajająco.

– Słuchaj, czy to przedstawienie jest aż tak ważne? – zapytała Val.

– Pieprzyć przedstawienie – warknęła Beatrix.

– Chodźmy stąd.

– Dokąd?

Val westchnęła i dopiła swój kieliszek.

– Dokądkolwiek. Świadomość, że zaraz będą tu kogoś przybijają do krzyża, działa mi na nerwy.

Beatrix kiwnęła głową.

*Cholera. Cholera* – myślała gorączkowo Valerie. *Bea nie wygadała za dużo, ale oby tu nie było podsłuchu.*





Ramier nie miał podsłuchu w teatrze. Właściwie to był świadomy tego, że próby instalowania pluskiew w łoży Beatrix kończyły się porażką i wiedział, kto jest za to odpowiedzialny, ale miał to w nosie. Może nie było to profesjonalne, ale kiedyś postanowił dać dziewczynie tę odrobinę cholernej przestrzeni. Zawsze bywała tam sama, z kim miała spiskować? Z lusterkiem w pudernicze?

W tej chwili jednak ten temat zupełnie nie zaprzętał mu głowy, ponieważ siedział przed nim handlarz z Remusa i pośrednik w handlu relikwiami o pokaźnej wartości w jednej osobie.

– Ekspertyza jeszcze trwa, panie Mookstein.

– A jak długo jeszcze potrwa, panie kardynale?

Ramier zachnął się, słysząc ten pełni ironii tytuł, którego gość użył zamiast zwyczajowego „eminencji”. Ta mała bezczelność zachwiała trochę jego pewnością siebie. Mookstein znowu dawał do zrozumienia, że się nie boi i nie ma zamiaru się kajać. Wykrzywił usta. Keller o mało nie zrobił podobnego grymasu, zastanawiając się, czy nie przegina.

– Jutro powinniśmy mieć wyniki. Oby zadowolające.

Keller wzruszył ramionami.

– Będą zadowolające. Możemy uzgodnić formę płatności?

Ramier spojrzał na niego uważnie.

– Pan naprawdę jest przekonany o oryginalności relikwii, prawda? Słucham zatem. Co pan proponuje?

– Czterdzieści jednomilionowych kart bankowych Pretorii.

– Rozsądny wybór, nie do namierzenia, na okaziciela, honorowane praktycznie wszędzie.

– Jestem rozsądnym człowiekiem, eminencjo.

Ramier kiwnął głową z namysłem i postanowił przeskoczyć na inny temat.

– Słyszałem o pana pojedynku.

– Dziękuję.

– Chodzi mi o co innego. Pamięta pan naszą rozmowę o Beatrix, prawda? Ciekawi mnie, że jeszcze niedawno deklarował pan, hm... niezupełną szczerłość w tym związku, a potem rzucił pan wyzwanie jednemu z gości, by bronić godności dziewczyny. Mógłby pan mnie oświecić?

Keller patrzył pustym wzrokiem na kardynała, prawie przewiercając go na wylot.

– Eminencjo, nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia, ponadto, co rzekłem wcześniej. Chyba że to spowiedź? – zazartował kiepsko.

– Myślę, że chciałbym zostać pańskim spowiednikiem, panie Mookstein.

W oczach Ramiera Keller dostrzegł złość i uznał, że na dziś dość już przesady.

Westchnął.

– Nasze ustalenia co do jej osoby są ciągle w mocy.

Ramier rozluźnił się odrobinę, a Keller zastanowił, ile jeszcze zajmie ta zabawa w kotka i myszkę, zanim kardynał przejrzy jego zamiary co do Beatrix.

– Jeśli ekspertyza okaże się w porządku, dostanie pan swoje czterdzieści pretoriańskich kart, Mookstein. Jutro się z panem skontaktuję. A teraz proszę mi wybaczyć, mam ważne sprawy.

Mookstein wybaczył i podniósł się z fotela.

– Czekam na kontakt, Wasza Eminencjo.

Skinął uprzejmie głową i opuścił pokój Ramiera.

Stojący za drzwiami służący odprowadził go do jumpera.



Keller i Beatrix spotkali się w Ogrodach Papieskich późnym popołudniem. Niewiele rozmawiali, bo oboje wiedzieli, że nie jest to odpowiednie miejsce na szczerą rozmowę. Ale musieli zabić czas, więc postanowili się przejść. Będąc świadomi otaczających ich czujników, nie mogli się skupić. Spacer się dłużył. Idąc wzdłuż szeregu papieskich grobowców, zawędrowali tak daleko, że Keller, czytając kolejne imiona świętobliwych mężów i daty ich pontyfikatów, miał nieodparte wrażenie, że cofa się w czasie. Rok 2105. Papież Maurycy I. Rok 2090, papież Sylweryusz II.

Wszystkie grobowce wykonane były na jedną modłę. Płaski postument, nad którym wznosiło się marmurowe zadaszanie wsparte na czterech kolumnach. I tablica nagrobna, na której złotymi literami wypisane było imię papieża i jego motto. Ponad nimi, w prawym górnym rogu, widniał papieski herb.

Dotarli do końca alei i skręcili w lewo. Zwolnili. Na jednym z grobowców przed nimi siedział jakiś mężczyzna. Ubrany w czarną sutannę gapił się w ziemię. Czekał. Słyszając odgłos ich kroków, uniósł głowę i uśmiechnął się drapieźnie.

– Ojciec Ettore Conti – powiedział Keller, podchodząc. Przytrzymał lewą ręką dłoń Beatrix, którą chciała zabrać z jego ramienia. – Co też ojciec tu robi w ten uroczy wieczór?

– Rozmyślam. – Rozłożył ręce Conti.

– Profanując grób jednego z zasłużonych ojców świętych? – zaatakowała Beatrix.

– Poczuję się niezbyt dobrze i musiałem usiąść. – Conti nie przestawał się uśmiechać.

– Na kogóż to padł wybór? – zapytał Keller i zerknął na napis. – Benedykt XVI. *Cooperatores Veritatis*

– przeczytał na głos i przetłumaczył. – Współpracownicy prawdy.

Obejrzał herb Benedykta, którego tarcza podzielona była na trzy części – na jednej znajdowała się głowa Murzyna, na drugiej brązowy niedźwiedź, a pod nimi żółta muszla.

– Zna się pan na heraldyce, ojciec Conti?

– Niestety nie – wyszczerzył się zapytany. – Choć zapewne powinienem.

– Co też ojca zatrzymało akurat w tym miejscu? – Keller rozglądał się z zaciekawieniem. – Benedykt XVI był chyba jednym z niewielu papieży, którzy ustąpili z urzędu i nie dotrwali w papieżstwie do końca życia.

– Wydaje mi się, że został *Pontifex Romanus emeritus*, to znaczy papieżem emerytowanym – wtrąciła Beatrix. – Zatem w pewnym sensie wytrwał.

– A może – Keller spojrzał w lewo – przyciągnął tu ojca papież Franciszek?

– Którego prawdy rzekomo stały u podwalin Wielkiej Schizmy – podsunęła usłużnie Beatrix.

Keller minął Contiego i podszedł do kolejnego grobowca.

– Lub może ten święty mąż – wskazał palcem tablicę – *Totus tuus*. Cały Twój. Bardzo skromny herb.

Złoty krzyż z literą „M”. Jan Paweł II.

– Który był pierwszym po kilkuset latach biskupem Rzymu niebędącym... – zastanowiła się – Włochem.

Tak chyba nazywała się ta narodowość.

– Proszę, proszę. – Conti pokiwał głową. – Co za niesamowita wiedza, będzie czym się pochwalić dzieciom.

Przez twarz Beatrix przebiegł cień. Zaciśnęła dłoń mocniej na ramieniu Kellera.

– Czego pan chce? – warknęła.

– Ja? Ależ zupełnie niczego. Wpadliśmy na siebie przypadkiem. Jak interesy, panie Mookstein?

– Dziękuję, znakomicie.

– To dobrze. Doszły mnie słuchy, że uda się panu jutro załatwić jeden z nich. Gratuluję.

Keller skinął głową, jakby zgadzając się z tymi słowami, i jednocześnie potwierdzając ich wcześniejszy układ. Krótki uśmiech wykwitł na jego ustach i zniknął jak zdmuchnięty.

– Swoją drogą – ciągnął Conti – zastanowiła mnie pani swoją znajomością herbów.

Wstał, obrócił się i popatrzył na tablicę nagrobną Benedykta.

– Ten Murzyn w koronie... co on może symbolizować?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Beatrix.

– Nie wygląda wam złowrogo? Taka złowroga czerń.

– Nic mi to nie mówi. Chodźmy, Ian – Beatrix pociągnęła Kellera z ręką.

Odeszli dalej, zostawiając ojca Conti zapatrzonego w nagrobek.

– Czy on jest zdrowy psychicznie? – zapytała Beatrix, kiedy oddalili się na bezpieczną odległość.

– Nie wygląda – odrzekł spokojnie Keller. – Wyjdźmy stąd i chodźmy do miasta. Val czeka.

Wewnątrz jednak Keller się zdenerwował. Właśnie otrzymał dwie wiadomości. Pierwsza była taka, że ekspertyza została zakończona, i transakcja jutro dojdzie do skutku. Druga była najwyraźniej

ostrzeżeniem, ale Conti, świadom obserwacji służb, nie mógł przekazać jej jaśniej.



Wieczór był chłodny. Keller pożegnał Beatrix na jednej z głównych ulic miasta, zostawiając ją samą i odchodząc w stronę hotelu. Bea rozejrzała się. Gdzieś tu w okolicy było kilku śledzących ją agentów, była o tym przekonana, wręcz czuła ich wzrok. Ale dobrze się kamuflowali. Mimo że zbliżała się noc, miasto tętniło życiem, ciężko przyłapać na obserwacji profesjonalistę, który miał możliwość ukrycia się w tłumie przechodniów. Założyła na głowę kaptur swojej długiej, pstrokatej opończy, otuliła się szczelniej, osłaniając od zimnych podmuchów wiatru. Pogoda sprzyjała pomysłowi Val. Zresztą ta opończa to był jej pomysł.

Stojąc po drugiej stronie ulicy przy stoisku z preclami, marzył agent Jorgos. Nie ubrał się wystarczająco ciepło na dziś wieczór, aura rzadko płała takie figle na zazwyczaj ciepłym Pontifexie. Powolny spacer Beatrix z tym cudacznie ubranym dandysem z Remusa sprawiał, że było jeszcze zimniej.

Dlatego ucieszył się, kiedy zobaczył, że w końcu się rozdzielili, a kobieta wchodzi do olbrzymiej galerii handlowej. Natychmiast podążył za nią, o mało nie gubiąc jej wśród kupujących, ale Beatrix była wysoka, a kaptur wyróżniał ją w tłumie.

Kobieta przystanęła przed stoiskiem z sukniami i przebierała wśród nich przez chwilę. To była jedna z jej rozrywek, do której agenci przywykli. Raz czy dwa razy w ciągu dnia lubiła po prostu zajrzeć do przypadkowych sklepów i kupić jakiś drobiazg.

Beatrix zgarnęła suknię i udała się do przymierzalni. Agent Jorgos (ten z gatunku słabo opłacanych) zatrzymał się przy stojaku z okularami przeciwsłonecznymi i niespiesznie zaczął je przymierzać jedne po drugich. Spojrzał na zegarek. Niebawem nadejdzie jego zmiennik.

Prawie nie zauważył, jak Beatrix wyszła z przymierzalni i sprężystym krokiem ruszyła do wyjścia. Nie zaprzętnął jego uwagi fakt, że ciągle miała na głowie kaptur. Pewnie dlatego był słabo opłacany.

Valerie, przebrana w opończę Beatrix, ruszyła na wycieczkę po mieście. Pochyliła głowę jak najniżej, i modliła się, żeby pilnujący Beatrix agenci nie zorientowali się, z kim mają tak naprawdę do czynienia. Val na dziś wieczór miała jasno określony plan – dać jak najwięcej czasu Kellerowi i Beatrix.

*Valerie Joon – specjalność: schadzki* – pomyślała Valerie, wychodząc na ulicę i spowalniając krok. *Plan prosty jak drut, za to skuteczny od tysiącleci. Och, czuję, że to będzie długi spacer. Będziesz mi coś winien, Janie Niech Cię Szlag Sandomierski.*

Beatrix wyglądała za drzwi przymierzalni i czekała. Poczekwała, aż kilku podejrzenie wyglądających mężczyzn i kobiet wyjdzie ze sklepu, potem naciągnęła na siebie czarną opończę pozostawioną na wieszaku przez Val i, garbiąc się i powłócząc trochę nogą, wyszła ze sklepu.

Skierowała się w stronę hotelu znajdującego się kilka przecznic dalej, gdzie w pokoju numer 232 czekać miał na nią Ian. W myślach dziękowała Val za ten głupiutki plan, który miał jej dać chwilę samotności i możliwość wyrwania się spod ciągłej obserwacji papieskich piesków. A może wreszcie możliwość szczerzej rozmowy z Ianem Mooksteinem? Cholera, liczyła na to! Na tę rozmowę. Potrzebowała jej.

Ale kiedy zapukała dyskretnie w hotelowe drzwi i kiedy Ian bez słowa wciągnął ją do środka, wszystkie słowa i pytania wyparowały z niej jak rosa w promieniach słońca.

Patrzyła na mężczyznę z bliska, w jego oczy, w których zwykły chłód rozpuścił się właśnie zupełnie, stopniał i zamienił w... w co?

– Nie podrzyj mi ubrań – poprosiła. – Muszę w nich wrócić.

Ale to była niewykonalna prośba. Opończę zdążyła zdjąć sama. Kiedy rozplątywała pas jego nowego kontusza, on zdołał rozpiąć suknię na jej plecach tylko do połowy i szarpał się z zamkiem. Uporała się w końcu z tym nibypłaszczem, a Ian musiał na chwilę zabrać z niej rękę, co było strasznie przykre. Przysunęła się bliżej i pocałowała go namiętnie i przeciągle. Próbowwała się uporać z guzikami żupana, ale w końcu sam zaczął jej pomagać jedną ręką, drugą próbował nadal rozpiąć jej suknię. Więc tym razem to ona, nie przerywając pocałunku, pomogła jemu. Klęknął przed nią, zsuwając z niej suknię, za to ona ściągnęła nie do końca rozpięty żupan przez jego głowę. Wpadli na łóżko. Stojąca obok na szafce staromodna lampka spadła na podłogę. Beatrix, przebierając nogami jak świerszcz, zdjęła buty, jeden po drugim. Ściągnęła z Iana jego śmieszne, szerokie portki, a on w międzyczasie rozpiął jej biustonosz, zyskując plusa za szybkość oraz za tę samą szybkość minusa, bo oczywiście na kimś to wcześniej musiał ćwiczyć.

A kiedy zdarli już z siebie wszystko, i kiedy zatonęli w sobie, ta myśl i wszystkie inne odpłynęły gdzieś daleko, zostawiając tylko fizyczną bliskość. Nie, nie tylko. Beatrix czuła coś więcej i, co dziwniejsze, wiedziała, że Ian czuje to również.

Opamiętanie przyszło dużo, dużo później, kiedy zadzwoniono z recepcji, z informacją, że sąsiedzi

skarżą się na hałasy.

I kiedy się już pośmiali, kiedy mogli już tylko leżeć obok siebie wyczerpani, mogli w końcu porozmawiać. Keller był szczery, tą męską szczerością, która zakazuje mówić wszystkiego, a Beatrix, wiedzona kobiecą intuicją, wołała o pewne rzeczy nie pytać...

A gdy już skończyli rozmawiać, kiedy naopowiadali się o sobie wzajemnie wystarczająco dużo na pierwszy raz, w końcu pomyśleli, że czas zwolnić Valerie z przykrego obowiązku. Zaczęli się ubierać, niechętnie i z ociąganiem, trochę sobie pomagając, trochę całując, ciągle się dotykając.

– Już czas – mruknęła Beatrix. – Muszę iść, bo Val będzie narzekać.



\* \* \*

– Nogi weszły mi w dupę – narzekała Valerie, zbliżając się do miejsca, w którym miały znowu zamienić się ubraniami i wywieść w pole śledzących Beatrix agentów. – Jest zimno, mimo że zrobiłam tyle kilometrów, że powinnam się rozgrzać. I jestem głodna. I mam nadzieję, że Bea już jest na miejscu.

Była.



Na drugi dzień Craftsheek masował jej obolałe stopy. Wybrała złe buty. Obcasy nie są dobrym pomysłem na długie wyprawy.

– Ty powinienes to robić, Ianie Mookstein – zawołała na widok Kellera wychodzącego ze swojej sypialni. – A tak w ogóle to mam nadzieję, że było warto.

– Było. – Keller się uśmiechnął i, widząc męczącego się Craftsheeka, dodał: – Mireus zrobi to znacznie lepiej.

Coś radosnego pojawiło się w tym uśmiechu. *To oczy* – pomyślała Valerie. *Są cieplejsze. Ciekawe, czy to Beatrix, czy efekt wyprawy na Cwiet?* Wolała jednak nie dopytywać. Zamiast tego spytała rzeczowo:

– To co zrobimy teraz? Co z gwoździem i Ramierem?



Ramier jadł właśnie śniadanie w towarzystwie Ettore Contiego. Dokładnie tak. On jadł, a ojciec Ettore towarzyszył, zerkając od czasu do czasu z zaniepokojeniem na znikające z talerza kardynała ociekające tłuszczem kielbaski, plasterki chrupkiego boczku i jajecznicę. Zapewne z prawdziwych jajek i zwierząt, kardynał nie kłałby sobie żołądka syntetyzowanym jedzeniem. Ramier otarł usta serwetką i siorbnął z kubka jakiś ciemnobrązowy płyn.

– Może się przyłączysz? – zapytał Ramier w przyływie dobrego humoru. – Zaraz zawołam, żeby przynieśli nakrycie.

– Dziękuję, Eminencjo, już jadłem – wykręcił się grzecznie Conti. Tak naprawdę nie był pewny, czy ich rozmowa potrwa wystarczająco długo.

– Widzę, że tutejszy klimat ci służy. Wydaje mi się, czy przytyłeś trochę na naszym wikcie?

Conti uśmiechnął się uprzejmie, nie odpowiadając. Ostatnie zdanie wydawało się zawierać w przekazie nawiązania do takiego terminu jak „darmozjad”, dlatego wolał się nie odzywać.

Ramier sięgnął po sztućce, nadział widelcem coś na talerzu i znowu wpakował do ust.

– Jak ci się widzi ten Mookstein, co?

– To on, bez dwóch zdań. Owszem, nie on mnie porwał, ale na pewno ktoś z nim związany. Robi wokół siebie za dużo szumu. Bezczelny typ, prawda?

– Ty mnie pytasz, Conti? Ty masz zdać relację. Ale fakt, bezczelny.

– Z mojego wywiadu wynika, że tylko oni coś knują.

– Tyle to ja wiem, czytałem twoje raporty. – Ramier nalał sobie soku ze stojącego obok dzbanka. – Przygotowałeś wszystko do dzisiejszej wymiany?

– Tak jest, Wasza Eminencjo. Już wczoraj skontaktował się ze mną ojciec Punito. Wiem, że relikwia

okazała się autentyczna... czy oni wykradli ją wcześniej? Skąd?

- Do tej pory znajdowała się w posiadaniu Watykańczyków.
- Nie chwalili się stratą.
- My też byśmy się nie chwalili. Chyba że nie wiedzą, że coś im zginęło.
- Nie tylko ukradli, ale i podmienili? Kim oni są?
- To postarasz się ustalić. – Ramier upił soku. – Twoja kolejna misja ponownie będzie się wiązała

z opuszczeniem Pontifexa. Ale tym razem fundusze będą lepsze.

Conti pochylił głowę.

– Najpierw jednak rzeczy ważniejsze... Powiedz mi, drogi Ettore, czy ty aby nie dogadałeś się z nimi na jakiś procent?

Conti pozwolił, aby na jego twarzy odmalowały się kolejno: zaskoczenie, urażona duma i odrobina obrazy. Niezbyt dużo.

- Wasza Eminencja raczy wątpić w moją wierność?
- W wierność? Może i nie. Ale chciwość czasem skłania nas do niegodnych rzeczy, mój chłopcze.

Conti otworzył usta, usiłując skłamać coś o swoich najszerszych intencjach, ale Ramier uniósł uspokajająco rękę.

- Idź już, Ettore. Zrób, co masz zrobić.



Posłaniec kardynała, który zjawił się w hotelu, był z wyglądu nijaki. Szczupły, czy może nawet chudy, o wyrazie twarzy przywodzącym na myśl porzuconego psa.

Kiedy Keller otworzył drzwi, mężczyzna nawet nie podniósł głowy, tylko wyciągnął rękę, w której ścisnął plastikową kartę, na której czerwienił się herb kardynalski Ramiera – szeroka tarcza, kapelusz o szerokim rondzie, krzyże po bokach. Keller wyjął kartę z ręki przybysza, a ten natychmiast obrócił się na pięcie i zniknął bez słowa w hotelowym korytarzu.

– Co to? – zapytała Valerie, podnosząc się z fotela.

– Wiadomość – powiedział Keller, wkładając kartę do ściennego czytnika.

Ściana rozbliżyła i wyświetliły się na niej godzina i adres spotkania.

– Dziś wieczorem – powiedziała Val.

Keller podzielił ekran na dwie części i wyświetlił mapę.

– Późnym wieczorem – uzupełnił. – Dwa kilometry za miastem.

– A to znaczy?

– A to znaczy, że ekspertyza dała pozytywny wynik. Oraz to, że zapłacą. Oraz... – zwiesił głos.

– ...to, że mogą być kłopoty? – dokończyła Valerie. – Późny wieczór na przedmieściach. Czy sądzą, że jesteśmy aż tak głupi?

– Najwyraźniej tak. Ale Conti ostrzegł...

– Nie zapłacą?

– Przypuszczam, że zapłacą. Pytanie: co będzie potem?

– Potem? – Val spojrzała na Kellera. – Ty serio chcesz tam się stawić? Odebrać pieniądze?

– No pewnie. Ale będziemy potrzebować broni.

– Aha. Pewnie. – Valerie podeszła do okna. – A broń załatwimy skąd?

Keller uśmiechnął się do niej rozbijająco.

– A broń załatwisz ty.

– Niby jak? To Pontifex. Nie kupisz tu nigdzie broni, a jej posiadanie obwarowane jest posiadaniem masy zezwoleń.

– Fidorow miał impulser i z nim łąził.

– I pewnie miał zezwolenie, bo to żołnierz. Obawiam się, że tu nawet Beatrix nie pomoże.

– Pogłówkuj, Val... Fakt, jesteśmy na Pontifexie, a więc na pewno są tutaj komórki watykańskich agentów. Wystarczy się z nimi skontaktować. Mamy na to jakieś dwanaście godzin.

– Nie da się...

– Val – przerwał jej Keller, unosząc rękę. – Oboje wiemy, że nie jesteś tylko pierwszym lepszym obserwatorem, który ma zdać raport z misji i na koniec rozliczyć się z wydatków. Według mnie jesteś jednym z pierwszoligowych agentów. Kiedy prowokowałem awanturę z Fidorowem i podeszłaś do nas, widziałem, jaką pozycję zajęłaś. Tam było kilku Caratów. Stałaś dokładnie tak, żeby mnie ubezpieczać, gdyby doszło do walki. Nie twierdzę, że stałaś w pozycji bojowej – uśmiechnął się na widok jej podniesionych brwi – ale byłaś gotowa do walki. Mogłaś w jednej chwili sięgnąć do kilku osób. I jeszcze podczas naszej wymiany zdań cały czas zmieniałaś miejsce, zgodnie z ruchami potencjalnych przeciwników, cały czas mając ich w zasięgu. Cały czas. Pomimo dynamicznie zmieniającej się sytuacji. I robiłaś to odruchowo, a takie rzeczy wchodzi w krew tylko na odpowiednich, długich szkoleniach. Przyznam szczerze, że nawet na mnie podziałało to uspokajająco. Więc nie chrzań, bo na pewno masz sposoby, żeby skontaktować się z miejscowym wywiadem.

Keller zbliżył się do niej i zajrzał z bliska w oczy.

– Musimy dociągnąć tę zabawę do końca. Watykan pogodził się z utratą relikwii, żeby wypełnić główną misję. Okej. Ale czterdzieści milionów musimy im oddać. Nie wiem, jak potraktują ciebie, może tylko zdegradują, ale nas – pokazał palcem kolejno siebie i przysłuchującego się im Craftsheeka – odstrzelą.

– Odstrzelą was, jeśli nie dostarczycie tego, po co tu tak naprawdę jesteśmy – warknęła Val. – Więc może tak łaskawie zechciałbyś powiedzieć, jak to wszystko ma wpłynąć na wyciągnięcie trupa z papieskiego ogrodu?

Keller pokiwał głową.

– Powiem ci. Gdy tylko odbierzemy pieniądze.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Val wyminęła Kellera, ocierając się o niego barkiem. Wciągnęła buty, założyła kurtkę i wyszła bez słowa. Trzasnęła drzwiami, ale wbudowany mechanizm wyhamował ich pęd i uszu Kellera dobiegło

tylko cichy odgłos przypominający cmoknięcie.

Przed hotelem Val rozglądała się przez chwilę, szukając miejsca, gdzie mogłaby skorzystać z publicznego terminala. W końcu zdecydowała, że skoczy jumperem do portu kosmicznego. Tam był największy tłum, więc mogła łatwo się ukryć.

Kiedy w końcu znalazła się w budce terminala, wystukała jeden z puli jednorazowych numerów, które musiała zapamiętać przed każdą misją. Nie miała pojęcia, kto będzie siedział po drugiej stronie, ani nawet na jakiej planecie będzie się znajdował.

Kleszcz zamontowany w głowie Valerie, oprócz bycia strażnikiem jej tajemnic, miał jeszcze jedną funkcję. Val aktywowała w myślach moduł szyfrujący i podyktowała wiadomość. Implant sparował wybrany numer z umieszczonym w swojej bazie kluczem szyfrującym i dokonał tłumaczenia.

Kiedy na ekranie terminala pojawiła się uśmiechnięta twarz kobiety, pytająca w stanlangu, czym może służyć, implant przejął kontrolę nad aparatem głosowym Val. Dziewczyna rozluźniła się. Od tej pory nie miała wpływu na wypowiedane przez nią słowa.

– Dzień dobry – powiedziała. – Szukam prezentu dla narzeczonego. To jego urodziny, będą za tydzień, potrzebuję czegoś podobnego do... – z jej ust wysypała się lawina słów, które potencjalnie mogły naprawdę opisywać doskonały prezent, w rzeczywistości jednak były kodowaną wiadomością. Val nie znała metody szyfrowania informacji, ale wiedziała, że znaczenie słów nie liczy się zupełnie. Może chodziło o konkretne litery? Może kolejność samych słów? Nie interesowało jej to. Zwykle w takich sytuacjach nie starała się zapamiętywać tego bełkotu, prawdziwe znaczenie wiadomości zostanie jej przetłumaczone przez implant później.

Wymiana zdań trwała jeszcze przez chwilę. Gdyby ktoś przysłuchiwał się tej rozmowie – a szanse, że tutejsze AI śledziły transmisje międzyplanetarne były olbrzymie – wysłuchałby przydługiej konwersacji o modnych ubraniach, dodatkach do nich i zainteresowaniach modowych nieistniejącego narzeczonego.

W końcu rozmowa się zakończyła, a implant oddał Valerie kontrolę nad ciałem. Wzdrygnęła się. Cholernie nie lubiła, kiedy kleszcz przejmował nad nią władzę. Za pierwszym razem, dawno temu, miała wrażenie, że to się nigdy nie skończy, że na zawsze pozostanie marionetką komputera, który siedzi w jej głowie. Oczywiście tak się nie stało, ale za każdym razem odczuwała dyskomfort przed kodowanymi transmisjami. Podczas jednego z testów osobowości, które jako agent musiała przechodzić regularnie, przyznała się do tej obawy. Badający ją lekarz zapisał to w jej aktach, ale dodał, żeby się nie przejmowała, bo to naturalne. Nie pomogło jej to w żaden sposób.

Wychodząc z terminala, miała w głowie dwa nazwiska i adresy rezydujących na Pontifexie agentów, którzy mogli pomóc jej w zdobyciu broni. Oczywiście Valerie wiedziała, dlaczego lista była tak krótka. Watykan zawsze zakładał, że agent pozostający w stanie uśpienia był narażony – czy też raczej podatny – na przyziemne pokusy, i łatwo mógł przejść na drugą stronę. Tak więc agenci, których nazwiska Val

poznała, mieli status, który ochrzciła sobie roboczo: „pomoga, zachować ostrożność, w przypadku wątpliwości dyskretnie eksterminować”.

Postanowiła wrócić do hotelu i zwerbować do pomocy Kellera, ale go nie było, o czym raczył poinformować ją Craftsheek. W zamian mechanik zaoferował swoje usługi, co jej się nawet spodobało. Wyjaśniła, czego od niego oczekuje.

– Zatem ruszamy. – Mechanik wyszczerzył zęby. – Dokąd?

Wybór był niewielki. Pierwszym z agentów był Anton Pawijec, zakonnik, o czym przekonali się, stając przed klasztorną furtą. Sam klasztor położony był na obrzeżach stolicy, otoczony wysokim kamiennym murem i porastającą go tutejszą odmianą bluszczu.

Craftsheek wyraził ostrożną obawę, że aby dostać się do środka i skontaktować się z Pawijcem, będą musieli wpierw porozmawiać ze zbyt dużą ilością osób – począwszy od furtiana, i oby nie skończyło się na przeorze. A przecież nie chodzi im o to, by dać się zapamiętać i potencjalnie zdemaskować.

Ubiegł tym samym Valerie, bo miała dokładnie takie same przemyślenia. Zostawili wobec tego klasztor i Antona Pawijca, licząc, że drugi agent Watykanu okaże się bardziej dostępny. W ostateczności, jeśli będzie trzeba, wrócą i zajmą się Pawijcem.

Drugi agent nazywał się Hu Zhang, najpewniej obywatel Nowego Państwa Środka, czyli stereotypowo niski mężczyzna o skośnych oczach i śniadej cerze. Mieszkał w rozpadającej się kamienicy po drugiej stronie miasta.

Jednak kiedy Zhang otworzył im drzwi, okazało się że był wysokim rudzielcem o piegowatej twarzy i lekko zezującym spojrzeniu. Miał na sobie luźną, szarą, pomiętą koszulę i bojówki wydające się widzieć ostatnie pranie w czasie papieskiej elekcji. Cały Zhang zresztą wyglądał jakby mył się od święta.

Val rzuciła zdawkowe zapytanie i dodała jakąś przydługą, z pozoru oderwaną uwagę, po której twarz Zhanga odrobinę się wydłużyła. Odpowiedział Valerie czymś równie bezsensownym i zaprosił do środka.

Hu Zhang poczekał, aż wejdą i zamknął za nimi drzwi na staromodną zasuwę. Następnie powiódł ich przez ciemny przedpokój do zagraconej kuchni. Rozejrzeli się. Na suficie i ścianach widać było wyraźne zacieki, stół zastawiony był brudnymi naczyniami, w taniej kuchence do syntetyków coś bulgotało, a dispenser parskął i ociekał brązową mazią.

Craftsheek pomyślał, że Watykan niezbyt dobrze opłaca swoich podopiecznych. Zerknął na Val. Ale ona wiedziała, że agenci rozsiani po terenie mieli różne zadania. Niektórzy umieszczani byli też w miejscach takich jak to – stanowiących punkt zaopatrzenia, a czasem dobrą kryjówkę.

– Co was sprowadza? I jak mogę pomóc? – zapytał Zhang. Akcent miał śpiewny, zabawnie przedłużał końcówki, zdradzając swoje pochodzenie.

Wskazał im dwa niezbyt czyste taborety, sam zajął trzeci. Val usiadła z ociąganiem, a Craftsheek



postanowił jednak nie skorzystać z zaproszenia.

– Potrzebujemy broni – rzuciła krótko Val. – Laserowej, dużej mocy. Trzy pistolety, może impulsery.

– I z jeden karabin. O ile się da, snajperka – dodał Craftsheek.

Val spojrzała na niego przelotnie i skinęła przytakująco głową.

– Macie pieniądze?

– A masz broń?

Zhang wzruszył ramionami.

– Ile? – zapytała Val.

– Piętnaście tysięcy – rzucił gospodarz. – I dychę za karabin. Snajperskiego nie mam, ale mam starego dobrego kusaka.

– Może być – powiedział Craftsheek.

Kusak, czyli inaczej karabin QSK-22, był często spotykany w armiach w całej galaktyce. Jedną z niezawodnych broni, zdolną strzelać laserowymi wiązkami o dużej mocy, a dodatkowo posiadającą wyrzutnię naprowadzanych markerem raketowych mikropocisków. Powstała w ostatniej dekadzie, a Craftsheek bardzo lubił jej wyprodukowanego dwadzieścia lat wcześniej poprzednika, z którego miał niejedną okazję strzelać. Stulecie oczekiwania na Jana Sandomierskiego zajmowały mu różne przyjemności. Szkolenie się w posługiwaniu się bronią było jedną z nich.

Val sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnęła plik pontifexańskich czerwonych. Przeliczyła. Z drugiej kieszeni wyciągnęła kolejny plik i dodała jeszcze kilka banknotów. Przesunęła kupkę po stole w stronę gospodarza. Ten także przeliczył pieniądze, po czym podzielił na dwie równe kupki, wstał i upchnął w bocznych kieszeniach spodni. Przeszedł do drugiego pokoju. Val również się podniosła i wraz z Craftsheekiem ruszyła za Zhangiem.

Pokój był zagracony. Jedną ze ścian, zupełnie pusta, była zapewne ekranem, ale pozostałe obwieszane były półkami, na których leżało mnóstwo pudełek, puszek, słoików i drobiazgów.

Zhang powstrzymał ich gestem, kucnął i zrolował fragment podłogowej wykładziny, odsłaniając umieszczoną tam klapę z elektronicznym zamkiem. Wiązka czerwonego światła zeskanowała jego twarz i coś zapiszczało. Klapa rozsunęła się, ukazując prowadzące w głąb schody. Gospodarz zszedł na dół, Valerie i Craftsheek znowu podążyli za nim.

Ukryty pokój Zhanga był utrzymany w laboratoryjnej wręcz czystości, wymagał zapewne tego cały zgromadzony w nim arsenał. W szklanych gablotach leżały pistolety, karabiny, i granatniki. Val dostrzegła nawet wyrzutnię raket ziemia–powietrze.

– Macie w co to zapakować czy będziecie szli z tym przez miasto? – zapytał Zhang.

– Liczyłam, że otrzymamy coś w gratisie – odpowiedziała Val.

Gospodarz westchnął cicho, schylił się pod jedną z gablot i wyciągnął nowiutki plecak. Podał go

Craftsheekowi, który natychmiast zerwał z niego folię.

Zhang wybrał trzy impulsery i dodatkowe ogniwa zasilające, i podał je Val. Wrzuciła je do plecaka.

Następnie podszedł do innej gabloty i wyciągnął obiecane kusaka, którego wręczył Craftsheekowi. Mężczyzna dokładnie obejrzał lufę i umieszczoną tuż pod nią wyrzutnię. Wyciągnął i rozłożył kolbę, oparł karabin o ramię. Był lekki, sporo lżejszy niż wcześniejsze modele.

– Baterie – powiedział Zhang, wręczając mu dwa czarne pudełka.

– Dostanę amunicję do wyrzutni?

Zhang zacmokał, zakręcił się i przyniósł dwa pełne magazynki. Każdy zawierał pięć wąskich pocisków. Wiedział, że dużym nietaktem byłoby ładować broń u handlarza, więc również wrzucił je do plecaka.

– Masz może do niego obserwatora ?

– Co wy, idziecie na wojnę? – zdziwił się Zhang, ale nie czekał na odpowiedź. Ponownie zagłębił się w gabloty i po chwili wrócił, trzymając w ręku szerokie okulary z długim kablem. Craftsheek uśmiechnął się. Obserwator był urządzeniem rozszerzonej rzeczywistości. Połączony z kusakiem, stanowił znakomite wsparcie dla strzelca. Mierzył odległość, siłę wiatru i inne czynniki wpływające na strzał. Na regularnym polu walki otrzymywał informacje bezpośrednio z satelitów wywiadowczych. Oczywiście na Pontifexie Craftsheek nie miał co liczyć na takie wsparcie..

– To będzie was kosztowało ekstra – uprzedził Zhang.

– Czy to randomizery? – zapytała Val, pokazując wiszące na ścianie obroże.

– Tak.

Zhang zdjął jedną z nich i wręczył kobiecie. Randomizer przypominał gruby kabel i był szorstki w dotyku. Valerie nie miała nigdy okazji korzystać z tego urządzenia, ale Craftsheek najwyraźniej tak. Wyjął obroże z jej ręki, nacisnął coś w kilku miejscach i założył sobie na szyję. Jego twarz zmieniła się. Nos się wydłużył, usta rozciągnęły, a włosy zmieniły kolor. Zmiany następowały płynnie i niezbyt szybko, a twarz Craftsheeka zmieniała się w powolnym rytmie. Karnacja, kości policzkowe, łuki brwiowe, kolor oczu....

Mechanik zdjął obroże.

– Weźmy trzy. – Wrzucił sprzęt do plecaka, uśmiechając się do Val.

– To nowość – powiedział Zhang. – Technologia Morfów. Molekuły fotonowe. Są drogie.

Val skinęła głową, rozwiewając obawy Zhanga. Na pewno był przyzwyczajony do tego, że goście po prezentacji arsenału nie mogli się powstrzymać przed zakupem dodatkowych zabawek.

– Wracamy na górę – powiedziała. – Zanim kupimy coś jeszcze.

Zhang zrobił zawiedzioną minę.

– No dobra – zaśmiała się Val. – Wezmę jeszcze granat termiczny. Masz szybkie alfy?

Oczywiście miał.

Craftsheek spojrział ze zdziwieniem na Val. Szybkouzbrajalny granat, zwany szybką alfą, w pięć sekund mógł wypalić obszar o promieniu dwudziestu metrów, nie pozostawiając po sobie nic prócz stopionego gruntu.

Zhang podał jej wydłużone jajo z wystającym programatorem.

– Idziemy. – Kobieta odwróciła się i zaczęła piąć po stromych schodach.

Craftsheek wdrapał się za nią, poprawiając plecak, i w końcu stanął obok Val. Z zaskoczeniem stwierdził, że dziewczyna właśnie aktywowała granat. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, ujrzał jak jednym celnym kopnięciem w twarz Valerie posyła Zhanga w głąb piwnicy. Pełen bólu okrzyk gospodarza zmieszał się z rumorem spadającego po schodach bezwładnego ciała. Val wrzuciła do piwnicy alfę i nacisnęła kontrolkę zamka przy klapie. Drzwi w podłodze zamknęły się. Kolejnym celnym kopnięciem Val przykryła zrolowaną wcześniej wykładzinę.

– Wychodzimy. – Szybko ruszyła do wyjścia.

Craftsheek nie dyskutował, tylko pobiegł za nią. Owszem, zauważył, że ściany arsenału Zhanga były wzmocnione, ale nie wiedział, ile czasu zostawiła im Val.

– Dlaczego? – zapytał w końcu, kiedy oddalili się na bezpieczną odległość i mogli przywołać miejski jumper. Z oddali nie dobiegały żadne krzyki, żadne alarmy. Najwyraźniej alfa wypaliła wszystko, co było w podziemiach.

Val odczekała kilka sekund, nim odpowiedziała.

– Miał niewiadomy status. Moi przełożeni uznali, że nie są w stanie określić, czy nie jest podwójnym agentem. Nasza misja ma większy priorytet, wobec tego należało się go zapobiegliwie pozbyć, aby nie zdradził.

– Ale nie wiesz na pewno.

– Słuchaj, Craftsheek... nie wiem na pewno. Nie możemy sobie pozwolić na ryzyko.

– Spokojnie, Val. Rozumiem.

– Jestem spokojna. Jestem spokojna jak ten kwiat fotosu na tafli jeziora...

– Lotosu – poprawił ją mechanik.

– Niech będzie: lotosu – zgodziła się Val. – Wracajmy do hotelu. Zostało mało czasu.

Jumper wylądował.



– Jak poszło? – zapytał Keller, kiedy tylko weszli do pokoju.

Craftsheek położył plecak na kanapie i zaczął wypakowywać jego zawartość.

Kapitan wziął jeden z impulserów, odbezpieczył i wymierzył w ścianę. Wyświetlacz broni wskazał pełną gotowość bojową i wyświetlił stan baterii. Naładowana.

Craftsheek złożył kusaka i podłączył do niego moduł obserwatora. Sprawdził ogniwa, włożył jeden z magazynków i, podobnie jak Keller, wymierzył w ścianę.

– Niezły wybór – pochwalił kapitan. – Będziesz nas ubezpieczał z daleka?

– Tak. – Craftsheek zabezpieczył broń i odłożył na kanapę. – Będę się trzymał z tyłu.

Keller wyświetlił na ścianie mapę okolicy, w pobliżu miejsca, gdzie mieli spotkanie.

– Sądzę, że zapłacą nam uczciwie i bez problemów – powiedział. – Dokładny adres to jedna ze starych rezydencji papieskich. Niewielki pałacyk. Zapłacą nam i wypuszczą. Wszystko zacznie się, jak weźmiemy kasę. Głupie to ich myślenie, jakby liczyli na to, że nie domyślimy się, że to oni stoją za napadem. Oficjalnie jednak zapłacili, więc... – zawiesił głos, lecz po chwili ciągnął dalej: – Tam nie dociera sieć jumperów, wylądujemy około dwóch kilometrów od celu i na miejsce dotrzemy piechotą.

– Nie możemy wynająć jakiegoś pojazdu?

– Prywatny ruch powietrzny został dziś wstrzymany, jakaś większa procesja w mieście. Sprawdziłem, nie da się nic wynająć.

– To może ukradniemy?

– Policja nas zwinie, jak tylko wystawimy nos ponad miasto. A wolę nie zostać oskarżony o terroryzm.

– Czyli jumperzy.

– Dokładnie. Wylądujemy tutaj. – Wskazał punkt na mapie. – Stąd ja i Val pójdziemy po zapłatę. Ty

będziesz w tym miejscu wcześniej. – Trącił Craftsheeka w ramię. Właściwie to wyruszysz za chwilę, znajdziesz sobie dobre miejsce i rozpoznasz teren. Wyląduj w innym miejscu i podejdź tam z buta. My polecimy za godzinę. To idealne miejsce na zasadzkę. Nie dla nas, dla nich. Dwukilometrowy odcinek drogi, otoczony drzewami, w trzech miejscach przebiega przez jakiś lasek czy zagajnik.

– Nie podoba mi się to – oznajmiła Val.

– Mi też nie – przytaknął Keller. – Ale jeśli to dobrze rozegramy, pokażemy, że nie ma co z nami zadzierać.

Valerie wciąż nie była przekonana.

– Świetnie, że wzięliście randomizery. – Keller zmienił temat. – Pełen kamuflaż?

Craftsheek potwierdził.

– Mają wbudowane komunikatory, prawda? Zsynchronizuj je – polecił Keller.

Craftsheek bez słowa rozpoczął konfigurację urządzeń, zakładając je po kolei na szyję.

Ubrania, które zamówił Keller, nie przypominały wielkopańskich kolorowych strojów. Były to wygodne spodnie, bluzy i kurtki o wojskowych krojach.

– Nie idziemy na bal – powiedział kapitan, wyciągając wszystko z szafy. – Oni też niech o tym wiedzą.



– Przyszedł Mookstein z siostrą – zaanonsował Ramierowi Conti.

Kardynał zabijał czas, czekając na ich przybycie, podczas czytania ostatnich raportów na *videowallu*. Usłyszawszy Contiego, wyłączył ekran i obrócił fotel.

– Wprowadź ich.

Ian i Valerie Mookstein zostali wprowadzeni do salonu, w którym siedział Ramier. Ojciec Ettore wskazał im fotele. Od kardynała oddzielał ich szeroki, drewniany stół, wypolerowany tak, że aż oczy bolały.

Conti cofnął się pod ścianę i stanął z boku.

– Dobry wieczór, Wasza Eminencjo – zaczął uprzejmie Keller. – Strasznie odległe miejsce wybrał pan na spotkanie.

– Witam, panie Mookstein. Widzę, że przyprowadził pan również swoją uroczą siostrę.

Ostatnie słowo wypowiedział z pewnym naciskiem, co miało zapewne oznaczać, że zdaje sobie sprawę, iż pokrewieństwo Mooksteinów jest tylko przykrywką. Keller nawet się tym nie przejął. W kontekście całej transakcji było to na tyle oczywiste, że chwalenie się odkryciem rzeczy tak nieistotnej nie świadczyło najlepiej o służbach.

– Kardynale... – Val skinęła głową, posyłając mu ciepły uśmiech, który, nie wiedzieć czemu, wytrącił Ramiera z równowagi. Znał takie spojrzenia, czujne i badawcze. Dziewczyna wyglądała na odprężoną, ale kardynał miał pewność, że w przypadku zagrożenia była szybka i zręczna jak kot.

– Wszystko przez obchody. – Duchowny postanowił odpowiedzieć Kellerowi. – Wielka Procesja, ograniczenia ruchu, tłumy na ulicach, tłumy w pałacach, spotkania. Lepszym pomysłem było spotkać się tutaj, z dala od tego zgiełku. A jak zgaduję, zależy panu na czasie?

Keller uśmiechnął się, udając, że miejsce jak najbardziej mu odpowiada.

– Ekspertyza potwierdziła oryginalność relikwii – kontynuował Ramier. – Papież jest bardzo zobowiązany.

– Mam nadzieję, że dowód tego zobowiązania ma pan przy sobie? – odpowiedziała mu Valerie.

Ramier wyszczerzył się w uśmiechu i Keller stwierdził, że puciołowata twarz kardynała w połączeniu z nierównym uzębieniem nadawała mu bardzo nieprzyjemnego, drapieżnego wyglądu.

Ramier dał znak Contiemu, który, nie wiadomo skąd, wyciągnął niebieskie pudełko z logiem Banku Pretorii. Postawił je przed gośćmi i cofnął się o kilka kroków.

Keller otworzył wieko. W środku znajdowały się błękitne karty, poukładane ciasno jedna przy drugiej. Wyjął jedną i obejrzał dokładnie nominał i hologram. Oględziny wypadły pomyślnie, więc schował ją na powrót i przesunął pudełko w stronę Valerie. Ona dla odmiany obejrzała dokładnie wszystkie karty. Zapadła cisza, która trwała, póki Val w końcu potwierdziła oryginalność kart bankowych skinieniem głowy.

– Oznacza to, że jesteśmy rozliczeni, panie Mookstein?

– Dokładnie.

– Czy pańscy mocodawcy byliby zainteresowani... pewnym zleceniem dla Pontifexa?

Keller zrobił zdziwioną minę.

– Myślę, że mógłbym ich o to zapytać, Wasza Eminencjo. Czy mogę poznać szczegóły?

– Powiedzmy... że na tym etapie powiem jedynie, że sprawa dotyczyłaby innych relikwii, równie cennych dla Pontifexa.

*Mydlenie oczu* – pomyślała Valerie. *Tak, kochamy was, jesteście świętni. A tam dalej ktoś na was napadnie.* Nie czuła się dobrze bez broni. Zostawili impulsery pod jednym z przydrożnych drzew, jakieś sto metrów od ogrodzenia pałacu. Keller stwierdził, że nawet jeśli nie przeszukają ich przy wejściu, to na pewno są tu detektory broni. Teraz, widząc pełne fałszu spojrzenie kardynała, poczuła się niepewnie. Rozchyliła połą kurtki i upchnęła w jednej z wewnętrznych kieszeni ich zapłatę.

– Zapytam, kardynale – zakończył Keller. – I prześlę panu odpowiedź.

– Zatem nie opuszczacie Pontifexa? – Ramier się uśmiechnął.

– Och, już niebawem – odpowiedział zimnym uśmiechem Keller.

– Znakomicie. Zatem życzę miłych wrażeń z pobytu i podczas Obchodów. A także – kardynał uniósł palec – czekam na obiecaną odpowiedź. To dla nas bardzo ważne.

Keller i Val stwierdzili zgodnie, że ich spotkanie dobiegło końca i podnieśli się ze swoich miejsc niemal równocześnie.

Conti odprowadził ich do wyjścia z salonu. Pod drzwiami czekał rosły czarnoskóry mężczyzna, ubrany w czarny mundur pałacowej gwardii.

– Markus, odprowadź państwa do wyjścia – powiedział Conti.

W ostatniej chwili spojrzenia Kellera i Contiego spotkały się, a ksiądz dyskretnie zerknął na gwardzistę. Co mówił Conti, kiedy spotkali go z Beatrix podczas spaceru? Złowrogi Murzyn? Nagle zrozumiał jedną rzecz. Myślał, że Ramier będzie próbował ich napaść i po prostu odebrać pieniądze. A potem umyć ręce. Czterdzieści milionów standardów nie chodzi piechotą. Mookstein stanie bez pieniędzy przed swoimi mocodawcami, zasłaniając się jakimś napadem. Ale plany Ramiera były inne. Cholera. Kardynał miał jaja. Ian i Valerie mieli nigdy nie wrócić z wyprawy za miasto.

Markus szedł kilka kroków za nimi. Keller zerknął przelotnie na portrety wiszące po obu stronach pałacowego korytarza, z których zerkały na niego twarze dawno nieżyjących już Ojców Świętych.

Valerie zerkała na niego co jakiś czas. Też wyczuła groźbę płynącą z postawy ich strażnika. Dostrzegła, jak Keller dotyka szyi tam, gdzie pod koszulą znajdował się ukryty randomizer. Zrozumiała.

Pod ścianami, co kilka metrów, rozstawione były niskie kolumny, na których stały wazony ze świeżymi kwiatami.

Mijając jedną z nich, Val zaczęła celowo wazon, strącając go na podłogę. Ten rozbił się z hukiem, przykuwając uwagę Markusa. Kiedy dojrzał pięść Mooksteina zmierzającą w jego stronę, było już za późno. Z trudem sparował cios i odskoczył w tył. Za tym ciosem jednak od razu poszedł następny, który Markus również odbił. Odzyskał w końcu równowagę i przeszedł do natarcia. Prawie dosięgnął twarzy handlarza, ale w tej samej chwili zarobił kopnięcie w brzuch od dziewczyny. Zgiął się wpół. Zdołał osłonić się rękami przed drugim kopniakiem wymierzonym w twarz. Ale oberwał pięścią w ucho. I od razu otrzymał drugi cios, mocniejszy. Padł ogłuszony, ale nie stracił przytomności, choć był tego niebezpiecznie blisko.

Zobaczył plecy Mooksteinów, oddalających się biegiem w stronę wyjścia.

– Uciekają – wyszeptał do komunikatora i odchrząknął. – Uciekają – powtórzył głośniejszym głosem. – Załatwcie ich.

Dwie sylwetki przed nim rozmazały się i zniknęły. Nie był to efekt uderzenia.

– Mają randomizery – wychrypiał w eter, nim głowa opadła mu na podłogę.

– Craftsheek, jesteś? – zawołał Keller do urzędnika.

– Jestem.

– Niestety, plan B.

Craftsheek wiedział, że nie ma planu B, co oznaczało, że Keller i Val znaleźli się w ciężkiej sytuacji i muszą się w pośpiechu ewakuować. Wiedział, że nie mają broni. Siedząc na drzewie, w zagajniku oddalonym o niecałe sto metrów od ogrodzenia pałacu, miał dobry widok na całe podwórze rezydencji. Widział, jak z bocznych drzwi wybiegają ubrani na czarno gwardziści i zajmują strategiczne pozycje. Przy bramie. Za fontanną. Na ziemi, za żywopłotem. Akcja się posypała. Doliczył się ośmiu



przeciwników. I jeszcze trzech w oknach pałacu, na piętrze. Mieli doskonały widok na podwórze. *Ech, Keller, Keller* – westchnął w duchu. *Zawsze to samo. Wielki plan, a potem wielka improwizacja.*

Obserwator namierzył pierwszy cel na piętrze. Craftsheek nacisnął spust i niewidoczna wiązka lasera przeszła głowę jednego z gwardzistów. Skupił uwagę na drugim, obserwator natychmiast namierzył cel. Pach – drugi trafiony. Craftsheek nie musiał za bardzo celować, urządzenie sterowało odchyleniem wiązki emitera, byle kierunek się zgadzał. Trzeci z gwardzistów, zapewne widząc, jak jego koledzy padają martwi, ukrył się za ścianą.

Keller i Valerie wyszli do ogrodu. Aktywny kamuflaż randomizerów był świetny, ale przy szybkich ruchach dawało się zauważyć niedokładności w obrazie, dlatego szli niespiesznie, wychodząc wprost pod lufy mierzących do nich gwardzistów. Którzy ich nie widzieli.

Ostatni komunikat Markusa brzmiał na tyle bełkotliwie, że gwardziści go nie zrozumieli. Wiedzieli jedynie, że szef oberwał. Czy żył było sprawą drugorzędną. Skoro stracili z nim kontakt, dowodzenie przejął gwardzista leżący przy fontannie.

– Widzicie coś? – syknął do komunikatora.

– Pusto.

– Ktoś strzela laserem – nadszedł komunikat z piętra. – Snajper. Chyba za ogrodzeniem.

– Daj znak.

Craftsheek w tym czasie oznaczył na bramie do pałacu pięć punktów, które po ostrzale z raketowych mikropocisków powinny dać Kellerowi i Val wolną drogę. Zbuforował komendę i znowu omiół spojrzeniem cały ogród. W obserwatorze umieścił markery na plecach wybranych pięciu żołnierzy i znowu zapisał komendę. Z pozostałymi musiał poradzić sobie laserem. Wiedział, że niedługo zostanie odkryty, ale nie mógł tracić czasu na to, żeby zejść z gałęzi, na której leżał, i poszukać innego miejsca. Miał nadzieję, że Val i Ian nie wleżą mu pod lufę. Kamuflaż randomizerów działał w tak szerokim spektrum fal, że Craftsheek, nawet przełączając się na różne widma, nie mógł dostrzec położenia przyjaciół. W końcu włączył termowizję i poszukał śladów ciepła na ziemi. Przybliżył obraz. Znalazł dwa ledwo widoczne, szybko gasnące ciepłe tropy, rozchodzące się w dwie różne strony. Byli tam! Zabił trzech gwardzistów, którzy znajdowali się najbliżej Val i Kellera. Potem aktywował pierwszą komendę. Plum, plum, plum... pięć rakiet wysadziło w powietrze bramę, która wypadła z zawiasów i przewróciła się z rumorem na podwórze. Gwardziści natychmiast zmienili położenie, ale Craftsheek zmienił magazynek i odpalił drugą komendę. Jeden po drugim, pięć sterowanych pocisków ruszyło ku swoim celom, dosięgając ich w ułamku sekundy. Gwardziści byli martwi. Został tylko jeden. Na wszelki wypadek mechanik przejechał laserem po oknach na piętrze.

Rozejrzał się za przyjaciółmi. Wydawało mu się, że raz czy dwa dostrzegł rozmazane smugi.

– Keller – wyszeptał. – Val?

– Jesteśmy przy naszym drzewie z bronią. Świetna robota, Craftsheek – powiedziała Val.

Gdzieś z tyłu pałacu wzniósł się jakiś pojazd.

– To pewnie odlatuje Ramier – niewyraźnie szepnął Keller.

– Ruszajcie się. Musimy się ukryć między drzewami. Jeśli to nie Ramier, to z góry mogą was wytropić.

Nie wiadomo, co mają na pokładzie, a mamy dwa kilosy, żeby wrócić do miasta.

Craftsheek przez chwilę słyszał tylko wzmożone oddechy przyjaciół biegnących w stronę jego kryjówek.

– Słyszę was, schodzę – powiedział do komunikatora i zsunął się z drzewa.

Kiedy znalazł się na dole, wyłączył na chwilę randomizer, żeby przyjaciele mogli go zobaczyć. Było ciemno, ale zdolali dostrzec jego sylwetkę.

– Proponuję nie wracać drogą – powiedział Keller. – Pójdziemy przez las. Dochodzi do granicy miasta, trochę powyżej miejsca, gdzie lądowaliśmy, ale zapewni lepsze schronienie.

Craftsheek obejrzał kusaka, który cichym piskiem zasygnalizował niski poziom energii, i wymienił ogniwo.

– A gdy wrócimy do miasta? – Val zadała pytanie, które również mechanikowi cisnęło się na usta. – Myślicie, że nas zgarną? Jakies listy gończe? Czy raczej wszystko zatuszują?

– Myślę, że spróbują nas wykończyć tu i teraz. W mieście... wydaje mi się, że cała ta akcja to pomysł samego Ramiera. Nie jestem przekonany, czy papież o tym wie, i czy autoryzował całą akcję. Właściwie to nie tak. On wie, że Ramier kupił relikwię. Ale nie wie, że nasz kardynał próbował odzyskać pieniądze.

Pojazd, który wystartował wcześniej z pałacu, oddalał się szybko w stronę miasta.

– Czyli jednak nie będą nas szukać – westchnęła Val. Ramier po prostu zwiął.

– Tym lepiej. A teraz ruszajmy, randomizery nie będą działać długo.



Randomizery padły jakieś pięćset metrów przed miastem i musieli ten dystans pokonać bez osłony. Na szczęście wyglądało na to, że nikt ich nie szuka. Co prawda nad ich głowami przeleciały dwa pojazdy, ale poruszały się bardzo szybko i Keller stwierdził, że to na pewno służby specjalne, ale zmierzające, żeby posprzątać, a nie żeby ich dopaść.

W końcu dotarli na przedmieścia. Znaleźli zniszczony publiczny terminal. Kolejny tak samo. Dopiero z trzeciego udało się wezwać jumper. Broń i niedziałające randomizery pozostawili w lesie.

Val miała poważne wątpliwości, czy wracać do Hotelu Królewskiego. Keller stwierdził, że to nie ma znaczenia, bo jeśli zechcą, to Ramier ich i tak odnajdzie, a może ta mała demonstracja, jak i fakt, że wymknęli się z pułapki, sprawią, że kardynał zastanowi się dwa razy, zanim pośle kolejnych siepaczy. Ale oprócz tego, że był to gruby bluff, Keller nie miał nic na poparcie tej tezy.

Na wszelki wypadek wylądowali jumperem przecnicę przed hotelem i resztę drogi pokonali piechotą.

Zatrzymali się na chwilę przy stoisku z fast-foodem. Właściwie był to pomysł Valerie, która stwierdziła, że musi coś przekąsić. Ale zdołała zjeść tylko połowę syntetycznego burgera, resztę z niesmakiem wyrzuciła.

– Gdzie Craftsheek? – zapytała Kellera, który bez rezultatu usiłował przełknąć kotlet o smaku tektury. W końcu wypluł bezceremonialnie zawartość ust do kosza, zarobiwszy pełne niechęci spojrzenie sprzedawcy. Machnął ręką w stronę kiosku, przy którym stał mechanik.

Craftsheek szedł do nich z cienkim arkuszem folieru.

– Popatrzcie – mruknął. – Kupiłem czytnik „Głosu Pontifexa”, największego szmatławca na planecie. Zgadnijcie, czyja morda straszy z pierwszej strony?

Nachylili się nad folierem. Z pierwszej strony straszyla morda Kellera.

Nagłówek głosił:

## HANDLARZ Z REMUSA

kandydatem do ręki

BEATRIX KOLL

– Czy ja chcę to czytać? – mruknął Keller.

– Owszem – potwierdził Craftsheek.

Val wyciągnęła mu czytnik z ręki i przebiegła wzrokiem przez artykuł.

– W skrócie – odezwała się nagle – Beatrix to dobro narodowe Pontifexa, ty jesteś zawracającym jej głowę adoratorem, są tu twoje rzekome podboje miłosne, parę waszych zdjęć, jak się przechadzacie i całujecie. Generalnie wynika, że jesteś gnidą próbującą uwieść biedną dziewczynę, która poświęciła się, aby żyć w cnocie. No i podali miejsce twojego pobytu. Ogólnie komentarze pod artykułem są takie, że albo opuścisz planetę, albo niechętni temu związkowi obywatele nadzieją cię na pal, a flaki rozwłóczą po mieście zdziczałe psy.

– To cwany skurwiel! – warknął Keller.

– Ramier?

– Aha.

– Musimy spieprzać?

Val ponownie przebiegła wzrokiem artykuł, wyszukała coś i zadowolona z wyniku podniosła głowę.

– Ty musisz. Wygląda na to, że o mnie i służącym Mireusie zapomnieli.

– Machina została wprawiona w ruch. Założę się, że z porannych wiadomości dowiesz się o swoim kazirodczym związku z panem Mooksteinem. Trudno. Pieprzyć hotel.

Val przypatrzyła się twarzy Kellera. To samo zrobił Craftsheek.

– Co z Beatrix? – zapytała w końcu Val.

– Co? Nic. Nie zadzwonię do niej, bo pewnie wszystkie połączenia są teraz filtrowane przez służby. Gdybym mógł, przesłałbym jej wiadomość, a tak...

– Może jest sposób – westchnęła Val. – Wiesz co, Keller? Liczyłam, że uda się wypełnić tę misję. Myślałam, że jesteś bardziej ogarnięty. Ale ty tylko improwizujesz. Mam wrażenie, że widzisz nie dalej niż wyciągnięta ręka, rzucasz kamyczek, i patrzysz, co wyjdzie. Trudno. Zbiorę za ciebie opierdół. Ale mimo wszystko ci pomogę. Idź, kup w kiosku kartę z rekorderem, nagraj dla niej wiadomość i wynoś się z planety. Spotkamy się na redzie najszybciej jak się da. Zanim unieważnią nasz pobyt.

– A ty?

– A ja dostarczę jej wiadomość od ciebie, głupku. Wiem jak. Ale uwierz mi, szkoda mi bardziej tej dziewczyny, niż ciebie.

– Val?

– No?

– Jesteś w porządku.

– Przecież wiem.

Kiedy Keller stał na uboczu i dyktował wiadomość dla Beatrix, Val rozmawiała z Craftsheekiem o tym, że też powinien wiać z planety.

– Jesteś pewna? Póki nie jesteśmy spaleni oboje, mógłbym ci pomóc.

– Prędzej czy później wypłyniesz i ty. Nawet szybciej niż ja, kiedy dodadzą dwa do dwóch i pojną, kto rozpieprzył gwardzistów.

– Dobrze, Val. Bądź ostrożna.

– Będę. Przecież się nie żegnamy, do cholery – roześmiała się. – Z chęcią napiję się jeszcze raz tej twojej herbaty.

Keller klepnął Val w ramię i podał jej kartę. Schowała ją do kieszeni.

– Weź to. – Kobieta wyciągnęła pudełko z kartami bankowymi i podała je Kellerowi.

Ten przyjął pieniądze i schował pod kurtkę.

– Ale nie myśl, że zapomniałam – dodała Val. – Opowiesz mi o tym twoim planie, nawet jeśli ma cię to zawstydzić. Nie zapomniałeś tam dodać, że ją kochasz?

Keller uśmiechnął się radośnie.

– Nie zapomniałem.



Podczas gdy Keller z Craftsheekiem okrętowali się na wahadłowcu mającym zawieźć ich na redę, gdy znosili nieuprzejme spojrzenia skupione na Kellerze oraz pełne jadu komentarze na jego temat, Valerie była w teatrze, gdzie po raz kolejny wystawiona miała być sztuka „Zmartwychwstanie”.

Przy pomocy kilku łapówek i nieskończonej ilości próśb i uśmiechów, dotarła wreszcie do młodzieńca, który zarządzał lożą Beatrix. Nazywał się Argus i był młodym, najwyżej dwudziestopięcioletnim blondynkiem o ujmującej twarzy cherubina. Na dźwięk imienia Beatrix najpierw się nastroszył, i rozluźnił dopiero, kiedy Val opowiedziała, że jest przyjaciółką na tyle dobrą, że wie, jakie przysługi wyświadcza jej chłopak. Poprosiła o przekazanie prywatnej wiadomości, podkreślając, że jest to bardzo ważne. Argus w końcu uległ argumentowi, że zyska tym dozgonną wdzięczność papieskiej córki i obiecał, że zrobi to zaraz po przedstawieniu. Teatr co prawda pracował przez całą dobę, ale zdoła się wyrwać i przekazać kartę Beatrix, tak, aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń.

Uznała, że wywiązała się z obietnicy danej Kellerowi. Zamówiła jumper i skierowała go do portu, skąd za pół godziny powinna złapać wahadłowiec.

Stojąc w kolejce do odprawy, pomyślała, że oto zeszło z niej całe napięcie. Misja poszła szczerkać, trudno. Teraz marzyła już tylko o tym, żeby znaleźć się w swojej kabinie na Truposzu. Albo jeszcze raz poczuć pod stopami ten dywan u Craftsheeka.

Nie poczuła strzału z paralizatora, a tym samym nie miała okazji już poczuć igieł serwujących jej środki usypiające. Obraz po prostu zgasł, a porażony kleszcz, odcięty od bodźców, nie był w stanie zdecydować, czy jest to chwila zagrożenia danych i czy powinien zabić nosiciela. Podczas mikrosekundy podjął decyzję, że jednak należy pozostawić Val żywą.

Kiedy dziewczyna przewracała się na ziemię, podtrzymało ją dwóch stojących za nią, ubranych na

czarno mężczyzn.

– Wezwijcie ambulans! Ta pani zasłabła! – zawołał jeden z nich.

Nie musieli długo czekać. To ambulans czekał na nich.



Kiedy minęli bramkę prowadzącą do miejsca dokowania Truposza, Craftsheek odczuł olbrzymią ulgę, a i Keller również wyglądał na odprężonego, choć to jeszcze nie był koniec. Musieli poczekać na powrót Valerie. I z tego, co przypuszczał mechanik – również na Beatrix. Zakładał, że ostanía wiadomość Kellera sugerowała jej porzucenie obecnego życia i dołączenie do załogi. Pytanie brzmi, czy Beatrix się skusi?

Załoga powitała ich z radością. Zdążyli zwiedzić prawie całą redę i zaczęli się już potwornie nudzić. Wszyscy oprócz Mykey’ego, który jako jedyny potrafił zająć sobie czas.

– Przygotujcie się do startu – rzucił Keller na powitanie. – Wszystko ma być w gotowości. Mówię „startujemy” i startujemy. Spark, zrozumiałaś?

– Tak jest, kapitanie. Mówisz „start”, a my już lecimy.

– No i dobrze. Vlad, Moyra. Sprawdźcie uzbrojenie. Craftsheek, zatankuj nas do pełna.

Posypały się potwierdzenia. Załoga wreszcie wracała do życia.

– Mykey!

– Tak, kapitanie! – Murzyn pojawił się znikąd i zasalutował przykładnie.

Keller zawahał się.

– Oczyszczyć pokład z osobników dowolnej płci niebędących na liście płac.

– Tak jest!

– Mojej liście płac, Mykey.

– Tak jest! – Usłyszał znowu, ale przysięgłby, że doktor odrobinę posmutniał.

– No to ruchy! Spark, weź Moyrę i monitorujcie wiadomości. Jeśli usłyszycie, że ktoś gdzieś mówi coś o naszym statku, dajcie mi natychmiast znać.

– Tak jest!





Wiadomość od Kellera, którą dostarczył Argus, przyszła w chwili, kiedy Beatrix była gotowa iść spać. Jednak Argus miał pewne przywileje i służąca, do której trafił, powiadomiła panią, że przyszedł młody człowiek z teatru. Do Beatrix dotarły oczywiście wieczorne wiadomości, w których szkalowano Iana (przy okazji czyniąc z niej samej pierwszą dziewicę Pontifexa) i zdała sobie sprawę, że w zaistniałej sytuacji pozostawało ukochanemu tylko jedno – ucieczka z planety. Kiedyś miała miejsce podobna sytuacja – zawistni ludzie prawie ukamienowali mężczyznę, z którym spotkała się potajemnie poza pałacem. A to było przecież niewinne spotkanie. W dzisiejszych gazetach było zdjęcie jej i Iana całujących się. Nie był to jeden z tych namiętnych pocałunków, których tyle wymienili z Kellerem podczas pamiętnej nocy w hotelowym pokoju (dziękuję, Val!) tylko jakiś odruchowy buziak na do widzenia, a może przywitanie, nie pamiętała. Ale zdjęcie przedstawiało wyraźnie usta Kellera na jej policzku, w pobliżu ust. To wystarczyło, by obudzić w narodzie furję.

*I będzie jak zawsze – myślała Beatrix, przygotowując sobie drinka i lejąc do szklanki sporą ilość wódki. Pozbędą się go, znikną, a on ulegnie. Nieważne, co obiecał, złamię go, jak wszystkich innych.*

Najgorsze było to, że spośród tych wszystkich innych, to Ian był tym mężczyzną, dla którego była gotowa zrobić wszystko.

Wiadomość od Argusa przyszła w chwili, kiedy wzięła zamach, żeby roztrzaskać szklankę o ścianę.

– Panno Koll? – zapytała służąca, wchodząc do pokoju. – Młody pan Argus przyniósł wiadomość. Podobno pilną.

– Wpuść go! – Beatrix odruchowo podniosła głos. Odstawiła szklankę na stolik. Argus. O tej porze? Do licha, był środek nocy. Jeśli miał coś do przekazania, ale... co? Proste kojarzenie faktów naprowadziło ją na pomysł, że nadawcą może być Val. Tylko ona wiedziała o Argusie. Przelękała się nagle na myśli, że to

sam Argus, w obliczu medialnego rwetusu, przyszedł najzwyczajniej w świecie ją pocieszyć. Nie zniosłaby tego.

Służąca wprowadziła Argusa. Młodzieniec uśmiechnął się nerwowo, jak zwykle w jej obecności, i wręczył jej kartę z rekordera. Fala ulgi jaka ją zalała była niewypowiedziana.

Wzięła kartę z rąk chłopaka i zanim włożyła ją do odtwarzacza, powiedziała:

– Dziękuję ci, Argusie. To dla mnie bardzo ważne, ale lepiej, żebyś już poszedł.

Na widok zawodu, który pojawił się w jego oczach, do oczu napłynęły jej łzy. Złapała go za rękę.

– Argus. Jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego miałam przez większość życia. Te tutaj... – machnęła ręką w stronę drzwi, którymi wyszła służąca – są bardziej moimi szpiegami. Tylko ty jeden... – urwała.

– Dostarczyłeś mi wiadomość, na którą czekałam być może całe życie, wiesz? Zrobiłeś coś, na co nie odważył się nikt na tej cholernej planecie. Ale teraz naprawdę musisz iść. Jesteś w niebezpieczeństwie, rozumiesz?

– Tak – odpowiedział chłopak, nadal ze smutkiem w oczach.

Beatrix uśmiechnęła się, nachyliła i złożyła na ustach Argusa długi pocałunek.

– Dziękuję ci. – Spojrzała mu w oczy.

W chłopaka jakby wstąpiło nowe życie.

– Tak, znaczy... nie, nie dziękuj. Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko.

– Uciekaj stąd, Argus.

– Tak, Beatrix.

Ostatni raz spojrzał na nią z tak bliska i popatrzył w oczy. Nie znalazł tam tego, co w głębi serca pragnął odnaleźć, ale jednak spojrzenie pełne czułości i wdzięczności musiało mu wystarczyć.

Kiwnął głową, jakby akceptując fakty, i wybiegł z pokoju. Zatrzymał się jeszcze na progu, odwrócił i szepnął:

– Powodzenia.

Beatrix została sama. Natychmiast włożyła kartę do czytnika. Na *videowallu* pojawiła się twarz Kellera, pod dziwnym kątem. Widać, że nagrywał wiadomość na ulicy. Słysząc było charakterystyczny hałas stolicy i przechodzących obok ludzi.

– Bea – mówił Ian. – Musimy wiać z planety. Pewnie o tym wiesz. Wiesz też, że nie tak miało się to wszystko potoczyć. Nie mam możliwości zrobienia żadnego ruchu, poza zwianiem na redę. Służby rozpętały medialne piekło i lada chwila pewnie rozpoczną na nas polowanie. Plan jest taki. Siedzimy na redzie. Val jest ciągle na planecie. Raczej nie będzie mogła się z tobą skontaktować bezpośrednio. Ale jeśli możesz... jeśli dasz radę... i jeśli chcesz... Kocham cię, Bea. Zadurzyłem się jak szczeniak. Jeśli możesz i chcesz, statek będzie czekał na redzie. Znajdujemy się w doku 45–122, statek figuruje jako RS Rotation. Będziemy czekać ile się da. Ja będę czekał. Więc jeśli możesz... rusz się tu jak najszybciej!

Uśmiechnął się smutno i zakończył nagrywanie. Na ekranie *videowalla* jeszcze przez chwilę widniała jego twarz. Beatrix zamknęła oczy. Czy chciała? Czy chciała wydostać się z tej przeklętej planety? No, kurwa, raczej!

Pomyślała szybko. Reda była w jej zasięgu. W ciągu dnia dałoby się to zorganizować w miarę bezproblemowo, ale była noc. Środek nocy. Mogą być problemy, ale Keller dawał jasno do zrozumienia, że nie ma czasu.

Podbiegła do szafy i wyciągnęła ubranie przeznaczone do dalekich podróży. Wygodne spodnie, jasna koszula. Ściągnęła suknię, którą miała na sobie, prawie odrywając suwak, który nie chciał puścić. Przebrała się w kilka minut. Chciała zawołać swoją służącą, ale nagle się rozmyśliła. I tak ta mała suka była na usługach Ramiera i jemu podobnych. Ale nie pozwolą jej skorzystać z pałacowego pojazdu, a jeśli zamówi miejski jumper... cholera, dostanie podstawiony.

– Joanno! – krzyknęła.

Do środka weszła służąca.

– Czy Argus już odleciał? Jeśli nie, zatrzymaj go, proszę. Szybko!

Dziewczyna skinęła głową, poprawiła biały czepek, który przekrzywił się na głowie, i popędziła w głąb domu.

Beatrix intensywnie myślała. Jeśli Argus zdążył odlecieć, albo jeśli nawet nie odleciał, ale nie zechce jej zabrać... co wówczas zrobi? Może spróbuje dostać się do miasta. Tam spróbuje złapać publiczny jumper do portu kosmicznego...

– Pan Argus czeka. – Joanna przerwała tę gonitwę myśli, wpadając do pokoju.

– Świetnie – powiedziała Beatrix władcym tonem. – Co to jest? – dodała, wskazując coś za plecami Joanny.

Służąca odwróciła się za palcem Beatrix i oberwała w głowę ciężkim wazonem. Upadła na podłogę razem z jego skorupami i kwiatami.

Beatrix ruszyła do wyjścia. Wyszła z pokoju i przebiegła przez korytarz łączący go z przedsionkiem tak szybko, że ustanowiła chyba nowy rekord.

– Argus! – krzyknęła na widok młodzieńca stojącego przed jumperem i dziękując w myślach Bogu, że chłopak jeszcze nie odleciał. – Mogę lecieć z tobą?

Argus bez słowa otworzył szeroko drzwi kabiny i uśmiechnął się lekko.

– Dokąd?

– Do portu kosmicznego.

– Zrobione.

Straszna myśl przebiegła przez głowę Beatrix. Tak straszna, aż...

– Poczekaj jeszcze chwilę. Zaraz wracam.

Argus patrzył, jak Beatrix wpada do pałacu.

– Poczekam – wymamrotał.



Ambulans transportujący Valerie oczywiście nigdy nie dojechał do żadnego szpitala ani żadnego innego ośrodka pomocy. Trafił do rezydencji Ramiera, położonej około dwustu metrów od Pałacu Papieskiego. Dwóch gwardzistów przeniosło nieprzytomną dziewczynę do środka, a następnie, kierowani rozkazami dowódcy, położyli ją na specjalnie przygotowanym łóżku, unieruchomili pasami i powieźli do windy, gdzie dwa piętra niżej czekał na nią kardynał, razem z ojcem Conti.

– Siostrzyczka Mookstein – uśmiechnął się złośliwie Ramier. – Nie sądzisz, że nieprzytomna jest dużo mniej jadowita?

Conti postanowił nie odpowiadać na retoryczne pytanie, wzruszył jedynie ramionami i wydał z siebie nieokreślony pomruk, który jego przełożony mógł zinterpretować według własnego uznania.

– No pewnie – mruknął Ramier, rozumiejąc ten dźwięk jako potwierdzenie. – Przesłuchamy sukę, gdy tylko się obudzi.

Obrócił się do gwardzistów, którzy ciągle stali przy drzwiach.

– A kiedy się obudzi? – spytał.

– Dostała mocne znieczulacze, Wasza Eminencjo – odpowiedział niższy z żołnierzy. – Myślę, że dwie, może trzy godziny.

– Czym wyście ją nafaszerowali? – zezłościł się kardynał.

– Chcieliśmy mieć pewność. – Gwardzista nerwowo pochylił głowę.

Ramier obszedł dokoła łóżko z Valerie Mookstein, zatrzymał się u jego wezgłowia i spojrzał na twarz dziewczyny.

– Będziesz śpiewać, maleńka. Będziesz śpiewać. Prawda, Conti?

– Prawda, Wasza Eminencjo – uśmiechnął się Conti w odpowiedzi. – Będzie śpiewać.

– Chodźmy do biura. Muszę połączyć się z kapitanatem redy.



Kapitan Portu Kosmicznego Redy Pontifexa, Johan Mauser, był stary. Miał już grubo ponad osiemdziesiąt lat i był mocno zmęczony. Złamana w trzech miejscach noga, rana, którą zarobił dawno temu na poligonie, nie chciała się wyleczyć i przypominała o sobie rwącym bólem. Próby przeszczepu wypadły negatywnie, a na bioprotezę Mauser nie chciał się zgodzić, twierdząc, że woli cierpieć, niż zostać zaczipowany przez tutejsze służby wywiadowcze. Naturalnie Johan Mauser cierpiał na lekką postać paranoi, co samo w sobie powinno zdyskredytować go do pełnienia funkcji kapitana portu, ale skutecznie ukrywał ten fakt na kwartalnych psychotestach. Pytania o niechęć do protezy zbywał, zasłaniając się religią, i wszelkie pytania na ten temat kończył słowami: „gdyby Pan Bóg chciał, żebyśmy nosili elektroniczne protezy, to by nas stworzył z krzemu”. Mniej więcej tak to brzmiało. Większość psychologów, gdy tylko poruszano temat wiary, a zwłaszcza wiary w Boga, szybko znajdowała temat zastępczy. To był w końcu Pontifex. Johan Mauser odkrył tę dziwną przypadłość konowalów już dość dawno i korzystał z niej swobodnie, kiedy tylko zachodziła taka potrzeba.

Jego paranoja brała się jeszcze z czasów, gdy służył w wojsku i zapanowała moda na instalowanie żołnierzom implantów domózgowych, a po serii nieudanych wszczepów innych implantów, instalowanych gdzie popadnie. W rękach, szyjach, nogach czy brzuchach żołnierzy, którzy mieli przykładowo służyć swojej ojczyźnie. Johan Mauser pałał do tego typu instalacji obrzydzeniem.

Kiedy miał dwanaście lat, zdał pierwsze egzaminy pilotażowe. Z wyróżnieniem. Następne kilka lat doskonalił swoje umiejętności i w wieku lat osiemnastu zaciągnął się do wojska, gdzie po dwuletnim treningu ogólnym wcielono go do jednostki lotnictwa planetarnego jako pilota. Mauser był ambitny. Nie chciał latać wahadłowcem na rejsowych, ogłupiających lotach pomiędzy redą a Pontifexem, zwłaszcza że lot kontrolowały sztuczne inteligencje, a pilot mógł służyć swoimi umiejętnościami jedynie w przypadku

awarii. Taka awaria zdarzyła się raz w poprzednim dziesięcioleciu i nic nie zapowiadało, że coś ma się zmienić. Ogólnie piloci rejsowi byli najnudniejszymi facetami na Pontifexie i nawet dziewczyny w barach omijały ich szerokim łukiem jako jednostki smętne i pozbawione ikry.

Johan Mauser postanowił podnieść swoje kwalifikacje i spróbować swoich sił, aby dostać się do jednostki Pilotażu Wewnętrzny Układowy. To było ciekawsze. Loty międzyplanetarne i obrona granic Pontifexa. Zapisał się na studia.

Studiując, zgłębiał tajemnice nawigacji, astrofizyki, matematyki, fizyki ogólnej i kwantowej, ale – co najważniejsze – i pilotażu na najlepszych statkach kosmicznych Pontifexa, myśliwcach X-Ray7.

Były one szybkie, cholernie zwrotne i obdarzone potworną na owe czasy siłą ognia. Po latach doczekały się swoich następców i najnowszy model X-Ray22 przewyższał swoich prekursorów pod wszystkimi względami dziesięciokrotnie.

Podczas studiów Mauser miał swój ulubiony przedmiot: historię wojskowości. Prowadzący go stary profesor z pasją przedstawiał młodym studentom opowieści o starciach wewnątrz układów gwiazdnych, przebiegu najważniejszych wojen nowożytnych. Opowiadał o małych międzyplanetarnych awanturach oraz o wielkich konfliktach angażujących nawet do kilkudziesięciu planet. Marzyła mu się taka przygoda, marzyła mu się walka, kosmiczne abordaże, potyczki z przemytnikami czy piratami, których w galaktyce było całe mrowie. Marzył, jak uwalnia z ich rąk przepiękne, porwane dla okupu księżniczki i zostaje odznaczony najwyższymi odznaczeniami, jakie przewidywał Pontifex.

Póki jeden skurwiel nie złamał mu nogi w trzech miejscach.

W barze orbitalnym trwała popijawa, ot zwykła fala. Koty trzeba było ochrzcić, wódka była zimna, panienki i głowy młodych żołnierzy gorące. Pech chciał, że Mauser trafił na wyjątkowo krnąbrnego kota, który na wszelkie sposoby ignorował wydawane mu polecenia.

W końcu Mauser uległ podszeptom pijanych kumpli i postanowił spuścić kotu manto.

Gówniarz okazał się lepszy, a może jedynie trzeźwiejszy od Mausera i podczas awantury, która się wywiązała, tak niefortunnie kopnął Mausera w nogę, że ta pękła w trzech miejscach, w tym w kolanie.

Sprawę zręcznie zatuszowano, a Johan dostał propozycję przeniesienia. Wiążącą się z opuszczeniem doborowych oddziałów i zatrudnieniem w kosmoporcie.

Po wielu latach, kiedy stał się już legendą portu, wszechwiedzącym kapitanem Johanem Mauserem, tylko jedna rzecz bolała go bardziej niż przeklęta noga.

Bolało go to, że nigdy nie spotkał tego skurwiela, który przekreślił jego karierę.

Teraz zaś, zrzędzeniem losu, gdy odebrał wezwanie z Pontifexa, którego nadawcę zidentyfikował jako służby papieskie, poznał zarówno głos, jak i nazwisko.

– Mówi kardynał Pierre Ramier – dobiegło z głośnika. – Kapitanie Mauser. Proszę natychmiast wstrzymać odlot statku RS Rotation, zarejestrowanego dla remuskiego handlarza nazwiskiem Ian



Mookstein.

Johan Mauser uśmiechał się wrednie do komunikatora.

Czuł, że noga wreszcie boli go jakby mniej.



– Keller! – zawołała Spark przez interkom. – Na szyfrowanym kanale masz połączenie z kapitanatu.

Keller znalazł się na mostku po kilkudziesięciu sekundach.

– Mookstein – przedstawił się.

– Kapitanie Mookstein – dobiegł go zniekształcony przez radio głos starego człowieka. – Mówi kapitan Johan Mauser.

– Witam, kapitanie Mauser, o co chodzi?

Keller był zaskoczony. Zwykle kapitanat nie kontaktował się bezpośrednio z załogami, zazwyczaj wszystko było załatwiane na poziomie AI. A połączenie z samym dowódcą kapitanatu było co najmniej... kuriozalne.

– Nie wiem, co pan przeszkrobał, panie Mookstein, i prawdę powiedziawszy, gównu mnie to obchodzi. Ale dostałem rozkaz natychmiastowej blokady doku, rozumie pan, co to znaczy?

– To znaczy że przy załączonych blokadach nie będziemy mogli wystartować, panie kapitanie – odpowiedział Keller uprzejmie, choć znaczenie tych słów zmroziło go do szpiku kości. Nie odleca. Polecenie na pewno przyszło z Pontifexa. Służby ich dopadną. Przełknął z trudem przekleństwo, które cisnęło mu się na usta.

– Dokładnie, kapitanie Mookstein. Powtórzę jeszcze raz – gównu mnie obchodzi, co pan tu nawyrabiał, chociaż czytając dzisiejsze gazety, jestem w stanie sobie wyobrazić.

Keller skrzywił się, ale Mauser jeszcze nie skończył.

– Mimo to, kapitanie Mookstein, chociaż nie jestem do końca ateistą, mam to w dupie, tak? Rozumie pan?

– Rozumiem – przytaknął Keller, choć nic nie rozumiał.

– Dlatego dam panu trzy minuty – dobiegło z głośnika. – Trzy minuty, panie Mookstein, począwszy od teraz.

Przysłuchująca się rozmowie Spark uruchomiła natychmiast timer na *dashboardzie*, który zaczął odliczać czas.

– Za trzy minuty załączą się blokady i nie odleciecie stąd nigdy. Rozumiesz?

– Tak jest, rozumiem, kapitanie Mauser.

– No i dobrze – dobiegło z głośnika i transmisja urwała się.

– Co do cholery? – wywaliła oczy Spark. – Zablokują nas?

– Grzej maszynę – powiedział cicho Keller.

Na mostek wpadł Craftsheek.

Keller krótko, w kilku słowach streścił niecodzienną rozmowę z kapitanatem. Craftsheek nie zadawał pytań, tylko spojrzał wymownie na przyjaciela.

– Nie ma dziewczyn – powiedział.

– Val sobie poradzi. Jak zajdzie potrzeba, ewakuje się swoimi metodami – powiedział Keller. –

Bardziej mnie martwi...

– Mamy kolejną rozmowę – przerwała mu Spark. – Prywatna. Z wahadłowca.

– Dawaj – rzucił Keller.

– Ian? – dobiegł damski głos.

– Bea? Gdzie jesteś?

– Właśnie cumujemy do redy.

– Ile czasu zajmie ci dotarcie do naszego doku? – zapytał Keller, chociaż znał odpowiedź. Zbyt długo.

– Pięć, może sześć minut. Ian, tak się cieszę...

– Bea! – przerwał jej Keller. – Słuchaj uważnie, bo mamy mało czasu.

Kiedy skończył udzielać wskazówek dziewczynie, spojrzał na *dashboard*. Mieli najwyżej półtorej minuty.

– Szybko – warknął do Craftsheeka. – Pomóż mi.

\* \* \*

Kiedy Beatrix znalazła się w końcu w doku oznaczonym numerem 45-122 odkryła, że jest pusty. Elektroniczny celnik przepuścił ją bez problemów, nie było już statku ani załogi, której mógłby pilnować. W końcu korytarza ziała czarna pustka przestrzeni kosmicznej, po RS Rotation, czyli po Truposzu, nie został żaden ślad. Prawie. Tak jak mówił Ian.



– Kapitanie, jesteśmy już kilkaset kilometrów od redy. Wejdziemy zaraz w niemonitorowany obszar, możemy spadać.

– Czekaj.

– Mookstein – rozległ się z głośnika znajomy głos Mausera. – Widzę, że mądry z ciebie chłopak. Mam zatem dla ciebie ostatnią wiadomość. Zaraz na dupę wsiądą ci myśliwce pościgowe i zmuszą do lądowania. Albo żołnierzyki wejdą wam na pokład, rozumiesz?

– Rozumiem.

– Spieprzajcie stąd w podskokach.

– Dzięki, Mauser, tutaj już sobie poradzimy.

– Oby – z głośnika rozległ się głośny śmiech. – Powodzenia!

– Mam ich na niemie, Keller. Cztery myśliwce klasy Pontifex X-Ray wyłoniły się zza planety.

Dopadną nas za dziesięć minut.

– Spark, jak reda?

– Mam sygnał.

– Doskonale. Moja dziewczyna! – mruknął, nie mając na myśli Spark. – Daj wizję.

Z doku 45–122 odłączył się nagle niewielki prostokątny kształt jet-packa.

– Ian? – rozległo się z głośników.

– Bea... świetnie ci idzie.

– Boję się jak cholera, Ian.

– Zwiększ prędkość. Zawsze chciałeś być pilotem, pamiętasz? Wyłączysz napęd za trzy sekundy, na moją komendę, rozumiesz?

- Ian?
- Beatrix, skup się. Trzy – zaczął odliczać. – Dwa... jeden. Wyłącz.
- Wyłączyłam.
- Dobra, Spark, bierzmy ją i spieprzamy z tego układu.



Keller odłączył Beatrix od jet-packa i wydobył z kombinezonu. Wpadli sobie w objęcia.

– Ian!

Pocałowali się i objęli mocno.

– Chodźmy na mostek. – Keller niechętnie wyswobodził się z objęć dziewczyny. – Musimy stąd zniknąć.

– Ale...

– Chodź, powiesz na mostku.

Pociągnął ją za rękę i poprowadził przez Truposza, aż w końcu znaleźli się na mostku. Tam posadził Beatrix w jednym z foteli i gestem nakazał zapiąć pasy.

– Zbliżają się myśliwce, ale nie mają wystarczającej mocy. Wychodzę nad ekliptykę, będziemy mogli zaraz dokonać Q-skoku.

– Cześć, Bea – uśmiechnął się Craftsheek, wchodząc na mostek. – Witaj na pokładzie.

– Cześć, Mireu... Craftsheek?

Mechanik poruszył brwiami.

– To będzie twój pierwszy Q-skok? – zapytał.

– Chyba tak.

– Gonią nas, kapitanie – rzuciła Spark. – Czy myśmy im ukradli coś cennego?

– Tak. – Keller uśmiechnął się do Beatrix i wziął ją za rękę. – Mamy coś cholernie cennego.

– Jest chyba gorzej – powiedziała Beatrix. – Keller, dwie sprawy, które muszę ci powiedzieć teraz.

– Tak?

– Kiedy uciekałam z pałacu, ojciec rozmawiał właśnie z kardynałem Ramierem. Chciałam... wiem, to głupie, chciałam zabrać pewną pamiątkę z Pontifexa, ale to stało na biurku papy, a ty mi o tym

opowiadałaś wtedy, w hotelu, więc to zabrałam.

Beatrix wyciągnęła z kieszeni pudełko, w którym znajdował się stary gwóźdź.

Keller patrzył bez słowa na relikwię. Przez myśl przebiegło mu stare porzekadło, coś o posiadaniu i zjedzeniu tego samego ciastka.

– No... – wtrącił mądrze Craftsheek. – To teraz mają dwa powody, żeby nas ścigać. Jest szansa, że nas nie rozwalą ze względu na obecność Beatrix. Zresztą... – zerknął na dane telemetrii. – Za chwilę nabierzemy prędkości.

– Kapitanie, mamy na ogonie dwa krążowniki. – oznajmiła Spark. – Właśnie wyszły zza Redy i przyspieszają. Obawiam się, że nie damy rady uciec.

– Bea, a jaka jest druga? – zapytał Keller.

– Co?

– Druga sprawa, mówiłaś, że masz dwie.

– Tak. Druga jest taka, że podsłuchałam rozmowę papy z Ramierem. Aresztowali Val.

Keller spojrzał na Craftsheeka, Craftsheek odwzajemnił spojrzenie.

– Kapitanie? – warknęła Spark nerwowo.

– Ile mamy czasu?

– Sześć minut. Niecałe. Nie zdążymy nabrać prędkości.

– Więc spróbujemy kupić czas. Marysienko?

– Tak jest, kapitanie?

– Uruchom sprzęt, który podłączyliśmy na Kyboe.

Marysienka milczała chwilę.

– Obawiam się, że straciłam dostęp do urządzenia. – W głosie pokładowej AI słychać było wyraźnie zawstydzenie. – Sugeruję uruchomienie ręczne.

Keller pstryknął w interkom.

– Vlad, do ładowni, teraz. Moyra, przynieś skafandry. Bea... siedź tutaj, zostań ze Spark. I bez względu na to, co się stanie, słuchaj potem Craftsheeka, dobrze?

– Ian...

Keller z Craftsheekiem wypadli jak burza z mostka i popędzili do ładowni, gdzie czekali już na nich Vlad z Moyrą ubrani w skafandry.

Keller odwrócił się do Craftsheeka i położył mu rękę na ramieniu.

– Bracie – powiedział Keller, patrząc w szare oczy przyjaciela. – Spotkamy się na Romie.

– Bracie – wyszczerzył zęby Craftsheek. – Jak to jest znów poczuć to uczucie?

– Nawet, kurwa, nie masz pojęcia! Odpalcie to gówno. – Wkazał ręką stojącą w kącie skrzynię. – Zobaczycie, czy opłacała się podróż na Ziemię.



Odwrócił się na pięcie i wybiegł z ładowni.

– O co chodzi kapitanowi? – zapytała Moyra, usiłując otworzyć wieko skrzyni. – Jakie uczucie?

Craftsheek pomógł jej, podważając pokrywę łomem.

– O kurwa – zaklął Vlad. – Toż to generator Alqubierre’a!

– Tak jest – przytaknął Craftsheek. – A teraz wyrzucimy to gównem za burtę ręcznie, skoro automat nie działa. Szybko, zanim ci w krążownikach się kapną, że coś im deformuje przestrzeń przed nosem, uda nam się wykonać Q-skok. Tylko dajmy Kellerowi minutkę.

– Jakie uczucie? – dopytywała Moyra.

– Spark – powiedział Craftsheek. – Słyszysz mnie?

– Słyszę.

– Trochę będzie rzucać. Zachowaj spokój i nic nie rób.

– Okej.

– Jakie uczucie?! – Moyra kopnęła ze złością skrzynię.

– Honor – powiedział Craftsheek, schylając się do generatora. – Taka dziwna rzecz, która nakazuje robić dziwne rzeczy, w dziwnych okolicznościach.



Truposz zadrżał.

– Craftsheek, co tam robicie? – zawołała Spark. – Zdaje się, że zgubiliśmy kawałek rufy.

– Wszystko w porządku. – Rozległ się spokojny głos mechanika. – Trzymaj kurs i prędkość.

– Nabraliśmy pędu. Coś zgubiliśmy?

*Dashboard* wyświetlił jakieś nieprawdopodobne dane, według których coś urwało się od Truposza i teraz z zawrotną prędkością leciało w przeciwnym kierunku.

– Co do cholery? – zakląła Spark.

W tym momencie *dashboard* podał informację, że znowu coś wyleciało, tym razem z ładowni.

– Craftsheek!

– Już spokojnie, teraz damy radę. – Rozległo się za jej plecami.

Mechanik pokazał jej coś na wyświetlaczach.

Przestrzeń pomiędzy Truposzem a krążownikami Pontifexa gwałtownie się rozszerzała. Statki nie mogły ich już łatwo dogonić i dawało to im wystarczająco dużo czasu, żeby nabrać prędkości do wejścia w Q-slot. Ponadto... byli lżejsi.

– Gdzie Ian? – zapytała Beatrix.

– No właśnie, gdzie Keller? – dołączyła Spark.

Craftsheek przełączył monitory. Pokazał palcem małą, krótką kreseczkę na monitorze, biegnącą parabolicznie pod prostą pokazującą kurs Truposza.

– O tutaj – powiedział Craftsheek.



Piloci myśliwców dostrzegli na radarze statek, który odłączył się od uciekającej jednostki RC Rotation. Gdyby mieli dość oleju w głowach, albo odrobinę wiedzy, pewnie rozpierzchliby się i uciekli w jakiś daleki rejon kosmosu. Ale nie mieli.

– Ray 1, co to za cholerstwo? – rzucił jeden z pilotów przez radio.

– Ray 4, nie mam pojęcia. Zdejmujemy go.

Byli głupi, bo nie przeczytali raportu, który wyświetlił się na ich monitorach. Może gdyby go przeczytali, to zrozumieliby, że pora uciekać.

Ale podjęli walkę.

Lecący z naprzeciwka statek zmienił ich w obłok pary, nie wytracając nawet na sekundę prędkości.

Dowódcy krążowników, zajęci pościgiem za coraz bardziej oddalającym się Truposzem, nie zwrócili uwagi na fakt, że zniknęły cztery sygnały namiarowe ubezpieczających ich myśliwców.



Johan Mauser nigdy w życiu nie przypuszczał, że dojrzy to zgłoszenie na swoich ekranach. Był stary, marzył już jedynie o przejściu na emeryturę, o słonecznym miejscu, gdzie będzie mógł wyciągnąć schorowaną nogę i wypić zimnego drinka, a tymczasem na ekranie widniała elektryzująca wiadomość. Ze zdumieniem stwierdził, że zna to wywołanie. Dawno, bardzo dawno temu musiał o nim czytać.

– Kapitanie Mauser. – Za plecami rozległ się głos jego zastępcy. – Monitoring układowy donosi, że właśnie straciliśmy cztery jednostki. Dodatkowo w stronę planety zmierza z olbrzymią prędkością jakiś pojazd, którego nie możemy zidentyfikować.

Mauser wydał z siebie dziwny dźwięk przypominający parsknięcie.

– Przepraszam, co pan mówił, kapitanie?

Mauser zaśmiał się wyraźniej.

– Przepraszam, ale... o co chodzi?

Kapitan powstrzymał śmiech narastający w jego trzewiach i machnął zachęcająco na zastępcę.

– Bliżej, spójrz na monitor. Widzisz to?

– Widzę, co to jest?

– To, młodzieńcze, jest efekt nieudolnego tłumaczenia z sarmackich protokołów.

– Z czego?

– Otóż sarmackie okręty wojenne klasy Igła, rozpoczynając działania wojenne wobec planety, przesyłały dokładne dane o swoim uzbrojeniu. – Kapitan znowu zaczął chichotać. Spoważniał po chwili, widząc zniecierpliwienie zastępcy – To była taka forma zastraszenia przeciwnika, rozumiesz? Pokażę ci, co mam, a ty zdecydujesz, czy chcesz walczyć, czy nie, rozumiesz?

– Rozumiem, ale co to ma wspólnego...

Kapitan przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki i wskazał na dane z telemetrii.

– Wiesz, co do nas leci? Igła. – Przesunął rękę na drugi monitor. – A tutaj jest wysłane ultimatum – zakończył salwą piskliwego śmiechu.

– No i?

– Czy ty jesteś głupi, chłopcze? Obejrzyj te parametry. Przeczytaj. Ten statek żąda właśnie poddania Pontifexa.

– Ten pilot to wariat? Wyślijmy naprzeciw niego...

Mauser znowu zachichotał.

– Co? Co wyślesz? Jednak jesteś głupi... hihhi.

Zastępca ochłonął. Obejrzał dokładnie nadesłane dane. Prędkość. Uzbrojenie. Przeczytanie tego ostatniego zajęło mu chwilę, ale w miarę jak przesuwał się przez listę coraz dalej i dalej, bladł i czerwieniał na przemian.

– Czy to możliwe, kapitanie? Co robimy?

Mauser spoważniał.

– Poddajemy planetę, synku.

– Postawią nas za to przed sądem!

– Uwierz mi, że postawią nas przed sądem, jeśli spróbujemy wystąpić zbrojnie przeciw sarmackiej Iggle. Oczyszczyć niebo ze statków, chłopcze. I zacznij to robić teraz.



Igła zawisała nad pałacem papieskim i Keller zaczynał dochodzić do wniosku, że wisi tam już za długo, chociaż znajdował się w tym miejscu dopiero od minuty. Przesławił jeden z zewnętrznych laserów na ręczne sterowanie i wypalił na trawniku sporą literę V. Jeśli Ramier zrozumie przekaz, odda Kellerowi Valerie. Odczekał kolejną minutę, pokiwał głową i zrozumiał swój błąd.

Igła przeleciała kilkaset metrów i zawisała nad pałacem samego kardynała. Znowu wypalił literę przed pałacem, z satysfakcją obserwując jak ozdobne żywopłoty stają w ogniu. Po dwudziestu sekundach skierował działo na jedną z wieżyczek pałacu, stopił ją i poczekał, aż rozgrzane do białości kamienie spłyną po ścianach na ziemię. Dopiero wtedy zauważył jakąś reakcję.

Dwóch mężczyzn w czarnych strojach gwardzistów niosło bezwładne kobiece ciało. Keller zbliżył obraz i z zadowoleniem stwierdził, że po pierwsze: to na pewno Valerie, po drugie: Igła dokonała analizy temperatury ciała oraz wydychanego powietrza i stwierdziła, że Val żyje.

Gwardziści położyli Valerie na trawie i stali, zerkając na unoszący się w górze statek, jakby niepewni, co zrobić. Keller pomógł im podjąć decyzję, strzelając z lasera tuż przy ich nogach. Niemal natychmiast zniknęli w pałacu. Keller wybrał miejsce do lądowania i posadził Iglę w możliwie najmniejszej odległości od dziewczyny.

– Wychodzę, Marysieńko – mruknął. – Masz pełną autonomię.

Właz z boku Igły otworzył się i kapitan wyszedł na zewnątrz. Zdawał sobie sprawę, jak dziwnie wygląda w kombinezonie bojowym. Pancierz reaktywny pokrywał go w całości, przysłaniał także oczy. Wszystko, co Keller widział, było przetworzone elektronicznie i wyświetlane na ekranach rozszerzonej rzeczywistości. Czarny strój wzdłuż kręgosłupa i tyłu hełmu upstrzony był wypustkami nerwosplotów, w których łączył się ze statkiem. Całość upodabniała go do maskary, rodem z tanich seriali ubiegłego

tysiąclecia.

Uklęknął i wziął na ręce Valerie. Była lekka jak piórko, a może to on był naładowany za bardzo adrenaliną.

Dziewczyna jęknęła.

– Spokojnie – powiedział Keller. – Wracamy do domu.

Marysienka skanowała na bieżąco całe otoczenie Igły, będąc gotowa do podjęcia walki. Lufy dział sterujące ze statku obracały się we wszystkie strony, jakby szukając zaczepki. Nie wyglądało jednak, aby ktokolwiek chciał podjąć walkę czy zagrozić im w inny sposób.

Keller umieścił Val w fotelu drugiego pilota, dawnym miejscu Craftsheeka, i zapiął jej pasy.

Sam zasiadł za sterami. Miał ochotę puścić całą tę rezydencję z dymem, ale powisiał jeszcze chwilę nad podwórzem, celowo utrzymując atmosferę zagrożenia, aż w końcu poderwał Igłę pionowo w górę.

Opuszczając planetę, zastanowił się, co powie Malicki. Mieli załatwić wszystko po cichu, a wyszło jak zwykle. Zresztą, co go obchodziło, co powie Malicki. Miał poczucie, że zrobił coś bardzo głupiego, ale też bardzo ważnego. Nie zostawił Val.

Z rozeznania wynikało, że Truposz aktywował Alqubierre'a, co pozwoliło mu uciec z układu.

*Zatem, kierunek: Roma* – pomyślał Keller.



Ramier był wściekły. Cholernie wściekły. Na widok Contiego zerwał się ze swojego fotela i złapał go za koszulę na piersi.

– Ty, Conti. Ty i Markus. Jeszcze dziś opuścicie Pontifex, rozumiesz!? – krzyczał kardynał, pryskając śliną w twarz ojca Ettore. – A potem znajdziecie mi Iana Mooksteina, rozumiesz?!

– Tak jest, Wasza Eminencjo.

– Koszty się nie liczą! Nic się nie liczy! Tylko znajdź tego sukinsyna!

– Tak, Wasza Eminencjo – powtórzył Conti.

– Dostaniecie statek, Ettore. A jak dorwiesz Mooksteina, to obsypię cię złotem. Szczerym złotem.

Conti pomyślał, że zapłata zabrzmiała dosyć dwuznacznie. Właściwie chyba nie chciałby zostać obsypany złotem. Zachował jednak te myśli dla siebie i kiwał jedynie głową, przytakując rozkazom kardynała.





Ramier nie kazał im długo czekać. Obaj otrzymali immunitet dyplomatyczny o najwyższym priorytecie i statek dalekiego zasięgu, na który zaokrętowali się jeszcze tego samego popołudnia. Rozkazy były jasne – wytropić Iana Mooksteina i jego siostrę. Przywieźć ich na Pontifex i oddać w ręce kardynała. Koniec. Markus obawiał się, że ich śledztwo może potrwać nawet miesiące. Conti uspokajał go, że ma plan, który pozwoli na wyśledzenie rodzeństwa, muszą tylko odwiedzić układy, przez które tamci przelatowali. Nie byli zresztą jedyni. Ramier wynajął kilku łowców nagród, którzy mieli równolegle prowadzić poszukiwania.

Conti i Markus wyruszyli bez ociągania. Kilka Q-skoków i kilka układów gwiazdnych dalej Conti stwierdził, że obecność Markusa zaczyna być irytująca. Gwardzista ciągle gadał, zapisywał w dzienniku spostrzeżenia i wysyłał raporty.

Kiedy mijali jedną z lodowych planet w ciemnym i zimnym układzie Iceberga, Conti zerknął na przyrządy i wskazując jeden z odczytów, powiedział:

– Mamy awarię w bocznej śluzie. Markus, sprawdź co to.

Regulamin nakazywał dokonywanie prac konserwacyjnych w pełnym kombinezonie kosmicznym, dlatego Markus włożył na głowę hełm, uszczelnił, a także sprawdził dwa razy system podtrzymywania życia, nim poszedł w końcu do wskazanej śluzy sprawdzić, co się dzieje.

Ścisłe przestrzeganie regulaminu oczywiście nie dało Markusowi nic, bo nie było żadnej awarii. Conti opróżnił śluzę w trybie przyspieszonym, razem ze swoim towarzyszem, który wyleciał, krzycząc i wołając o pomoc przez niedziałające radio dalekiego zasięgu, które Conti zepsuł w hełmie parę godzin wcześniej.

Ojciec Ettore spokojnie poczekał na orbicie, aż były gwardzista, w towarzystwie zestawu

uszczelniającego, wejdzie w atmosferę planety. A kiedy dwa tycie błyski zasygnalizowały, że Markus i zestaw wyparowali, Conti wypruł z *dashboardu* pontifexańskie urządzenia naprowadzające, skasował wszystkie raporty, które zapisywał jego nieżyjący już towarzysz i zaprogramował nowy kurs.

Podróż zajęła mu kilka dni, bo musiał gubić trop. Ostatecznie na złomowisku udało mu się wymienić swój statek na stary i zdezelowany transportowiec, którego jedyną zaletą było to, że miał fałszywe dane rejestracyjne.

Dotarł w końcu na Romę, do znajomego domku, który opuścił kilka tygodni wcześniej. Na Truposza musiał czekać dokładnie dwa dni, bo tyle zajęło załodze Kellera gubienie śladów.

Nie wyszedł na zewnątrz, kiedy dokowali w mikroporcie, ale poczekał w salonie, aż wszyscy znajdą się w środku.

Keller, Craftsheek, Moyra, Vlad, Mykey, Beatrix i Valerie wchodzili do środka jedno po drugim, a na widok ojca Conti twarz każdego z nich wyświeślała gamę uczuć, których Ettore nie potrafił zidentyfikować. Najciekawsza była mina Beatrix i reakcja Valerie.

Ta ostatnia wzięła go od razu na celownik impulsera, przypominając sytuację, która rozegrała się w tym domu już raz. Na wszelki wypadek Conti uniósł ręce do góry. Uśmiechał się.

Kiedy Keller złapał go w ramiona i uściskał, Conti oddał uścisk. Ogólnie ten gest niewiele dla niego znaczył, ale wiedział, że dla Kellera i jemu podobnych oznaczał radość ze spotkania. Sam również się cieszył na widok przyjaciół.

– Co do cholery?! – spytała Valerie.

– Miałem ci wyjaśnić plan, pamiętasz? To siadaj, wyjaśnię ci.

– Ale...

Pozostali członkowie załogi już siadali gdzie popadnie i uciszali protesty Val.

– Daj mu mówić – dodał Craftsheek, również klepiąc po plecach ojca Ettore.

– Valerie, poznaj Cooka – powiedział Keller, mrugając.

Conti, czy też Cook, podszedł do stojącej w rogu pokoju krioskrzyni i otworzył wieko, demonstrując leżące tam ciało bliźniaczo podobne do niego samego. Mężczyzna w środku był wychudzony, ale wszystkie czujniki wskazywały, że jest żywy.

– To jest prawdziwy ojciec Ettore Conti. – Cook wskazał ręką. – A teraz, jeżeli to możliwe, chciałbym powrócić do zwykłej formy.

Keller nachylił się do Beatrix i Val.

– Jeśli macie wrażliwe żołądki, lepiej zamknijcie oczy.

– Dlaczego? – spytała Val.

– Widziałaś kiedyś Morfa?

Val nie widziała.

Transformacja zachodziła płynnie, ręce skracały się, kolana przemieszczały, ale w pewnym momencie, kiedy skóra brzucha zaczęła pękać i na wierzch zaczęły wychodzić fragmenty organów i jakaś pulpa bezkształtnej masy, Beatrix wybiegła zwymiotować. Val gapiła się na to wszystko z mieszaniną odrazy i fascynacji.

– Zadaniem Cooka było jak najdokładniejsze przesłuchanie prawdziwego ojca Conti – zaczął Keller. – Miał zebrać jak najwięcej informacji, a następnie przeniknąć na Pontifex i być naszym wsparciem z drugiej strony. Co mu się udało, nieprawdaż, Cook?

Cook w tym czasie zmienił się w zupełnie inną osobę. Był niższy, trochę tęższy i przede wszystkim nagi. Nic sobie z tego nie robiąc podszedł do najbliższej szafy i wyciągnął ubranie.

– O mało nie zawałem na początku – przyznał się, wciągając spodnie. – Byłem odrobinę nieuważny i Conti odebrał mi broń. Strzelił w głowę. Tu parę wyjaśnień dla naszych nowych znajomych. – Skłonił się w stronę Val i Beatrix. – Tak, jestem Morfem. Jednym z tych, którzy poruszają się po zamieszkałych przez ludzi układach, spiknęliśmy się z Kellerem dawno temu.

– Ciekawość to ich cecha gatunkowa – wymamrotała Val słowa Craftsheeka, które usłyszała podczas opowieści o Sarmacji.

– Można tak powiedzieć – uśmiechnął się Cook. – Wyjaśniając: członkowie mojej rasy nie mają jednolitego kształtu, tak jak wy to rozumiecie. Raczej przypominamy...

– Melasę – podsunął usłudźnie Vlad i przybił piątkę z Moyrą, która parsknęła z tego niewybrednego żartu.

– Melasę – potwierdził Cook. – Jednak świetnie potrafimy imitować inne rasy.

– Skrócę wam to – wtrącił się Craftsheek. – Budowa molekularna o luźnych wiązaniach. Transformowalny układ nerwowy, coś, co moglibyśmy nazwać rozproszonym mózgiem, który mogą wplatać w dowolne części ciała. Oczywiście podobieństwo do człowieka jest czysto powierzchowne, ale Cook po wielu latach potrafi nie tylko dostosować się zewnętrznie, ale wytworzyć wewnątrz i zasymulować podstawowe organy. Krwiobiegi, serce, coś, co przypomina wątrobę. Oczywiście nie pełnią takich funkcji jak u nas, to raczej... maskowanie.

– Właśnie tak – powiedział Cook. – Kiedy ten tu Conti strzelił mi w głowę z lasera, oczywiście przepalił mi parę tkanek, ale poza tym nie wyrządził żadnej krzywdy. Więc odebrałem mu broń i przesłuchałem do końca. Dwa dni poświęciłem na pełną adaptację do ciała Contiego, kolejny dzień na symulowanie wzoru siatkówki, odcisków palców i innych parametrów biometrycznych. Chyba najdumniejszy byłem z ucha – pochwalił się. – Jeszcze nigdy nikogo nie skopiowałem tak wiernie. Następnie, wyposażony w tę wiedzę, udałem się na Pontifex, gdzie, jak już wiecie, udało mi się wejść w łaski samego Ramiera. Początkowy plan był taki, że dostaję klucz do skrzynki z winem, ładujemy tam papieża, którego zjadłem, ale wszyscy byliśmy zbyt dobrze pilnowani. Ja byłem pod ciągłą obserwacją,

sprawa z gwoździem owszem, zaprowadziła was na salony, jednak ta sprawa z Beatrix...

– Poczekaj, poczekaj – zapytała Beatrix. – Zjadłeś papę?!

Wszyscy się roześmiali, tylko Beatrix rozglądała się niepewnie, jakby nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– To nie tak – uspokoił ją Keller. – Naszą główną misją było wykradzenie szczątków papieża Jana Pawła II. Pamiętasz, gdy spotkaliśmy go... Contiego w Parku Papieskim? Stał niedaleko grobu.

– Tak, ale jak to zjadł?

– Morfowie nie jedzą jak ludzie. Raczej... asymilują materię. Mogą to robić każdą powierzchnią ciała.

– Tu było to bardziej skomplikowane – wszedł mu w słowo Cook. – Musiałem, jak wy byście powiedzieli, przegryźć się przez warstwę ziemi i opakowanie. Znaczą się trumnę. Nie asymilowałem tego, musiałem to odprowadzić, więc nadmiar tego co, hm... wyssałem czy wykopałem przez dziurę, odprowadziłem do grobu obok. Następnie... no, nie potrzebuję oczu na głowie, kiedy uformowałem długą mackę, a sutanna to dobra przykrywka, rozpocząłem wyciąganie kości papieża. Musiałem je trochę połamać, otwór nie był duży, a musiałem sobie poradzić z miednicą, czaszką czy kośćmi udowymi. Zatrzymałem to wszystko w środku, nie było tego dużo.

– W środku czego – zapytała Val?

– W środku siebie – powiedział Cook, pozwalając, aby na jego twarz wypełzło zdziwienie. Wiedział, że komunikacja niewerbalna jest dla ludzi bardzo ważna, dopasowanie malujących się na twarzy uczuć do wypowiedzianych słów było najcięższym wyzwaniem podczas kontaktów z tą rasą.

– Więc w gruncie rzeczy – powiedziała spokojnie Beatrix – jakiegoś papę w pewnym sensie zjadłeś.

Znowu wszyscy parsknęli śmiechem.

– W pewnym sensie tak. – Cook uśmiechnął się. – Niestety, skrzynia z winami, którą planowałem odzyskać i załadować tam kości papieża, była poza moim zasięgiem. Musiałem zatem łączyć z nim przez jakiś czas i uważnie pilnować, żeby tej części materii faktycznie nie zasymilować. Na szczęście kontroluję metabolizm i procesy biologiczne lepiej niż wy. Potem sam Ramier wysłał mnie z Pontifexa na poszukiwania was, na co oczywiście się zgodziłem. To był najlepszy sposób na wydostanie się z planety bez wzbudzania podejrzeń. Chociaż... – odwrócił się do Kellera – Ian, jesteś popieprzony. Zaatakowałeś Pontifex? Co tam się działo, wypowiedziałeś im wojnę? Wiesz, jaki zapanował popłoch? Ramier wyznaczył za ciebie nagrodę, będziesz miał łowców głów na karku przez jakiś czas.

Keller wzruszył ramionami.

– Gdyby tak zsumować wszystko: sprzedaliśmy im gwoźdź, wzięliśmy pieniądze, rozwaliliśmy gwardzistów, zabraliśmy gwoźdź...

– O tym nie wiedziałem – mruknął Cook.

– ...ukradliśmy szkielet Jana Pawła II, choć o tym nie wiedzą, uwiodłem papieską córkę, a potem

sterroryzowałem Igłą całą planetę. Niezły bilans. Ciekawe, co na to powie Malicki i Caruso?

– Jutro się z nimi skontaktuję – powiedział Craftsheek. – A dziś... czy możemy się po prostu zabawić?

– Tak jest! – krzyknął Vlad. – Napiłbym się wódki.

– Ja herbaty – skrzywił się Craftsheek.

– Ja diamentów – powiedział Cook i wszyscy na niego spojrzeli. – No co? Każdy ma swoje używki.

– Ty lepiej zamknij tę kriokomorę – powiedział Keller, wskazując kąt, gdzie spoczywał Conti. – Nie

będziemy ojcu przeszkadzać w odpoczynku.

– Będziemy musieli go oddać? – zapytał Cook i oblizał usta.

Wszyscy znowu zapatrzyli się na Morfa, na którego twarz powoli wypłynął uśmiech.

– To taki żart, rozumiecie?

Zrozumieli.



Malicki i Caruso przybyli do Kellera razem.

Malicki przybywał z wiadomością, że Urząd Zасiedlania Układu Polonusa zweryfikował swoją teorię dotyczącą planetoidy i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby Keller mógł dalej na niej mieszkać. Keller wysłuchał tego ze spokojną miną i nie raczył powiedzieć, że i tak podjął decyzję o wyniesieniu się z tego układu. Przeprowadzka polegająca na ekstrakcji domu z powierzchni i przeniesienie go w inne miejsce została już starannie zaplanowana i wszystko miało ruszyć w przyszłym tygodniu. W podjęciu decyzji pomogło czterdzieści milionów standardów, które podzielone zostały na równe części pomiędzy członków załogi. Jedynie Val nie chciała przyjąć wynagrodzenia, twierdząc, że to jej praca i nie może przyjmować żadnej gratyfikacji. Wszyscy ją wyśmiali i wiercili dziurę w brzuchu tak długo, póki nie zgodziła się przyjąć swojej działki. A to jeszcze nie był koniec.

Zgodnie z tym, co wynegocjował Cook u legata Caruso, za pomyślne wykonanie misji mieli otrzymać kolejne dwadzieścia milionów, które również miały iść do podziału.

Malicki otrzymał współrzędne miejsca na Romie, gdzie znajdował się ojciec Ettore Conti, i dla zachowania pozorów, Keller poradził mu, aby za jakiś miesiąc dokonali upozorowanego, nagłośnionego aresztowania, tak aby Pontifex wiedział, co stało się z ich wysłannikiem.

Albert Caruso otrzymał sporą walizkę, w której znajdowały się szczątki tak ważnego dla Watykanu papieża. W pierwszej chwili nie był zadowolony na widok ilości kawałków, na które Cook podzielił szkielet papieża, ale w końcu uznał, że kościelni specjaliści doskonale sobie poradzą z taką układanką.

Kolejne karty banku pretoriańskiego zmieniły właściciela.

Większość pytań Malickiego Keller uprzejmie ignorował, zaprzeczał, że miał coś wspólnego z jakimkolwiek atakiem na planetę i zbywał go cały czas, aż w końcu wściekły pułkownik zabrał

szczęśliwego legata i odlecieli z planetoidy.

Keller, Beatrix, Craftsheek i Cook siedzieli w salonie i gapili się w trzaskający w kominku ogień.

– Niezły zbiór – odezwała się w końcu Beatrix. – Ostatni Sarmata, ostatni Mod, najdziwniejsza na świecie rozumna melasa i papieska córka.

Cook uśmiechnął się, ale zrozumiał, że to chyba nie było śmieszne, bo nikt poza nim nie miał na twarzy tego charakterystycznego grymasu rozciągniętych ust.

– To było nostalgiczne? – zapytał. – Nie bardzo sobie radzę.

Beatrix uśmiechnęła się do niego i Cook się poddał.

– Powiedz mi, Ian. – Odwróciła głowę do ukochanego. – Ten pojedynek. O co w tym chodziło?

– O Noskowa – westchnął Keller. – I zemstę. – Przyciągnął ją i pocałował w czoło. – I sprawiedliwość.



Noskow był długowieczny. Masa cybernetycznych implantów, którymi nafaszerował się przez lata, trzymała go w doskonałym zdrowiu i kondycji.

Dlatego kiedy Wiera, najstarsza córka generała, znalazła ojca leżącego w salonie na wznak, bez ruchu, w pierwszej chwili spanikowała. Ojciec zawsze był pełen życia i energii, a teraz leżał bezwładnie na ziemi. Oddychał. Zaalarmowała matkę, a ta z kolei powiadomiła asystenta generała. Noskow został zabrany do wojskowego szpitala, gdzie natychmiast go zbadano.

Fiolki, które Keller otrzymał od Stiopy, zawierały nanobotyczny zaawansowany system zaczepno-obronny z Caratu. Stiopa przez wiele lat udoskonaliał oprogramowanie botów pracując dla Cara i nie zaprzestał udoskonalania go nawet wtedy, gdy Keller z Craftsheekiem umożliwił mu zmianę tożsamości i ucieczkę na Kyboe. Ani potem, kiedy uratowali podobnie żonę Stiopy, Nadieżdę. Takie miał hobby.

Keller zaprogramował boty i jako przetrwalnika dla nich użył swojej karabeli. Tylko on, jako jedyny, miał immunitet na ich działanie, bo tak je zaprogramował. Kiedy Noskow wziął do ręki szablę Kellera, boty rozpoznały obce ciało i dokonały błyskawicznej infekcji organizmu. Ilość botów, która początkowo przedostała się do organizmu generała, była niewielka, ale replikacja następowała skokowo, początkowo w postępie liniowym, później w geometrycznym. Replikacja musiała być przeprowadzona ostrożnie, tak aby namnażanie botów nie zostało zauważone przez systemy defensywne Noskowa.

Pięć dni po infekcji wszystko było gotowe. Oprogramowanie Stiopy uaktywniło się i boty zaczęły zagnieżdżać się w mózgu zaatakowanego, omijając caracki software obronny i ucząc się mapy synaptycznej ofiary.

Mówiąc inaczej – boty nauczyły się, w jaki sposób myśli Noskow na poziomie połączeń nerwowych, tak, by móc zrealizować główne zadanie programu.



Trzy dni później, kiedy Noskow szedł przez salon do kuchni, oprogramowanie Stiopy przejęło pełną kontrolę nad implantami Noskova i wdrożyło podprogram główny. Noskow padł jak podcięty.

Wstępne badania twierdziły, że generał jest zdrow jak ryba. Bardziej szczegółowe badania polegające na bezpośrednim podłączeniu się wojskowych techników wprost do gniazda zakotwiczonego w pniu mózgu również nic nie wykazały. Było to spowodowane faktem, że carackie maszyny diagnostyczne myślały, że porozumiewają się z oryginalnym, firmowym układem, a w rzeczywistości dostawały informację od nanobotów Stiopy, emulujących carackie protokoły i fałszujących dane medyczne w czasie rzeczywistym.

Boty rozpoczęły główny program. Dobrały się do ośrodka motorycznego i przejęły nad nim zupełną kontrolę. Zawładnęły wegetatywnym układem nerwowym, tak, aby przypadkiem nosiciel nie przestał oddychać. Ani nie obudził się. W gruncie rzeczy fundowały mu świadomy sen, którego nie można było przerwać.

Sny generowane przez boty miały podłoże skrajnie schizofreniczne. Obrazy były przedstawiane Noskowowi w postaci wydarzeń, na które mógł częściowo wpływać, ale nie do końca. Boty prowadziły go przez wybory, które kończyły się zawsze w ten sam sposób. Śmiercią rodziny. Zagładą planety. Albo...

Oto najmłodsza córka, Alisa, najukochańsza córeczka tatusia, umiera na jego rękach z powodu oparzeń, które sam spowodował. Reset. Oto hordy atakujących przedzierają się przez linie obrony planety i mordują w niewyobrażalny sposób żonę i trzy córki Noskova. Reset. Do mieszkania wdzierają się złodzieje i Noskow strzela, ale trafia własną matkę. Reset... Reset... Reset.

Zamknięty w swojej głowie Noskow nie potrafił odróżnić serwowanych mu snów od rzeczywistości i za każdą wygenerowaną losową iteracją, przeżywał niekończące się katusze psychicznego cierpienia, które mogła ukrócić jedynie śmierć.

A cyberlekarze nie mogli go ocucić.

W końcu jeden z doktorów wysłał zapytanie do sztabu, czy powinni podtrzymywać sztucznie życie generała, czy raczej powinni odłączyć kroplówki i przestać dokarmiać go dożylnie.

Sztab przedstawił przypadek Carowi.

Odpowiedź Cara Iwana Młodego była jednoznaczna:

– Generał Noskow oddał nam zbyt wiele zasług, by teraz pozbyć się go jak psa. Należy utrzymywać go w dobrej kondycji, póki nie odzyska przytomności, i jednocześnie należy podjąć wszelkie możliwe środki, aby go wybudzić.

W tym przypadku jednak lekarze byli bezradni. Odłączyli go dopiero dziesięć lat później z rozkazu Cara Pawła – następcy Iwana Młodego.

\* \* \*

– Beatrix, kochanie. Co byś powiedziała, gdybym zaplanował naszą podróż poślubną na Planetę Szmaragdową?

– Czy masz zamiar prosić mnie w ten durny sposób o rękę, Ianie Keller?

– Po prostu powiedz „tak”.

– Tak!

KONIEC

Polecamy również:

*Dariusz Sypeń*

## ***DŻUNGLA***

XXIII wiek. Ludzie skolonizowali Marsa, mało kto jednak nazywa go swoim domem. Terraformacja udała się tylko do pewnego stopnia, mieszkańców nękają choroby i problemy psychiczne, relacje społeczne zaczynają przypominać te z czasów średniowiecza, a dawne jednostki administracyjne zamieniły się we wrogo nastawione do siebie zony, szykujące się do wojny.

Sytuacja na Czerwonej Planecie komplikuje się jeszcze bardziej, gdy pojawia się na niej dziwny roślinopodobny twór, zwany „dżunglą”. Czym jest? Co jego rozwój oznacza dla przyszłości planety i ludzkości? Dwójka głównych bohaterów – każde na własną rękę i z innych powodów – odkrywa, czym jest dżungla i co tak naprawdę kryje się za zapomnianym projektem naukowym, który nagle zostaje wznowiony.

W dalszej części znajdziecie Państwo  
fragment publikacji





# DŻUNGLA

DARIUSZ SYPEN





# 1



Słońce liże jego powieki i wybudza ze snu. Daniel otwiera oczy, ze wstrętem omiata spojrzeniem szary, piankowy sufit i narzuca kołdrę na głowę, pragnąc śnić dalej. Nie pamięta już szczegółów, wie jednak, że to była lukrowana ciepłem i radosnymi kolorami historia. Niestety, sen odszedł na dobre.

Po chwili, już całkiem rozbudzony, sięga prawą ręką za siebie, ale nie natrafia na ciało Aiko. Przypomina sobie, że wczoraj ostro się pokłócili o jakąś drobnostkę i Aiko spędziła tę noc w pokoju gościnnym. Teraz jednak chciałby przywrzeć do jej pleców i wsunąć się między jej uda.

Siada zgarbiony na brzegu łóżka. Admin informuje go o godzinie i temperaturze na zewnątrz – jest już dość ciepło, szesnaście stopni Celsjusza. Wygląda przez wschodnie okno. Światło słońca jest złowroźnie zielonkawe, jakby wytryskiwało z gnijącej, organicznej zawiesiny. Pyłki Priega. Ale one w żadnym razie nie są martwe. Przeciwnie, są aż nadto żywe.

Prosi admina o zasłonięcie okna. Potem podchodzi do południowego i wygląda na szklarnię. Z dumą przygląda się drzewku pomarańczowemu. Mimo iż to odmiana zmodyfikowana genetycznie, jego uprawa kosztowała go wiele trudu. Tutaj nic nie przychodzi łatwo, myśli. Było jednak warto – trzy owoce, już w pełni dojrzałe, pyszną się na drzewku niczym złote gwiazdy. Postanawia, że dziś je zerwie. Zrobi sobie z Aiko prawdziwą ucztę.

O ile się pogodzimy.

Taksuje wzrokiem inne rośliny: pomidory, ogórki, grządki marchewki i pietruszki, brokuły, seler, cebulę, paprykę. Dalej, w rogu, stoi kilkanaście doniczek z bazylią, tymiankiem, rozmarynem i kolendrą (on jej nie znosi, ale Aiko za nią przepada). Naprzeciw rosną jabłonie, gruszki i wiśnie. Wszystkie rośliny są uprawiane z troską, niczego im nie brakuje, Daniel regularnie nawozi glebę, przycina i podwiązuje gałązki, sprawdza naświetlenie, oczyszcza szyby, uruchamia zraszacze. Te ostatnie mogłyby pracować automatycznie, ale Daniel woli obsługiwać je ręcznie.

Nacieszywszy się widokiem roślin, przechodzi do łazienki. Po drodze słyszy dobiegający z salonu niski głos Marka Rosenberga. Daniel bierze prysznic, ubiera się, aktywuje hexa i przechodzi do pokoju. Mark siedzi w fotelu naprzeciwko Aiko. Filiżanki kawy na stoliku pomiędzy nimi są puste, Mark musi tu być już od jakiegoś czasu.

Mark i jego żona Christiana są ich najbliższymi sąsiadami, mieszkają kilometr dalej, u wylotu kanionu, w małym, ale wygodnie urządzonej domu. Sprowadzili się tutaj półtora ziemskiego roku temu z Nowego Rio. Mark pracuje w przepompowni wody w Nowym Belém, Christiana natomiast jest doradcą marketingowym. Oboje są otwarci, przyjaźni i uczynni, więc Daniel i Aiko cenią sobie tę sąsiedzką znajomość. Kilka miesięcy temu Daniel mógł też docenić walory fizyczne Christiany, wdając się z nią w krótkotrwały romans.

– Mark – mówi Daniel.

– Cześć, Daniel – mężczyzna unosi się z fotela i podaje mu rękę.

Aiko uśmiecha się promiennie do Daniela. Dobrze, że jej przeszło. Z drugiej jednak strony te gwałtowne zmiany humoru zdarzają jej się ostatnio coraz częściej, co staje się męczące. Wygląda jak licealistka, ale naprawdę ma sześćdziesiąt siedem lat. Powinna zachowywać się odrobinę poważniej.

– Przepraszam, że nachodzę was o tak wczesnej porze – zwraca się do niego Mark, siadając. – Przed godziną odebrałem ważną dla Aiko wiadomość... Którą lepiej było przekazać osobiście... Znalazłem faceta, który może zdjąć jej blokadę.

Bardzo szybko to załatwił, musi mieć dobre znajomości, myśli Daniel. Podejrzewa, że jego gorliwość wynika z tego, że chce się dobrać do Aiko. Nie jest tylko pewien, czy sąsiad chce to zrobić, ponieważ Aiko tak mu się podoba, czy dlatego, że wie, że Christiana romansowała z Danielem. Bez różnicy. Nie ma nic przeciwko, żeby Aiko pieprzyła się z Markiem. Nie ma nic przeciwko, żeby pieprzyła się z kimkolwiek zechce.

– To ktoś sprawdzony? – pyta Daniel.

– Tak, tak, facet ma doświadczenie. Ponoć zrobił już kilkanaście takich zabiegów i nigdy nie było żadnych problemów.

– Skąd jest? – pyta Daniel.



– Z Nowego Rio.

No tak, mógł nie pytać.

– Ile weźmie?

– Cztery tysiące kredytów – odpowiada Aiko z niepewnym wyrazem twarzy.

– To więcej niż zakładałaś – stwierdza Daniel. – Skąd ta różnica?

– Hex – odpowiada za nią Mark. – Nowe prawo. Podczas pobytu w Nowym Rio hex musi być cały czas aktywny. Więc trzeba będzie go emulować.

Daniel przypomina sobie, że jakiś czas temu słyszał o tym. Jednocześnie uświadamia sobie, że nie był w większym mieście już od ponad trzech lat.

– Pożyczysz mi brakującą resztę? – pyta Aiko.

Prosi go o półtora tysiąca kredytów. A więc stąd ten promienny uśmiech od samego rana.

– Dam ci je – mówi Daniel. – Ale przemyśl to jeszcze.

– Tak zrobię – obiecuje Aiko.

Daniel jest jednak pewien, że nic jej już nie odwiedzie od postanowienia, by zdjąć pięcioletnią blokadę nałożoną przez lekarzy. Może jedynie przestroga Buddy, tego idioty w ciele kozokrowy... Ale Aiko już o to pytała sztuczniaka i Budda nie zaprotestował. Nie widzi w tym dla niej żadnego ryzyka. Wierzy w jej zdrowy rozsądek. Więc sprawa jest przesądzona.

Aiko jest czysta dwa lata i ma już tego dość. Nie wytrzyma kolejnych trzech. Pozytywki Daniela to za mało, by w pełni ją uszczęśliwić.

– Usiądź, zrobię ci śniadanie – mówi Aiko, wstając.

– Nie jestem jeszcze głodny – odpowiada Daniel. – Wystarczy sama kawa. Potem będę musiał wyprowadzić kozokrowy – mówi przeproszającym tonem, kierując słowa w stronę Marka. Domyśla się, że sąsiadowi to odpowiada.

Siada na sofie, a Aiko zaczyna się krzątać przy automacie kuchennym.

– A w ogóle jak się mają te twoje zwierzęta, Daniel? – w pytaniu Marka można wyczuć zawołowaną kpinę. – Ostatnio się nimi nie chwalisz.

– Zdrowe, utuczone.

– Podziwiam cię. Mnie nie starczyłoby cierpliwości, by zajmować się hodowlą bydła.

– Ja też tak kiedyś myślałem. Ale teraz to dla mnie czysta przyjemność. Uspokajam się przy nich, nabieram dystansu do tego całego szaleństwa w związku z dżunglą. – Zatacza ręką koło nad głową. – Przez to wydaję mniej na alkohol – dodaje żartobliwie.

Mark parska głośnym śmiechem, ale potem na chwilę zapada ponure milczenie. Nie trzeba było wspominać o dżungli, myśli Daniel.

– Jeśli się zdecyduję, pojedziesz tam ze mną? – pyta Aiko, stawiając przed nim filiżankę z kawą.

– Tak – mówi. – Ale nie chciałbym tego później żałować.

– Nie mów tak – szepcze Aiko, zatrzymując wzrok na filizance. – Nie będziesz musiał.

Mark patrzy na niego i kiwa głową, jakby chciał powiedzieć, że wierzy zapewnieniom Aiko.

– Nigdy nie miałam problemów z alkoholem ani mazią, przecież wiesz. Tamto... To, co się wtedy stało, to był jednorazowy wybryk – tłumaczy się Aiko. – Przecież wiesz.

Rozmawiali o tym zaledwie raz, tuż po tym, jak z nim zamieszkała. Dwa lata temu przechodziła poważne załamanie nerwowe po rozstaniu z mężem. Chciała popełnić samobójstwo. Połknęła garść proszków nasennych, wypła morze alkoholu i wtarła maź w dziąsła. Uratowano ją w ostatniej chwili. A potem, zgodnie z prawem Czwartej Zony i w ramach szczytnej walki władzy z alkoholizmem i narkomanią, nałożono jej pięcioletnią nanoblokadę. To samo prawo przewidywało rok więzienia za nielegalne zdjęcie blokady bądź pomoc w przeprowadzeniu zabiegu.

Daniel chciałby jej odpowiedzieć, że wie o niej tylko to, co sama mu powiedziała. Że znają się zaledwie półtora roku. Że w jej sześćdziesięciosiedmioletnim życiu mogło być więcej takich kryzysów, więcej okresów depresji, więcej prób samobójczych. Że nie ma pewności, czy nie jest alkoholiczką albo narkomanką. Że się o nią martwi. Ale mówi tylko:

– Wiem.

Sięga po kawę. Mark, odrobinę skrepowany, wybija palcem rytm na kolanie.

– Pokazałam Markowi pozytywkę – mówi Aiko i podchodzi do regału po prawej. – Tę, którą skończyłeś wczoraj. – Zabiera z półki pozytywkę w kształcie muszli i wraca na miejsce. Trzyma przedmiot na wysokości oczu i przygląda się poszczególnym detalom. – Jest doskonała.

– Tak, robi wrażenie – przyznaje Mark.

Daniel dziękuje mu skinieniem głowy. Istotnie, uważa, że wykonał świetną robotę. Na podstawie pozytywki i jej wieku umieścił drobne inkrustacje ze srebra o roślinnych, splątanych kształtach, które połyskują hipnotyzująco przy każdym poruszeniu.

Aiko otwiera pozytywkę, odsłaniając tańczącą baletnicę wykonaną z syntetycznej masy perłowej i kładzie ją na stoliku. Zaczynają wybrzmiewać dźwięki menueta g-moll Bacha, czyste i delikatne. Słuchają melodii długą chwilę.

– Znów Bach – zauważa Mark, lekko się uśmiechając. Dobrze wie, że większość pozytywek zrobionych przez Daniela gra utwory Bacha, co stanowi ich znak rozpoznawczy.

– Tak, Daniel go uwielbia – mówi Aiko. – Słucha go na okrągło. Kiedyś zamęczy mnie nim na śmierć – śmieje się.

– Naprawdę cudowna – mówi Mark. – Zamówiła ją Luiza, o ile pamiętam?

– Tak.

– Zazdroścę jej – mówi Aiko. – Zrobiłbyś podobną dla mnie? W kształcie muszli i z baletnicą?

Zapłacę ci...

– Nie musisz mi płacić za pozytywki – obrusza się Daniel. – Zrobię dla ciebie podobną, jeśli chcesz – mówi i dopija kawę.

– To będzie moja czwarta – mówi Aiko do Marka. – Wybiorę dla niej jakieś szczególne wspomnienie.

Daniel zamyka wieko pozytywki.

– Muszę zająć się kozokrowami – mówi. – Do zobaczenia – rzuca w stronę Marka, chwyta pozytywkę i wstaje z sofy.

– Do zobaczenia – mówi Mark.

Daniel podchodzi z pozytywką do regału, ale szybko się rozmyśla i zanosz ją do sypialni. Chowa ją do szuflady. Jak zna Luizę, pewnie nie chciałaby, żeby zbyt wielu ludzi jej dotykało.

Później wychodzi na zewnątrz. Przystaje i spogląda na wschód. Słońce podniosło się i nie ma już tej okropnej zielonkawej barwy, promienie nie przebijają się już przez chmurę pyłków Priega, ale poniżej, daleko na horyzoncie, na całej jego szerokości, ciągnie się zbity pas tego koloru, oznaczający, że dżungla wciąż tam jest, nieprzenikniona i groźna. Od dwóch lat nie przesunęła swojej granicy w tym rejonie. Jej czoło znajduje się w odległości jedenastu kilometrów od domu Daniela i dwudziestu trzech od Nowego Belém, ale Daniel wie, że potrzebowałaby zaledwie dwóch – trzech miesięcy, aby pochłonąć jego ziemię i miasteczko. I tak się w końcu kiedyś stanie. Ale do tego momentu nie zamierza się stąd wyprowadzać. Czuję, że to jego miejsce. Jedyne w miarę znośne w całym pierdolonym Wszechświecie. Po śmierci Katrin i Jessiki sprowadził się tu z myślą, że niedługo do nich dołączy. Przez pierwszych kilka miesięcy każdego dnia budził się, planując samobójstwo, jednak zawsze jakaś drobna rzecz – zamówienie od nowego klienta, konieczność uszczelnienia szklarni, przypadkowy seks z jakąś mieszkanką Nowego Belém – go od tego odwodziła. A później, kiedy rośliny w szklarni tak wspaniale zaczęły się rozwijać i kiedy kupił Cathy, zauważył, że coraz rzadziej rozmyśla o śmierci. Życie wciąż było główną sprawą, ale co jakiś czas zdarzało mu się doświadczyć czegoś może nie niezwykłego, ale zawierającego w sobie jakiś okruczeństwo. Wiedział, że gdyby mieszkał gdzie indziej, nie byłoby to możliwe, i musiałby poddać się rozpaczce.

Patrzy teraz w kierunku północnym na dom Rosenbergów. Przez chwilę wspomina ciepłe, drobne ciało Christiany. Zastanawia się, czy w najbliższym czasie będą mieli okazję pójść do łóżka. Mark pracuje na zmiany. Warto by to wykorzystać.

Mija łazik Marka i podąża do obory. Gdy wchodzi do budynku, wita go głos admina, zawsze gotowego do wykonywania jego poleceń, i radosne muczenie kozokrów. Każdej z nich nadał imiona – Sophie, Sue i Cathy. Ta ostatnia jest jego ulubienicą – ma ją najdłużej, siedem lat. Jest matką pozostałej dwójki. Podchodzi do jej boksu, głaszcze ją po boku i klepie po szyi. Potem zwyczajowo prosi admina, by podał mu biostatystyki z nocy, choć wie, że wszystko jest w porządku. Wiedział to już, gdy wchodził do obory.

Wystarczył mu jeden rzut oka na swoje zwierzęta.

– No, kochane – mówi, gdy admin kończy recytować dane – idziemy.

Wyprowadza zwierzęta na zewnątrz i wiedzie je ku pastwisku, około trzystu metrów od domu. Krowy pochylają śliniące się pyski i zaczynają skubać kępki zielonoszarej mchotrawy. Daniel zamyka bramkę i uruchamia elektrycznego pastucha. Wracając do domu, widzi ponad zabudowaniami willę Luizy, najeżoną elektroniką i porządnie zabezpieczoną przed wpływem środowiska i włamaniami, oddaloną o dwa kilometry w kierunku południowym, stojącą na wzgórzu.

Osobnym wjazdem wchodzi do szklarni. Unosi się tu wspaniały zapach dojrzewających roślin i prawdziwej gleby. Wymienia jeden ze zraszaczy, podlewa drzewka i warzywa, następnie sprawdza, czy nigdzie nie pojawił się grzyb rudziak, zmora marsjańskich ogrodników. Gdy pracuje, jego myśli mimowolnie wędrują ku dżungli.

Zanim opuści szklarnię, zrywa pomarańcze. Wychodząc na zewnątrz, spostrzega, że Mark już odjechał. Chyba niewiele wyszło z jego starań.

Znalazłszy się w domu, idzie do salonu. Aiko leży na sofie skulona w kłębek. Obok, na stoliku, leży otwarta pozytywka, druga, jaką jej zrobił, z miniaturką kwitnącego drzewka wiśni. To jedna z tych, które nie grają melodii Bacha – zamiast tego słyszą dźwięki o wyraźnej japońskiej proveniencji, swą barwą dość nawet przypominające brzmienie shikansena. Daniel doskonale wie, z jakim wspomnieniem łączy się ta pozytywka: Aiko miała wtedy cztery lata, to była ostatnia wiosna, jaką spędziła na Ziemi, na wyspie Kikaijima, gdzie jej rodzice mieli dom z wielkim sadem. W jej wspomnieniu dzień był pełen światła, niebo cudownie błękitne, a dookoła kwitły drzewka wiśniowe. Jej ojciec, śmiejąc się, huśtał ją na huśtawce, a matka siedziała na ławce nieopodal z książką w ręku. Prążki światła wędrowały po skórze Aiko, a cudowne powietrze przesiąknięte zapachem wiosny wypełniało płuca. To była jedna z najpiękniejszych, najszczęśliwszych chwil w jej życiu. W następnym roku Kikaijima została spustoszona przez największe tsunami, jakie kiedykolwiek nawiedziło ten rejon Pacyfiku. Jej rodzice w ciągu kilku chwil stracili cały dobytek. To wydarzenie skłoniło ich do podjęcia decyzji o emigracji na Marsa, gdzie chcieli zacząć wszystko od nowa. Najgorszej decyzji z możliwych, zdaniem Aiko.

Teraz więc używa pozytywki wzmacniającej wspomnienia i wraca do tamtej chwili sprzed sześćdziesięciu trzech lat, by znów poczuć na skórze pieszczoty słońca łaskawszego niż to widziane z Marsa, by znów mieć w płucach rozkoszne ziemskie powietrze, zasobniejsze w tlen i wonniejsze, by zobaczyć twarze i usłyszeć głosy rodziców, którzy umarli dawno temu, by znów być małą, szczęśliwą dziewczynką, która jeszcze nic nie wie o piekle, jakim jest Czerwona Planeta.

Daniel kładzie pomarańcze na blacie kuchennym, potem siada w fotelu i zaczyna przyglądać się twarzy Aiko, na której maluje się wielkie skupienie. Aiko ma zamknięte oczy, jej małe, wąskie usta drżą, wystaje z nich koniuszek języka. Czy właśnie taką minę robiła, gdy ojciec bawił się z nią w tamtej odległej

chwili? Całkiem możliwe. Pozytywka jest niezwykle skutecznym narzędziem mnemonicznym, pozwala odtworzyć wspomnienie z niemal wszystkimi detalami, łącznie ze stanem emocjonalnym i reakcjami ciała na bodźce fizyczne. Zwłaszcza pozytywka wykonana przez niego – Daniel jest jednym z najlepszych w tej branży na Marsie, uznanie klientów odzwierciedla się w cenach, jakie gotowi są płacić. Jego pozytywki to małe arcydzieła. Ale równie ważny jest soft stworzony przez jego dziadka (który przecierał pierwsze szlaki w tym interesie), a później udoskonalony przez jego ojca. Teraz to Daniel nosi go w głowie, a strzeże system zabezpieczeń.

Po paru minutach Aiko przestaje wspominać. Otwiera oczy i nieco zdezorientowana rozgląda się po salonie. Potem zaczyna płakać.

– Boże, Daniel – wydusza z siebie.

– Wiem, Aiko.

– Nie, nie wiesz. Nie byłeś na Ziemi.

Kobieta w tej chwili przypomina małą dziewczynkę. Małą i zagubioną. Tak naprawdę to nie tyle ją przypomina, ile nią jest, mimo swego wieku, mimo życiowego doświadczenia, mimo półwiecza ścierania się z tą planetą. Gdy pierwszy raz z nią rozmawiał półtora roku temu, zaraz po tym, gdy zjawiała się w kolonii artystów, w tym obozowisku clownów, obłąkańców i ludzi zagubionych, skupionych wokół Buddy, wydała mu się osobą pełną życia, twardą, optymistyczną, do której strach i rezygnacja nie mają dostępu, a więc posiadającą te cechy, których nie dostrzegał u siebie. Być może dlatego tak szybko i tak mocno zaangażował się w ten związek. Dopiero po jakimś czasie, już po tym, gdy wyznała mu, w jakich okolicznościach opuściła Nowe Tokio, zrozumiał, że to była tylko maska, pod którą kryła się rozpacz i bezsilność. Zrozumiał, że Aiko, tak samo jak on, jest wrakiem człowieka.

Kobieta wyciąga do niego dłoń i każe mu usiąść obok siebie na sofie. Przywiera do niego ciałem i zaczyna całować, potem kochają się, szybko, mechanicznie, bez radości.

– Zerwałem pomarańcze – mówi Daniel, gdy się ubierają. – Zjedzmy jedną do śniadania, a resztę jako deser do obiadu – proponuje Daniel.

– Dobrze – zgadza się Aiko i zaczyna krzątać się po kuchni, włączywszy cicho muzykę z randomizera. Urządzenie improwizuje, używając dźwięków saksofonu, gitary i kongów. Wychodzi z tego całkiem znośny miks jazzu i bluesa.

Daniel sprawdza godzinę, po czym wywołuje hexem Luizę. Po chwili słyszy ciche sapnięcie, które ma chyba oznaczać „cześć”.

– Przepraszam – mówi Daniel. – Myślałem, że już nie śpisz.

– Nie spałam – stwierdza Luiza słabym, zachrypniętym głosem.

Zatem płakałaś. Zna sąsiadkę na tyle długo, by wiedzieć, że regularnie dopada ją depresja. Zresztą jak wszystkich wokół.

– Pozytywka jest gotowa. Powinniśmy się wkrótce spotkać, by odbyć sesję.

– Dobrze. – Luiza chwilę myśli. – Możesz dzisiaj?

– Nie ma problemu. Która godzina ci odpowiada?

– Trzecia?

– Będę.

– Dziękuję.

Kusi go, by zapytać, czemu znowu jest w takiej kiepskiej formie, ale szybko porzuca tę myśl. To nie jego sprawa, poza tym takim pytaniem na pewno by ją do siebie zraził. Zwłaszcza gdyby zadał je przez hexa.

– Oglądałaś zdjęcia, które ci ostatnio przesłałem? – pyta. – Wracałaś regularnie do tego wspomnienia?

– Tak.

– Dobrze. Do zobaczenia zatem.

– Do zobaczenia.

Aiko stawia przed nim talerz czegoś, co wygląda jak jajecznica, ale pewnie niewiele ma wspólnego z prawdziwymi jajkami.

– Dziwię się, że ta starucha jeszcze nie dała się przerobić na dżdżownicę – mówi Aiko, a Daniel parska śmiechem, bo najprawdopodobniej Luiza jest tylko kilka lat od niej starsza. Ale Luiza od dawna nie przechodziła kuracji odmładzającej i wygląda na pięćdziesiąt lat. – No co?

– Daj jej spokój.

– Nie lubię jej. Ma w sobie coś... coś z czarownicy z tych ziemskich legend. I wygląda jak czarownica.

– Cóż, niektórzy mogliby mieć zastrzeżenia i do twego wyglądu. – Wystarczy jeden rzut oka, by stwierdzić, że Aiko jest retuszowana. I nie chodzi tu tylko o odmłodzenie. Ma w sobie coś nienaturalnego, wygląda jak bohaterka holohentai, z tymi swoimi wielkimi, ciemnymi oczami, nazbyt drobnym ciałem o pełnych, sprężystych piersiach, włosami spiętymi w dwa warkocze, komiksową brodą zwężającą się w szpic.

Aiko prostuje się i patrzy na niego wściekle.

– Ty masz zastrzeżenia?

– Nie. Ty mnie taka kręcisz. – Po czym dodaje łagodnie, widząc, że Aiko szykuje się do dalszej walki:

– Nie kłóćmy się dziś, dobrze?

Aiko zagryza dolną wargę i w końcu odpuszcza. Siada przy nim i zaczyna jeść swoją porcję.

– Pojedź ze mną do nich dziś lub jutro – mówi.

– Po co?

Był z nią na kolacji w kolonii artystów tydzień temu. Pojechał tylko dlatego, że Mark i Christiana też zostali zaproszeni. Jak zwykle był to zmarnowany czas. Cztery godziny gadania o sztuce i o tym, jaki

cudowny jest Budda, czyli cztery godziny gadania o niczym. Nie ma ochoty tego powtarzać.

– Przedwczoraj sprowadził się tam ten rzeźbiarz, Sven jakiś tam, mówiłam ci. A dzisiaj ponoć ma przyjechać nowa dziewczyna, kompozytorka. Z Piątej Zony.

Daniel unosi brwi. Granice między zonami wciąż są otwarte, ale napięcie między nimi rośnie od dłuższego czasu, więc taka przeprowadzka musi oznaczać, że dziewczyna jest albo bardzo głupia, albo bardzo odważna i zdeterminowana.

– No i?

– Mógłbyś z nimi porozmawiać. Może będą chcieli, abys przygotował im pozytywki. Ostatnio nie masz zbyt wielu klientów.

To akurat prawda. W lecie jest najmniej zleceń. Ludziom pomaga wtedy słońce. Daniel nieraz już stwierdzał, że przy całym psychicznym rozmamłaniu Aiko jej zmysł praktyczny funkcjonuje bez zarzutu. Ale wcale nie martwi się brakiem koniunktury, stwierdza cierpko w myślach Daniel. Chce mieć tylko pewność, że będzie mógł jej pożyczyć te tysiąc pięćset kredytów.

– Myślę, że będą zainteresowani – dorzuca Aiko. – Przynajmniej Sven. Wspominałam mu o tobie. Powiedział, że kiedyś skorzystał raz z usług mnemonisty, i był zadowolony z efektu.

– Dobrze, pojedę – zgadza się Daniel. – Ale to jutro, w porządku? Dziś muszę się spotkać z Luizą. Nie wiem, ile potrwa sesja.

Aiko kiwa głową.

Kończą jajecznicę i Daniel prosi Aiko, żeby podała mu pomarańczę i nóż. Gdy owoc leży przed nimi na talerzu, patrzą na niego z namaszczeniem. Po chwili Daniel nacina skórkę i oddziela po kolei wszystkie części. W powietrzu roznosi się wspaniała, zniewalająca woń. Daniel wkłada sobie do ust pierwszą część i zamyka oczy. Jest soczysta i bardzo słodka. Długo ją przeżuwa, ciesząc się smakiem. Wreszcie połyka i patrzy na Aiko. Kobieta wciąż rozkoszuje się swoją częścią.

– Cudownie smakuje – wymrukuje Aiko. – Od lat nie miałam w ustach prawdziwej pomarańczy.

– Ani ja.

Kolejne części zjadają równie nieśpiesznie.

– Możemy wykorzystać skórki – mówi Aiko, gdy talerz jest pusty. – Zetrę je i wykorzystam przy pieczeniu ciasta. – Zbiera skórki na talerz. – Są na to przepisy. Upiekę coś wieczorem.

– Byłoby wspaniale.

Aiko zabiera talerz ze skórkami i po chwili wraca na sofę. Daniel wywołuje admina i każe wyświetlić informacje prasowe. Stolik wypełnia się krzykliwymi tytułami, w większości zaznaczonymi na czerwono albo migającymi. Daniel czyta kilka pierwszych, wszystkie mówią o tym samym.

– Jezu – rzuca Aiko.

Daniel wybiera pierwszy z góry artykuł. Bliznak sfotografowany w okolicach Nowego Monachium.

Poniżej znajduje się informacja, że wczoraj, trzy lub cztery kilometry od Nowego Monachium, małego miasteczka w Piątej Zonie, w okolicach którego zanotowano ostatnio rozrost dżungli, grupka dzieciaków spostrzegła i sfotografowała bliźnaka. Nie byłaby to taka sensacja, gdyby nie jakość zdjęcia – wcześniej nikomu nie udało się tak wyraźnie uchwycić żadnego z tych tajemniczych stworzeń, choć doniesienia o spotkaniach z nimi pojawiają się od ponad roku.

– Powiększ – mówi Aiko.

Bliźnak wygląda upiornie. Stoi na dwóch krótkich, umięśnionych, ale niezbyt masywnych nogach. Jest mocno zgarbiony, długie ramiona zwisają luźno ku ziemi. Dłonie kończą się szponami. Jego ciało pokrywa zielonkawy meszek, spod którego przebijają liczne wzdłużne i poprzeczne zgrubienia skóry, przypominające blizny, których najwięcej jest na brzuchu, klatce piersiowej i twarzy. Ta ostatnia jest zresztą najohydniejsza – pod szeroko rozstawionymi, wytrzeszczonymi, zielonymi oczami i szerokim nosem błyskają dwa rzędy ostrych, wystających poza wargi zębów. Na ciele stworzenia nie można dostrzec genitaliów.

– Przerazający – szepcze Aiko, a na jej twarzy odmalowuje się autentyczny strach. Kobieta mimowolnie zaciska dłoń na jego rękę. – Spójrz na jego zęby. Myślałam, że te wszystkie historie o ich zębach to bajki.

– Ja też – przyznaje Daniel.

– Są ostre jak brzytwa. On musi być drapieżnikiem, jeść mięso. Jak one wszystkie.

– Tak.

– A te blizny? Do czego mogą im służyć? – pyta Aiko, choć wie, że na razie nikt nie zna zadowalającej odpowiedzi na to pytanie.

Daniel może jedynie wzruszyć ramionami.

– Wydaje się inteligentny – zauważa Aiko. Daniel zgadza się z nią w tej kwestii. – Jak myślisz, czy mogą być dla nas niebezpieczne? Czy dżungla stwarza je przeciwko nam? Jak jakąś armię?

– Trudno powiedzieć. Nie wiemy, jakie mają zamiary... jeśli mają jakiegokolwiek. Poza tym my dysponujemy bronią, a one... tylko zębami i szponami. Obrona przed nimi nie byłaby trudniejsza niż obrona przed zwierzętami... Tak mi się wydaje. Zresztą na razie jest ich chyba zbyt niewiele, by mogli nam zagrozić.

– Ale nie wiemy, czy w dżungli nie ma ich więcej – stwierdza Aiko. – Może żyją już ich tam tysiące, miliony.

– Wątpię.

– Ale nie można tego wykluczyć – upiera się Aiko. – Powinniśmy założyć najgorsze... Boże, ktoś musi coś zrobić! – krzyczy, bliska paniki.

– Duże miasta budują sobie hermy – przypomina jej.

– A małe miasteczka jak Nowe Belém? Co będzie z nami, gdy dżungla się rozrośnie? Jak się uchronimy



przed bliźnakami?

- Przeniesiemy się do jakiegoś miasta z hermą – próbuje ją uspokoić.
- Nie wiemy, czy hermy wytrzymają.
- Wytrzymają.
- Najbezpieczniej byłoby na Ziemi – mówi Aiko. – Czemu nas tam nie chcą?
- Dobrze wiesz czemu.

Dżungla jest wspaniałą wymówką, by uniemożliwić migracje powrotne na Ziemię. Poza tym zwykli ludzie na Ziemi boją się jej pewnie jeszcze bardziej niż Aiko. Boją się, że wystarczy jeden pyłek, by skazić całą planetę.

– Boże, muszą nam pozwolić tam wrócić – wyjąkuje Aiko, zaczyna płakać, chowa twarz w dłoniach. – Muszą. Tak chciałabym tam wrócić – mówi, szlochając. – Nie chcę tu umierać.

Aiko pochyla się i przytula do niego. Daniel ją obejmuje i całuje w głowę. Prosi admina o pokazanie innych serwisów. Wszystkie z nich skupiają się na zdjęciu bliźnaka. W jednym programie debatuje kilku naukowców – przypominają to, z czego i tak wszyscy doskonale zdają sobie sprawę: żadnemu śmiałkowi, żadnej ekipie badawczej wysłanej do dżungli, żadnemu sztuczniakowi nie udało się z niej wrócić, a zwiad satelitarny niewiele daje – nawet najbystrzejsze, mechaniczne oko nie przebije się przez ten gąszcz zieleni.

Tylko niektóre serwisy podają też inne informacje, wśród nich najważniejsza wydaje się ta, że gwardia odnalazła i rozbiła kompanię Alexandrousa. Ale na końcu wszystkie i tak wracają do zdjęcia bliźnaka. Ekspozują je w zbliżeniu, dodając dramatyczną muzykę.

– Wyłącz – mówi Aiko i admin wygasza panel.

Daniel czuje, że kobieta dygocze. Po chwili jednak zdaje sobie sprawę, że to drży jego ciało.

Co za koszmar, myśli.



Gdy parę godzin później jedzie rozkojarzony do Luizy, na skrzyżowaniu z drogą do Nowego Rio o mało nie zderza się z trzema pędzącymi łazikami. Hamuje gwałtownie i czeka, aż przejadą. Łaziki są załadowane ludźmi i pakunkami, na tylnych siedzeniach Daniel dostrzega dzieci, jedno z nich macha w jego stronę ręką. Trzy rodziny ewakuujące się do miasta, które wkrótce będzie miało hermę.

Przerażone tym, co dzisiaj zobaczyły w serwisach informacyjnych, przerażone zębami i szponami bliźnaka. Daniel jest pewny, że to nie są pierwsze łażyki tego dnia sunące w popłochu do Nowego Rio. Ani ostatnie. Wyobraża sobie wzmożony ruch na innych drogach prowadzących do Nowego Rio, wyobraża sobie nagle opustoszałe budynki mieszkalne w Nowej Tuluzie, Agrze, Nowej Lizbonie, w I16, w Nowym Mediolanie, wyobraża sobie zamieszanie panujące przy bramach wjazdowych do stolicy Czwartej Zony.

Odprowadza łażyki wzrokiem, rusza dopiero, gdy te zamieniają się w niewielkie punkciki.

Za każdym razem, gdy zbliża się do domu Luizy, jest pod wrażeniem jego solidności. Dom jest wielki, na oko dwa razy większy niż dom Daniela. Oraz brzydki i prosty – wygląda jak wielka kostka zbudowana z kamienia i metalu. Na dachu ma kilkanaście anten i czujników meteorologicznych. Wszystkie okna są przesłonięte pancernymi roletami. Ich wypusty znajdują się również nad frontowymi drzwiami – w tej chwili jednak odsłoniętymi. Całość sprawia wrażenie ponurej fortecy.

Kiedy dojeżdża na szczyt wzniesienia, spostrzega siwowłosego mężczyznę schodzącego ku dolinie drugą stroną wzniesienia. Mężczyzna idzie szybkim krokiem, nieomal biegnie, co grozi upadkiem, gdyż zboczce usiane jest kamieniami wielkości co najmniej pięści. Danielowi wydaje się, że nie widział go nigdy wcześniej. Gdy mężczyzna rzuca przez ramię nerwowe spojrzenie, ukazując swoją twarz, Daniel zyskuje co do tego pewność. Jest też dla niego jasne, że tamten chce skryć się przed jego wzrokiem. Czego się boi?

Po chwili, gdy mężczyzna w końcu znika mu z oczu między większymi skałami, Daniel dochodzi do wniosku, że musi to być któryś z ludzi Ibramovica, pewnie ktoś nowy, szykujący się do wyrzeźbienia w dżdżownicę. Z tego, co wie, Luiza nie utrzymuje kontaktów z nikim oprócz niego, współpracowników, artystów z Benares oraz tych dziwaków z osady Ibramovica. Zresztą jej wizyty u tych ostatnich zaczęły się stosunkowo niedawno, przed paroma miesiącami; Daniel dowiedział się o tym od Johna, który czasami, jako były lekarz, bywa w osadzie dżdżownic i pomaga Ibramovicowi w postawieniu diagnozy, gdy któryś z mieszkańców zachoruje. Może Luiza nagle zainteresowała się religią aresjan, której Ibramovic jest ponoć wyznawcą?

Aiko i Christiana nazywają ją czarownicą i Daniel musi przyznać, że jemu Luiza też czasami kojarzy się w taki sposób, aczkolwiek w przeciwieństwie do swych kochanek darzy ją sympatią. Luiza jest odludkiem, jest niezwykle skryta i sprawia wrażenie nie całkiem zdrowej psychicznie; często dręczą ją depresje. Rozmawiając z kimś, potrafi ni z tego ni z owego przerwać swoją wypowiedź i milczeć przez kilka minut, intensywnie o czymś myśląc. Niemniej jest niebywale inteligentna i ma przeogromną wiedzę na najróżniejsze tematy, czym nieraz zdołała go już wprawić w zawstydzenie. Sprowadziła się w te okolice rok po nim, ale nikt nie wie, gdzie mieszkała wcześniej. Obecnie pracuje w urzędzie geologicznym w Nowym Belém, więc często można ją zobaczyć, jak przemierza okoliczne tereny,

badając grunt, z obowiązkowym plecakiem wypchanym przeróżnymi sprzętami.

Podchodząc do domu, Daniel zatrzymuje się na chwilę, by spojrzeć w stronę dżungli – ze wzniesienia widać ją lepiej niż z pastwiska. Zajmuje niemal cały wschodni horyzont. Teraz wydaje mu się podobna do węża – groźnego, pełzającego powoli, ale gotowego do natychmiastowego ataku.

Gdy staje w końcu przed drzwiami, admin domu żąda od jego hexa danych identyfikacyjnych – jak zawsze gruntownie weryfikuje jego tożsamość. Jakby Luiza obawiała się, że pewnego dnia w mojej skórze zjawi się tu ktoś inny, myśli z przekąsem Daniel. Procedura dobiega końca, hex Daniela zostaje zasypany uprzejmościami płynącymi ze strony admina, po czym drzwi się otwierają.

Za nimi czeka Luiza. Jej twarz jest wymizerowana, szara, dodatkowo maluje się na niej wyraz zdumienia czy też szoku. Przez chwilę patrzy na niego otepiałym wzrokiem.

– Wejdz – mówi.

Ledwie mija próg, Luiza zasuwą za nim drzwi i każe adminowi od razu ustawić pełną blokadę. Daniel słyszy zgrzyt opuszczanych rolet. Nigdy wcześniej, gdy ją odwiedzał, nie zamykała domu na cztery spusty.

– Ale potem mnie wypuścisz, czyż nie? – rzuca żartobliwie, ale Luiza nie zwraca uwagi na jego słowa. W milczeniu prowadzi go do salonu. Daniel zdaje już sobie sprawę, że coś jest nie tak. Gdy wchodzi do pokoju, pyta: – Wszystko w porządku? Coś się stało?

W odpowiedzi Luiza kręci tylko głową i przywołuje na usta lekki, wymuszony uśmiech. Może to wizyta tego mężczyzny wyprowadziła ją z równowagi, myśli Daniel. Pewnie zjawił się niezapowiedzianie, a ona bardzo tego nie lubi (Danielowi zdarzyło się to raz, gdy jeszcze dobrze jej nie znał – chciał jej złożyć krótką, sąsiedzką wizytę, skutek był taki, że odszedł od jej drzwi z kwitkiem, żegnany jej przeprosinami – bo ponoć źle się czuła – w których wyraźnie słyszał pretensję pod swoim adresem).

– Chyba minąłem się z twym znajomym – rzuca.

Luiza nie zatrzymuje się ani nie sztywnieje cała z wrażenia, jednak ta dłuższa chwila, jakiej potrzebuje, by mu odpowiedzieć, daje mu do myślenia.

– Stary znajomy.

A więc raczej nie ktoś od Ibramovica, dodaje w duchu Daniel.

W salonie panuje półmrok – wielkie okno wychodzące na wschód jest, tak jak inne, zasłonięte roletą. Wnętrze rozświetlają dwie lampy stojące w rogach pokoju.

– Rozgość się. – Wskazuje ręką na fotel, po czym podchodzi do barku. – Czego się napijesz?

– Wódki z tonikiem.

Rozsiada się w niezwykle wygodnym, pluszowym fotelu. Obok stoi sofa – Daniel nieraz na niej siedział, więc wie, że jest równie wygodna. Pomiędzy nimi stoi przepiękny pseudodrewniany stolik. Pod ścianami – kilka regałów zapełnionych książkami (które musiały być z tworzywa sztucznego, bo inaczej kosztowałyby małą fortunę) i komoda. Na ścianach wiszą obrazy, w rogu po prawej stoi jakaś tania

holorzeźba. Jakkolwiek dom Luizy z zewnątrz sprawia wrażenie surowego, musi się w nim – sądząc po salonie – przyjemnie mieszkać, aczkolwiek Daniel nigdy nie widział pozostałych pomieszczeń. Luiza nigdy mu ich nie pokazała, tak jak nigdy nie opowiadała o swoim życiu. Daniela wiele razy korciło, by zadać choć jedno z cisnących mu się na język pytań, jednak zawsze powstrzymywało go przecucie, że gdyby to zrobił, Luiza grzecznie kazałaby mu się wynosić i nigdy nie wracać.

Ich znajomość ma głównie charakter... hmm, merkantylny i została zainicjowana przez Luizę, która w jakiś sposób dowiedziała się, że Daniel jest mnemonistą. Od tamtej pory spotykają się wyłącznie w celu odbycia sesji. Luiza chyba jednak lubi jego towarzystwo, bo sesje niemal zawsze przechodzą w dłuższe rozmowy o polityce i nauce, w trakcie których raczy go alkoholem.

– Proszę. – Luiza wręcza mu drinka.

Sobie też naląła, chyba whisky z lodem. Kobieta siada na sofie, Daniel pociąga łyk.

– Wybacz te ciemności – mówi Luiza. – Strasznie boli mnie dziś głowa, a światło słoneczne tylko potęguje moje męki.

Daniel uśmiecha się w duchu, słysząc to wyjaśnienie. Za każdym razem, gdy ją odwiedza, Luiza tłumaczy się mniej więcej tak samo. To nie jest jednak chyba prawdziwy powód, dla którego w środku dnia ustawiała pełną blokadę domu.

– Nie ma problemu – zapewnia Daniel. – Na pewno chcesz odbyć sesję dzisiaj? Możemy ją przełożyć, jeśli chcesz.

– Nie, nie. Zróbmy to dzisiaj.

– Dobrze – Daniel sięga po metalowy kuferek, który przywiózł ze sobą, wystukuje kod i otwiera wieko. Stawia pozytywkę na stoliku.

– Boże, jest piękna – szepcze Luiza. Po wyrazie jej twarzy można poznać, że naprawdę jest pod wrażeniem. – W rzeczywistości wygląda jeszcze lepiej niż na zdjęciach.

– Dziękuję.

– A dźwięki są takie czyste.

Po chwili rozkoszowania się melodią Luiza chwyta pozytywkę i przybliża ją do twarzy, by obejrzeć ją dokładnie. Przygląda się długo każdemu detalowi, bada opuszkami palców inkrustacje i figurynkę.

– Taka delikatna. Misternie wykonana. Doskonała. Twoje ręce to skarb – rzuca.

Luiza zamyka pozytywkę i odstawia ją na stolik. Potem sięga po szklaneczkę, opróżnia ją jednym łykiem i kładzie się na sofie – znak, że chce zaczynać.

To będzie jej piąta sesja w ogóle i druga niejawna, a więc dotycząca wspomnienia, z którym nie chce się przed nim zdradzić. W całej swojej karierze mnemonisty Daniel miał kilkunastu klientów, którzy skorzystali z tego typu usługi. Powody mogły być najróżniejsze – chęć przywołania ostatniej namiętnej chwili spędzonej z pierwszym kochankiem, najważniejszej w życiu rozmowy, twarzy siostry, która

tragicznie zmarła dawno temu, kodu do zapomnianej skrytki, w której schowane są rodzinne pamiątki z Ziemi – i Daniel nigdy jakoś specjalnie się nad nimi nie zastanawiał, ale w przypadku niejawnych sesji Luizy jego wyobraźnia pracuje na pełnych obrotach, choć jałowo, bo nie jest w stanie dojść do żadnych wiarygodnych wniosków, tak niewiele wiedząc o jej życiu.

– Gotowa?

– Tak.

Daniel wywołuje zbiór softów poprzez hexa. Uruchamia korelator i każe mu się połączyć z pozytywką. Luiza włącza kanał po swojej stronie. Ich hexy ustalają warunki współpracy triangulacyjnej. Generują armię botów na wypadek, gdyby któryś z nich nosił w sobie cyfrobaka. Dodatkowo hex Luizy szyfruje połączenie z pozytywką.

– Zaczynamy – mówi Luiza, gdy wszystkie jej systemy ochrony są w gotowości.

Daniel otwiera pozytywkę i każe korelatorowi działać. W polu widzenia wyświetlają mu się raporty. Szczyt korelacji Luiza osiąga jakieś półtorej godziny później. Potem wykresy robią się bardziej płaskie. Mija kolejna godzina i Luiza mówi:

– Dość. Nie dam rady więcej. Ale niemal wszystko mi się przypomniało.

– Miałaś szczyt o siedemnastej czternaście – informuje ją.

– To wykalibruj odpowiednio.

Tak też robi. I dopiero gdy wyłącza korelator, a hex Luizy zdejmuje blokady, Daniel zauważa na jej twarzy wyraz ekscytacji, radosnego podniecenia. Nigdy wcześniej tak nie reagowała. To musiało być dla niej bardzo szczególne wspomnienie. Albo tak bardzo zadowolona jest z rezultatów sesji.

– Już ci przelewam kredyty – mówi kobieta, podnosząc się do pozycji siedzącej.

Kilka sekund później Daniel zostaje poinformowany przez hexa, że pieniądze są już na koncie.

Zamyka pozytywkę, oczekując, że, tradycyjnie już, Luiza znowu zaproponuje mu coś do picia i będą mogli sobie pogadać o Czymś Ciekawym, ale Luiza nic nie mówi, wpatrując się w jakiś punkt na dywanie, a po dłuższej chwili wstaje i podchodzi do regału z książkami, potem wędruje na drugą stronę pokoju, pocierając przy tym czoło wierzchem dłoni, tak jakby była bardzo zamyślona albo bardzo zdenerwowana. Albo jedno i drugie. Doszedłszy do komody, Luiza wraca pod regały z książkami.

Zachowuje się tak, jakby mnie tu nie było, myśli zdumiony Daniel. Cóż takiego sobie przypomniała?

Luiza wreszcie zatrzymuje się pod oknem, wydaje adminowi cichą komendę i nagle rolety podnoszą się, znikając zupełnie w wypustach. Pastelowe, wieczorne światło zalewa pokój. Luiza patrzy na dżunglę.

Po minucie Daniel chrząka i pyta:

– Wszystko w porządku?

Luiza odpowiada dopiero po jakimś czasie:

– Tak. – A po kolejnej dłuższej chwili pyta, zaskakując go: – Widziałeś te zdjęcia bliźnaka?

– Widziałem.

Kobieta kiwa głową, wciąż odwrócona do niego plecami. Daniel czeka na ciąg dalszy, jest ciekawy, jakie ma przemyślenia na ten temat. Luiza jednak nic więcej nie mówi.

– Co z tym zdjęciem? – dopytuje Daniel.

– Nic. Zastanawiałam się tylko, czy widziałeś.

Daniel jest jednak przekonany, że jeszcze przed chwilą chciała mu coś powiedzieć. Na pewno coś, co dałoby mu do myślenia. Ale już na nią nie naciska. Wie, że niczego w ten sposób z niej nie wydobędzie.

– Za niedługo zgłoszę się do ciebie pewnie po kolejną pozytywkę – oświadcza Luiza.

Jest to delikatna sugestia, aby już sobie poszedł. Daniel rusza ku wyjściu, starając się nie okazać rozczarowania.



Właśnie otwarto siódmą butelkę wina i wszyscy są w dobrych humorach. Nawet Aiko, choć degustuje alkohol tylko wzrokiem. Za to od godziny rozmawia z Jenny, nową mieszkanką kolonii, piękną dziewczyną. Daniel, który siedzi naprzeciwko w odległości kilku metrów, wnioskuje z gry ich ciał, że są sobą nawzajem zainteresowane. Sam zaś rozmawia o marsjańskim rolnictwie ze Svenem, dobrotliwym z wyglądu szczupłym mężczyzną, który, zaintrygowany wykładem o mnemotyce, jaki Daniel wygłosił w ciągu pierwszych dwudziestu minut ich znajomości, zdążył zamówić u niego dwie pozytywki. Teraz zaś wypytuje go o praktyczne aspekty uprawy roślin. Twierdzi, że od dawna nosi się z zamiarem, by złożyć wniosek o przydział ziemi.

Na wielkich poduszkach wokół ogniska siedzi dwanaście osób. Jest oczywiście także Budda, który stoi, wachlując sobie zad krótkim, szczeciniastym ogonem i wodzi swym półboskim wzrokiem na prawo i lewo, od czasu do czasu włączając się w jakieś rozmowy. Na prawo od kozokrowy siedzą Mark i Christiana, którzy nieoczekiwanie zjawili się pół godziny temu (po tym, jak się z nimi przywitał, Daniel spojrzał w jej stronę kilka razy i za każdym razem napotykał jej wiele mówiące spojrzenie, któremu towarzyszył dyskretny uśmiech). Oprócz nich są tu jeszcze Ann, Siergiej, Daria (malarze), John (poeta, będący też lekarzem kolonii), Carlos (muzyk) i Birgitta (rzeźbiarka). Brakuje zatem kilku artystów. Część z nieobecnych pracuje, część pewnie leży w swych łóżkach, pijana w sztok albo na haju po mazi.

Większość zebranych przysłuchuje się dyskusji Johna i Birgitty, dwojga odwiecznych adwersarzy, od

czasu do czasu będących również kochankami, która rozpoczęła się sporem o marsjańską literaturę, a teraz zahacza o politykę i konsekwencje rozbicia kompanii generała Alexandrousa. Był to ostatni z byłych oddziałów ONZ operujących na terenie zony, które po wprowadzeniu kwarantanny nie zgodziły się przejść pod komendę rady zarządzającej, i fakt, że został zlikwidowany (żaden z pięciuset byłych żołnierzy nie przeżył akcji gwardzistów) oznacza, zdaniem Birgitty, że rody spaliły za sobą wszystkie mosty.

– Daj spokój – John kręci głową. – Jeśli tamci wrócą, a nie wrócą, rody bez problemu się z nimi dogadają. Pół tysiąca żołnierzy to jest przecież mniej niż worek czerwonego piachu. Gdyby było inaczej, niebiescy nie zostawiliby ich tutaj, gdy nakładali kwarantannę. Nikt na Ziemi o nich nie pamięta. Zresztą zostało przecież kilka wolnych kompanii w innych zonach. W Piątej na przykład. Na marginesie, ta psia wierność wobec dawnych panów wbrew własnemu interesowi jest rozczulająca.

– I mówisz, że niebiescy nie wrócą? To jest dopiero rozczulające. Twoja naiwność.

– Nie wrócą, bo nie ma niebieskich. Nie ma jako siły...

– Niebiescy, Brazylijczycy, Hindusi, wszystko jedno! – przerywa mu Birgitta, pieniąc się. – Chodzi mi o Ziemię. Tak generalnie. Ktoś w końcu przyjdzie i zrobi z rodami porządek.

– Znowu? Że niby w przeszłości coś się wydarzyło?

– A interwencja?

– Nie żartujmy. Interwencja! Wysadzili z siodła kilka opornych rodzin i dogadali się z tymi, które wcześniej były w drugiej lidze. Też mi interwencja.

– A gubernatorzy?

– No a gdzie oni teraz są? Wszyscy już użyźniają regolit.

– Gdyby nie kwarantanna...

– Ano właśnie. Weźmy pewne czynniki pod uwagę i wyjdzie nam, czemu niebiescy ledwo już dychają. Ale kwarantanna była zaledwie gwoździem do trumny. Ważniejsze były wydarzenia na Ziemi. Pokój po trzeciej wojnie pacyficznej wszystko pozamiatał, bo ONZ de facto straciła swoją władzę w kosmosie. Interwencja była próbą odwrócenia nurtu rzeki, wymyśloną przez kilku niebieskich jastrzębi, którym grunt palił się pod nogami. Co z tego, że trochę namieszali? Po dwóch latach rozeszło się po kościach.

– Ale to wciąż niebiescy sprawują kontrolę nad kwarantanną!

– Widać obecnie wszystkim jest na rękę, by na razie nie odłączać aparatury podtrzymującej życie od tego trupa. Ale nikt na Ziemi już nic sobie nie robi z ONZ. I nie zamierza powtarzać błędów popełnionych przez niebieskich. Także żadne z ziemskich państw nam tu teraz na głowy nie spadnie. A jak nie teraz, to już nigdy.

– Nigdy? Wiedzą, gdzie jest deuter, wiedzą, gdzie jest pas główny, wiedzą...

– Taniej będzie ustanowić przedstawicielstwa handlowe – przerywa jej John – zamiast wojować.

Zrozum, władza nad Marssem sama w sobie interesowała tylko niebieskich, bo dla nich to był sens i warunek istnienia. Tacy Brazylijczycy czy Chińczycy dogadają się po prostu z radami zarządzającymi, by umożliwiono im handel. I to wszystko. W politykę nie będą się mieszać. Oczywiście pod warunkiem, że ktoś w końcu znajdzie sposób na tę cholerną dżunglę – dodaje po chwili.

– Czyli według ciebie tu, w Czwartej Zonie, jesteśmy skazani na władzę wielkich rodów? – wtrąca się Mark.

– Oczywiście, nie ma już odwrotu. Nawet zony południowe, gdzie dotąd było najwięcej wolności – może przez to, że wciąż na części terenu nie da się tam żyć, więc ludzie są twardzi, nie to co my – idą tą drogą. Kiedyś ten system pewnie upadnie, ale nie przewiduję, by miało to nastąpić w tym stuleciu.

– Ludzie do tego nie dopuszczają! – krzyczy Birgitta.

– Już dopuścili – mówi John, smętnie kiwając głową. – Później niż w innych zonach, ale jednak. Przecież od trzydziestu lat nic generalnie się nie zmieniło, a wybory do rad to fikcja. Mamy tu nowe średniowiecze.

– Ludzie zaprotestują – upiera się Birgitta. – Zrobimy rewolucję!

Wszyscy naokoło kwitują to śmiechem.

– Sama widzisz – mówi John, poważniejąc – nikt z nich nie wierzy, że uda nam się w jakikolwiek sposób wpłynąć na bieg wydarzeń. Marsjanie są słabi. Słabi, zmęczeni, skupieni na sobie, na próbach odnalezienia choćby chwilowego szczęścia na tej pierdolonej planecie. Nie w głowie im wojowanie o demokrację i prawa polityczne. Jesteśmy pod butem rodów i ten stan utrzyma się przez dłuższy czas. Mogą z nami robić, co chcą. Jeśli wciągną nas w wojnę z Piątą Zoną, czy będziemy mogli się temu sprzeciwić? Wątpię. Może jedynie Wolni Studenci zaprotestują, tu i tam. Ale oni i tak niewiele zdziałają. Wolni Studenci to nie Wolni Badacze.

Na chwilę zapada ogólne milczenie, a później rozpoczynają się rozmowy w kilku grupach, niezwiązane z dyskusją między Johnem a Birgittą.

Benares znajduje się na dnie wąwozu, w miejscu, gdzie kończy się on skalną ścianą. Jest tutaj kilkanaście mieszkań, rozlokowanych promieniście na planie półksiężyca, wydrążonych w skale i wychodzących na przestrzeń, którą artyści nazywają dziedzińcem, a która służy jako parking i miejsce, gdzie odbywa się życie towarzyskie komuny (i gdzie teraz radośnie trzaska ognisko). Osada powstała tu osiem lat temu, gdy dżungla dopiero rozpoczynała swoją ekspansję (a więc gdy wszyscy myśleli, że opanowanie jej wzrostu jest tylko kwestią czasu i wyboru najlepszego z dziesiątek możliwych rozwiązań), na rok przed sprowadzeniem się w te okolice przez Daniela. Założyli ją Carlos, Ann, Daria i Akshay. Ten ostatni trzy lata temu popełnił samobójstwo.

W kolonii mieszka obecnie, wliczając Jenny i Svena i nie biorąc pod uwagę Buddy, dwanaście osób. Niektórzy z nich przybyli z innych zon. Niektórzy też zostaną tylko na jakiś czas – po tym, jak się



wyprowadzą, na ich miejsce przybędą kolejni artyści, znajomi znajomych szukający względnego odosobnienia, ukojenia nerwów, pracujący akurat nad dziełem życia itd. Z tego, co Daniel sprawdził w sieci, wynika, że na całej planecie o kolonii krążą już legendy, głównie dlatego, że powstało tu kilka ważniejszych dzieł dla kultury Marsa (na przykład holoobrazy Siergieja), ale oczywiście również ze względu na prawdziwie artystowską atmosferę, jaka tu panuje – czytaj: swobodę seksualną, łatwy dostęp do używek, lokalizację z dala od sił porządkowych, no i oryginalność jej mieszkańców.

Najoryginalniejszym z nich z pewnością jest Budda, traktowany przez większą część mieszkańców Benares jak coś więcej niż sztuczniak. Jest dla nich przyjacielem, mędrcom, wybawcą, wyrocznią. Twierdzą, że Budda naprawdę myśli i naprawdę jest oświecony. Przychodzą do niego z wieloma sprawami i cokolwiek im powie, traktują to ze śmiertelną powagą i starają się postępować według jego wskazówek. Daniel uważa, że to śmieszne. To tak, jakby prosić o opinię toster albo zwierzać się mu. I on miał nieraz tę wątpliwą przyjemność dyskutować z Buddą i za każdym razem, z wyjątkiem jednej rozmowy, w trakcie której sztuczniak próbował na nowo otworzyć rany z przeszłości, słyszał od niego jedynie stek bzdur, którymi wypchane są wszelkie poradniki pozytywnego nastawienia do życia. Dlatego irytuje go, że Aiko zawiera każdemu słowu kozokrowy. Ubóstwia go, dosłownie. Ilekroć krytykował ją za to w przeszłości, odkrzykiwała, że Budda uratował już życie wielu zagubionym artystom, że pokazał im, jak odnaleźć spokój ducha i przestać cierpieć, a on, Daniel, nie potrafi dostrzec cudu, nawet gdy ma go przed nosem.

Daniel jest przekonany, że Akshay, który był dramaturgiem i jednocześnie wynalazcą-amatorem, stworzył Buddę dla żartu (na co zresztą częściowo wskazywałoby jego imię, powstałe przecież dużo później niż nazwa osady): wziął kozokrowę, wszczepił jej do mózgu kość algorytmicznej SI, napchał jej do pamięci zasady retoryki, historię filozofii i skrypty z kilku tysięcy oper mydlanych, zaopatrzył w syntezy mowy, i kazał udawać mędrca przed ludźmi, by zobaczyć, co z tego wyjdzie.

Wielokrotnie zastanawiał się, jaki stosunek do Buddy ma trójka żywych założycieli kolonii. Ostatnio wydaje mu się, że przynajmniej Carlos i Ann, podobnie jak ich świętej pamięci przyjaciel Akshay, traktują istnienie (utrzymywanie przy życiu) Buddy w kategoriach zabawnego eksperymentu, mającego dowieść naiwności tudzież głupoty artystów. To jednak znów tylko domysł, oparty na ich nielicznych, bardzo luźnych wypowiedziach w tej kwestii. Może się myli.

Jedynymi osobami, o których wie, że mają taki sam stosunek do Buddy jak on, są Luiza i Christiana. Ta druga nawet potrafi bardzo udanie naśladować głos i sposób konstruowania wypowiedzi przez Buddę – kilka razy, gdy byli w łóżku, doprowadziła go w ten sposób do niepohamowanego śmiechu. Teraz jego niedawna kochanka siedzi bardzo blisko Buddy, wysłuchuje jego opinii i uśmiecha się dyskretnie w ten szczególny sposób, który może rozszyfrować tylko Daniel (no dobrze, może jeszcze Mark, choć on, zdaje się, czasami wierzy w te bajki o Buddzie).

Wskutek pewnych towarzyskich rekonfiguracji, do których może dojść tylko po alkoholu, wszyscy zgromadzeni wokół ogniska zamieniają pozycję siedzącą na stojącą i zbijają się w mniejsze grupki. W pewnym momencie Danielowi udaje się odseparować Christianę od innych ludzi i stanąć z nią w miejscu na tyle oddalonym od reszty, że mogą swobodnie porozmawiać. Daniel uświadamia sobie, że nie mieli takiej okazji od paru tygodni.

– To zabawne, co powiedział, czyż nie? – pyta Christiana, chichocząc. Jest już na mocnym rauszu i lekko się chwieje.

– Niestety, Sven mnie zagadał, więc nie byłem w stanie uważnie śledzić każdego słowa naszego filozofującego przyjaciela.

– Na pewno tego żałujesz.

– Bardzo. Więc o czym mówił?

– Porównywał życie do węża, który zjada swój własny ogon.

Christiana znowu wybucha śmiechem, którego nie może opanować przez dłuższą chwilę. Daniel z zachwytem przygląda się jej twarzy, wodzi wzrokiem po jej drobnym, delikatnym ciele. Bardzo jej pragnie w tej chwili. Christiana w końcu poważnieje.

– Powinniśmy się spotkać w tygodniu – oznajmia szeptem.

– U ciebie?

– Zależy. U mnie albo w Fobosie.

Fobos to hotel w Nowym Belém, w którym kilka razy się przespali.

– Daj tylko znać kiedy – mówi Daniel.

Był dobrym kłamcą, więc zawsze potrafił wcisnąć Aiko jakąś zgrabną historyjkę, by wyrwać się z domu i spotkać z Christianą.

– Dam – zapewnia, unosząc kąciki ust w lekkim uśmiechu.

Potem Daniel streszcza jej swoją rozmowę ze Svenem, opowiada o wizycie u Luizy i pyta ją o jej pracę. Gdy Christiana zaczyna narzekać na nudę i zmęczenie, nagle słyszą podniesione głosy dochodzące od strony ogniska.

John i Birgitta namawiają wszystkich krzykiem, by zerknęli na ostatnie wiadomości. Daniel aktywuje hexa i łączy się z pierwszym lepszym serwisem informacyjnym. Widzi kilkanaście ciał leżących na trawniku przed jakimś budynkiem do połowy schowanym w rudawej skale. Rozgorączkowany głos reportera w tle mówi o zbiorowym samobójstwie osiemnastu osób na przedmieściach Nowego Rio.

– Inferniści – domyśla się Christiana, która również sprawdza informacje przez swojego hexa.

Po chwili Daniel słyszy potwierdzenie z ust reportera.

Sekciarze zażyli jakąś truciznę i jakkolwiek nigdzie nie widać ani kropli krwi, materiał z miejsca tragedii wydaje się Danielowi bardzo drastyczny, może dlatego, że operator kamery z jakąś chorobliwą

fascynacją robi długie zbliżenia twarzy każdej z ofiar. Wśród nich jest kilkoro małych dzieci.

– Nie powinni takich rzeczy pokazywać – stwierdza Christiana równie poruszona. – Skąd mają to nagranie?

– Pewnie ktoś z gwardii sprzedał im kopię – Daniel słyszy nagle głos Marka po swojej prawej stronie. Mark obejmuje żonę i mówi tonem, jakim mógłby zwracać się do małego dziecka: – Nie oglądaj tego.

– Nie zamierzam – odpowiada Christiana. Jest wściekła. Daniel zastanawia się, czy oburza ją głupota redaktorów, słowa Marka czy to, że w ogóle się pojawił i przeszkadza im w rozmowie.

– To przez to zdjęcie bliźnaka – rzuca Mark w jego stronę.

Daniel kiwa głową – pomyślał o tym samym.

– Ciekawe, kiedy odbije tym z Nowego Belém? – pyta sąsiad.

– Przestań! – krzyczy Christiana.

Mark unosi ręce w obronnym geście. Po chwili stwierdza, że muszą już wracać do domu. Kiwa Danielowi na pożegnanie, zaciska dłoń na ramieniu Christiany i ciągnie ją za sobą.

Daniel, niepoczyszony, rusza za nimi i staje przy Aiko, która rozmawia z Jenny. Dyskutują oczywiście o samobójstwie infernistów. Dołącza do nich Budda, wsuwając swój łeb między Aiko a Daniela. Kozokrowa przysłuchuje się słowom Jenny, a gdy ta kończy, mówi:

– Całe ich życie było umieraniem.

Daniel stwierdza w duchu, że to pierwsze w miarę sensowne zdanie, jakie usłyszał od Buddy. Ale pewnie to nie sztuczniak jest jego autorem.

## SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[\\* \\* \\*](#)

[Polecamy również](#)